

LIBRARY
F.W.
S.P.
ERACOW

~~2752~~ / 19

13039

KDN, 15, 10, 1, 53, 20,000

2752/19

DZIEŁA JANA KASPROWICZA

XIX.

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM XIX

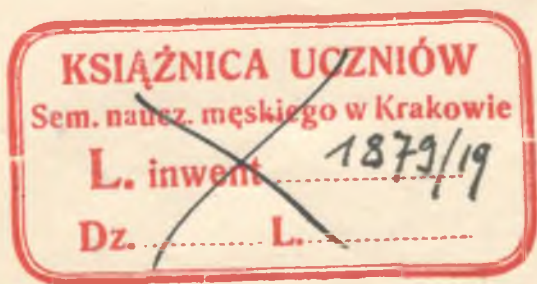
WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1930

JAN KASPROWICZ

PISMA PROZA

I



K R A K Ó W

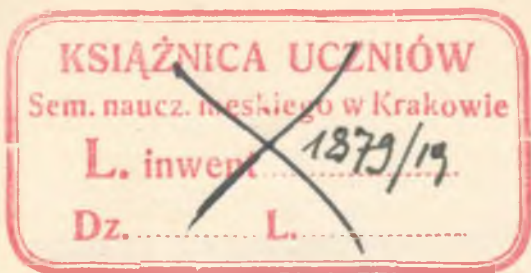
1930



13039



CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE



O MICKIEWICZU

~~11/19/21~~

I.

POJĘCIA SPOŁECZNO-POLITYCZNE MICKIEWICZA

Gdybym chciał bliżej określić stanowisko Adama Mickiewicza pod względem pojęć polityczno-społecznych, to musiałbym je nazwać chrześcijańsko-socjalistycznym, republikańskim a rewolucyjnym. Kierunek ten wytworzył się u wielkiego poety, głównie pod wpływem pism księdza Lamennais którego kościół rzymski uważał za właściwe wyeliminować ze swej owczarni. Wogóle czas, (r. 1833) w którym Mickiewicz przybył do Paryża, i w którym wyobrażenia jego polityczne i społeczne zaczęły wyraźne przybierać kształty, należał do najbardziej rozgorączkowanych perjdów dziejowego życia.

Echo wulkanicznych wstrząśnień, wywołanych przez rewolucję lipcową, nie umilkło, lecz owszem zdawało się rosnać i nowe zapowiadać wywroty. Widocznem było wtenczas, jak powiada sam Mickiewicz w „Myślach o Sejmie polskim“, iż wszystkie zasady na których opierała się budowa średnich wieków, są podkopane. Religja osłabiona, wypływające z niej instytucje: duchowieństwa, arystokracji, uprzywilejowanego średniego stanu starły swój dawny charakter. Wszystko podano w wątpliwość, w pogardę, w pośmiewisko. Stoi gmach jeszcze, jak dom podkopany w fundamentach, ale za pierwszym powiewem wiatru upadnie. Ta grożąca odmiana, niewidoma gabinetom, jak potop złym ludziom, skazanym na śmierć objawia się w różnych symptomatach, każdemu kto

czuje i myśli i wierzy w opatrność. Przepowiadają te burze filozofowie, poeci, księża, wieśniacy, na różnych punktach ziemi, w różnych partjach i religjach.

„Dość podnieść oczy w górę; tam ksiądz Lamennais, Schelling, Lamartine, Chateaubriand i mnóstwo innych, jak choraągwie na wieżach pokazują, skąd wiatr zaczyna wzmacniać się; dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, w foburgach francuskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie ziemi“... Nie dziw zatem, że w takim czasie umysły szlachetniejsze, a gorętsze usiłowały wynaleść środki, ażeby społeczeństwa wyprowadzić z tego chaosu i ścieśnionej atmosfery na pole swobodne, na powietrze zdrowe. Mickiewicz środek ten widział przede wszystkim w chrześcijaństwie pierwotnym, od którego w ciągu wieków „odstąpiły narody pod wpływem samowładnych królów“.

Zasady chrześcijańskie, zamknięte w formach katolicko-monarchicznych nie miały w nim zwolennika. Nie rozumiał on „teologii urzędowej“ wzywającej do pomocy przeciwko republikańsko-społecznemu duchowi „takich egzorcystów jak obywatel Barrot, generał Narvaez i hr. Stadion, akolita księcia Metternicha“. Nie rozumiał on tych chrześcijan czyli właściwie katolików, legitymistów, którzy są „urodzonymi nieprzyjaciółmi wszelkiej wolności“, którzy „żegnają się w imię Ojca, a potem Burbona, a na końcu w imię Syna i Ducha“.

Dla niego chrześcijaństwo było równoznacznikiem wolności ludów, równości i powszechnego braterstwa i jako taki nie może być z jednej strony „sługą gabinetów“, z drugiej zaś strony nie powinien uważać za „splendor swego bytu“ to, co się przyczynia do „zaspokojenia kardynałów, do ocalenia własności ich rodzin i wielkich posiadaczy beneficjów kościelnych“.

Syn Boży poto zstąpił na ziemię „ażeby nauczać ludzi, iż wszyscy są braciai rodzoną“, że „ten jest większy między ludźmi, kto im służy i kto poświęca siebie dla dobra ich, że nie jest szanowana na ziemi ani mądrość ludzka, ani urząd, ani bogactwo, ani korona, ale jedno tylko jest szanowne poświęcenie się dla dobra ludzi“. I rzeczywiście, w pojęciach Mickiewicza, ewangeliczne ziarno, posiane przez Chrystusa, wydało błogi owoc: Z zatknięciem krzyża na gruzach imperjum rzymskiego zaczęła się krzewić swoboda pomiędzy narodami. Nie znikła wprawdzie różnica stanów, atoli była pomiędzy nimi spójnia złocista, wytwarzająca powszechną harmonję, a tą spójnią to nic innego, jak tylko wolność, która „szła z królów na panów, z panów na szlachtę, z szlachty na lud itd.“

Przyszli jednak później osobistości, którzy temu arkadyjskiemu życiu kres zadali, zaprowadziwszy na miejsce „prawdziwej wiary Chrystusowej nowe bałwochwalstwo“. Do kategorii tych bałwanów, stawianych wobec odurzonego ludu zalicza poeta nasz „to Honor, to Preponderancja polityczna, to Panowanie na morzu, to Handel, to Dobrobyt, to Równowaga polityczna, to Zaokrąglenie polityczne, to wogóle Interes“, — a więc hasła, które stanowiły i długo jeszcze stanowić będą treść życia narodów, życia nie opierającego się na zasadach etyki ogólnoludzkiej, etyki powszechnej sprawiedliwości i miłości, ale obracającego się w granicach zakreślonych procesami dyplomatycznymi. A tylko moralność wewnętrzna, ugruntowana na zasadach prawdziwego chrześcijaństwa, powinna być jądrem społeczno-politycznego bytowania ludów, tylko na drodze przemian, dokonywających się we wnętrzu naszym, dojść można do upragnionego ideału „republikańsko-chrześcijańskiego“, do „stanu zgodniejszego z religją i ludzkością“. Jest to pewien rodzaj stanowiska ewolucyjnego: Mickiewicz był, jak Shelley i inni

duchem prawdziwego chrześcijaństwa owiani współcześni mu nauczyciele narodów, wrogiem krwi rozlewu, nieprzyjacielem wojen.

„Niech ogłosi“ — tak się odzywa on do projektowanego w owym czasie (1833) Sejmu polskiego — „że biorąc Chrześcijaństwo za prawo, potępia wszystkie wojny o granice, o handle, o porty itd.“ Albowiem wojny sprzeciwiają się zasadom chrześcijańskim, albowiem noszą na sobie „piętno bezbożności i sprawiają, że narody, mordując się wzajemnie, niszczą pojęcia moralne sprawiedliwości i miłości“. Atoli myliłby się, ktoby sądził, że natchniony poeta-prorok był pod tym względem zupełnie konsekwentny: Uwielbiał on rewolucję francuską, która, jak wiadomo, wywalczyła prawa człowiekowi za pomocą oręża; mimo przelewu krwi nazywał on ją „prawdziwą dziedziczką chrześcijaństwa, która głosem potężnych swych indywidualności odwołała się do absolutnej posady odwiecznej sprawiedliwości, przeciw wszelkim nadużyciom dawnego świata“. Wierzył w powszechną wojnę europejską, która „położy koniec despotyzmowi“, i której oczekiwać należy z dobytą bronią. „Nie składajcie broni — woła w księgach Pielgrzymstwa polskiego — póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej!“ Ale przy tej pewnej niekonsekwencji, wynikającej z jego pojęć chrześcijańskich i uczuć narodowych, wierzył on także, że to będzie ostatni przelew krwi, niejako przypieczętowanie grobu, w który zapadnie się na wieki „wszelki despotyzm“, wszelkie szachrajstwo polityczne i społeczne. Do tej powszechnej wojny winny zdążać narody, mając zawsze w pogotowiu arsenał pełen wewnętrznych, moralnych, jak i zewnętrznych środków, nie oglądać się na wpływy postronne, nie wierzyć w to, ażeby narody „pokłócone“ sztucznie, można pojednać „rozsądną dyplomacją“. Zwłaszcza Polacy — powiada dalej Mickiewicz —

nie mają oglądać się na nikogo, ani na króli, ani na dyplomatów... „Przywiązując uwagę do kroków dyplomatycznych, fałszujemy opinię“.

Zdawało mu się bowiem, iż „Polska wtenczas silnie powstanie, kiedy nabędzie przekonania, iż bez wszelkiej obojdzie się pomocy, i wtenczas tylko znajdzie pomoc“. Wojna powszechna powinna zająć Polaków, albowiem losy ich ojczyzny powiązane są ścisłym węzłem z losami całej ludzkości, a przynajmniej z losami ludów europejskich: „chcieć poprawić stan narodu polskiego niezależnie od stanu Europy całej, jestto działać wbrew interesom tego narodu“. Wielkie słowo, które i dzisiaj możnaby przeciwstawić zaściankowej polityce tych „patriotników“ naszych, co to im włosy dębem stają ze zgrozy, gdy usłyszą, że ten i ów, rozumiejąc naturę dzisiejszych prądów europejskich, solidaryzuje się z nimi i stara się o ich zaszczepienie w chory organizm własnego społeczeństwa. Rzecz prosta, że prądy te rodzą się w głowach „nieprzyjaciół“ istniejącego porządku, o których Mickiewicz powiedział, że oni są naszymi jedynymi sprzymierzeńcami.

Wchodzić w to nie będę, nie należy to bowiem do zakresu przedmiotowego artykułu, nie mającego na celu nic więcej, prócz wykazania, jakie pojęcia pod względem politycznym i społecznym ożywiały poetę, który dzisiaj znowu stanął w żywej pamięci narodu. Jak wszyscy mesjaniści nasi, tak i Mickiewicz, i to głównie on, wierzył, że połączona z interesami Europy sprawa Polski, wpłynie w sposób nader radykalny na przeobrażenie stosunków powszechnych. Co więcej, zdawało mu się, że biorąc na uwagę jeden choćby moment, ale moment w życiu narodów decydujący, wolność narodów europejskich zależną jest od wyswobodzenia Polski: „Polska zmartwychwstała ma spoić znowu narody wolnością“. Z oswobodzeniem Polski przeobrazą się fizjognomja ludzkości: za-

jaśniej ona całym urokiem wolności i sprawiedliwości. Społeczeństwa, które dotychczas współzawodniczyły z sobą, posługując się środkami podług wyobrażenia wielkiego poety antychrześcijańskimi, środkami jak: szabla, karabin, armata, złączą się w imię braterskiej miłości, w imię sprawiedliwości powszechnej: „Anglja, Francja, Niemcy, mają stanowić jeden naród“. Dlatego też kto mówi o interesach „jednego“ narodu, jest nieprzyjacielem wolności. Polska mówi do ludów: porzućcie wszystkie interesa miejscowe, a idźcie za wolnością; izby i budżety, handel i rolnictwo, wszystko przyjdzie samo z siebie, ale naprzód o wolności tylko myśleć należy“. Szeroki to horyzont: Obejmować go mogło tylko oko tak jasnowidzące, jak oko genjuszu mickiewiczowskiego. To przyznawanie zależności zbawienia Polski od powszechnej wolności i odwrotnie, ta wiara we wspólność interesów tych ludów, są to znamiona ducha niezwykłego, ducha, który umiał się wyswobodzić z ciasnych powijaków tych pojęć „narodowościowych“, od których do pojęcia „rasowości“ i wypływających z niej konfliktów maleńki tylko kroczek. Konflikty te, urodzone „z egoizmu narodowego“, który „rządy europejskie, oddalając się ciągle od prawideł Chrystjanizmu, wprowadziły, zatrzymując postęp wolności, zrobiwszy z tego, co się nazywało jednym chrześcijaństwem, kilkadziesiąt narodów, nienawistnych sobie nawzajem“, wytwarzają nienawiść, a „nienawiść roztacza powoli duszę i wycieńcza zdolności nakształt raka trawiącego“. Wprawdzie „wszystkie siły i środki leżą w duchu narodowym“, ale w duchu, który nietylko, że nie wyklucza tego, lecz wręcz żąda, abyśmy byli „rycerzami wolności powszechnej“. Ta myśl też „podniosłaby każdego w jego własnych oczach, a potrzeba wielkiej myśli dla obudzenia ducha wielkich poświęceń“. Poświęcając się, dojdziemy do błogo-

sławionego kresu naszych cierpień; z końcem męczarni Polski zakończą się także katusze innych narodów; jak zielsko, wypłenione zostanie wszystko złe, co się dzisiaj, bujnym wyrósłszy chwastem na polu życia społeczno-politycznego, tłumi rozwój kwiatów, kiełkujących z tych ziaren szlachetnych, jakie się kryją w wnętrzach ludzi. Tak! „jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom narodów“...

Jestto rzeczą łatwą do zrozumienia, że człowiek, obejmujący tak rozległe widnokregi, żeglujący nie po jakiejś rzeczulce, która wypływa z pod zapłocia „rodzinnych“ osad i pod temi zapłociami ginie, ale rozwijający szerokie żagle na oceanie myśli ludzkiej, nie mógł się pogodzić z hasłem, tak często stawianem za dogmat społeczno-politycznego życia narodu przez naszych domorosłych „przywódców“ — z hasłem tak zwanego „rozsądku“... Wiedział on dobrze, że „rozsądek, bardzo potrzebny w życiu prywatnem i na codzienne potrzeby wystarczający, niedołężny jest i zgubny, kiedy wyrokuje o środkach, dotyczących się sprawy narodów. Bo rozsądek liczy pożytki na miesiące i lata, a życie narodów obejmuje wieki“.

Wypowiadając te kapitalne słowa, przeczuł snadź Mickiewicz zabiegi tych nędznych „organiczników“ naszych, którzy po rzekomych „klęskach“, jakie odnieśliśmy wskutek ostatniego „upadku szalonych porywów“, zaczęli, niepomni na olbrzymie moralne zwycięstwa, zdobyte przez nas w latach zbrojnych protestów, wydobywać z kas bankierskich czek najlichszego gatunku i wołać do narodu: Patrzajcie! w tem jest wasze zbawienie. Hasła te były na rękę spodlonym lub słabym jednostkom, które i bez tego nie „zapalały się nigdy do czynów bohaterskich“, które i bez tego dbały tylko o brzuch

swój własny, o „wywalczenie“ sobie jak największej sumy dobrobytu, durząc społeczeństwo w sposób obłudny tą zgubną zasadą, że kapitał, leżący w ręku jednego lub drugiego, stanowi majątek powszechny i jest znamię żywności narodu. Dziś, chwała Bogu, jesteśmy już tak daleko, że tej żywności nie mierzymy miarą naszych Rotszyldów, większych i mniejszych; dziś jesteśmy już tak daleko, że ideałów, zrodzonych w kantorach kupieckich i bankierskich, nie uważamy za alfę i omegę naszych dążeń; dziś jesteśmy już tak daleko, że wiemy, iż krew, którą ongi wylano za ojczyznę, za „waszą i naszą wolność“, nie poszła na marne, że wyrośnie z niej potężne drzewo swobody wszechludzkiej. Wiedział Mickiewicz, że hasło „rozsądku“ wylania się zawsze w czasach upadku moralnego: „Kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego“ — tak pisze on w Pielgrzymie w rozprawie: o ludziach rozsądnych i ludziach szalonych d. 27 maja 1833 r. — „radzono podpisać akt samobójstwa, nie śmiano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga, w imię powinności, trzeba było stworzyć język nowy: rozprawiano więc o okolicznościach czasu, miejsca, o trudnościach, o nadziejach; nareszcie zaklinano obywateli w imię rozsądku, aby przestali czuć po obywatelsku. Gdzież rozsądek — wołano — chcieć opierać się woli przemocy? Gdzie są środki oparcia się? Czy jest czas potemu? Czy nie lepiej część poświęcić, aby resztę zachować? Ze skolatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić dla ulżenia mu kilka województw? Od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć część, której niepodobna „uzdrowić“ etc.“... I zgodzono się w imię rozsądku na rozbiór Polski.

Zgodzono się tem więcej, że, jak wiadomo z dziejów ojczystych (patrz choćby Lelewela wyszczególnienie kubanów, jakie otrzymali onego czasu nasi „rozsądni“ od Moskwy etc.),

ta zgoda opłacała się bardzo dobrze — poszczególnym jednostkom: czerwone dukaty, ordery i tytuły posypały się na naszych „przywódców“, a przecież z tych dukatów czerwonych, z tych orderów, z tych tytułów, ogółowi społeczeństwa nic nie przyszło, prócz chyba wiekowej niedoli, prócz pogardy, jaką nas zaczynają otaczać wówczas narody wolne, nie kierujące się zbyt „rozsądkiem“. Na szczęście nasze nie spróchniały w nas jeszcze wszystkie korzenie silniejsze, nie skwaśniały w nas jeszcze wszystkie soki zdrowsze.

„Kiedy Konfederaci barscy — tak powiada dalej nasz wieszcz w przytoczonej powyżej rozprawie — broń podnieśli, znaczna część narodu podzielała ich uczucie; ale „rozsądek i polityka“ tak się rozszerzyły między szlachtą, że zamiast wsiadania na koń, zaczęto rozważać, czy sposobna była pora, oczekiwać odpowiedzi z Wiednia, posiłków z Francji etc. Nareszcie Konfederaci napadli Stanisława Augusta; krzykniono, że splamili honor narodowy, Konfederatów potępiono jako szalonych awanturników. Naród i potomność inny wydały o nich wyrok... Kiedy Kościuszko stanął na czele narodu, kiedy Warszawę oswobodzono, Stanisław August, przyjmując deputację rewolucyjną, rzekł na pół z płaczem: „To jest wszystko pięknie! *c'est sublime!* Ale, moiści, Dobrodzieje, czyż to rozsądnie? Cóż z tego będzie?...“ Kościuszko umarł na wygnaniu, ale zwłoki jego złożył naród w grobach królów naszych, — Stanisław August pochowany był z honorami królewskimi w Petersburgu... Cóż z tego wszystkiego wnosimy? Oto, że rozsądek, czyli wzgląd na okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest trybunałem na sądzenie spraw dotyczących się wieków i pokoleń; że rozsądek polityczny jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego“...

W tej też myśli zachęcał Mickiewicz społeczeństwo, a zwa-

szcza emigrację do czynu, emigrację, która podług jego mniemania oddawała się zbytecznie „politykowaniu“.

„Cóż nam pomogą ludzie, którzy szeroko prawią o atrybucjach władzy narodowej, kiedy nami władają sierżanci miejscy (tyczy się to ówczesnych stosunków listopadowych), o sądach i kodeksach, kiedy nas bez sądów gonia, a rodaków więżą i strzelają etc.“

Piorunując na to „politykowanie“, nie sądził on jednak, ażebyśmy byli „bezpolicykowcami“, bo „bezpolicykowcy“ to ludzie „którzy nie wiedzą, z jakim wiatrem płynąć i wśród burzy nietylko zwijają żagle, ale uciekają z pokładu, nie chcą nawet uważać nieba i gwiazd, radzą schować się na spód, krzycząc: jak wiatr pomyślny zawieje, wtenczas wyjdziemy na wierzch“. (O bezpolicykowcach etc. rozpr. w Pielgrzymie z 10 maja 1833).

Oddawać się polityce, ale polityce tej, którą stanowią czyny, albo słowa i myśli, które rodzą czyny. Takimi czynami jest walka, zwycięstwo lub męczeństwo; takimi słowami były np. dawniej słowa Ewangelji, potem naśladowanie ich, słowa Koranu, słowa Wiklefa, Husa, Lutra, Saint-Simona, — słowa wielkiej rewolucji francuskiej, w obradach konwentu, kiedy wypowiedano wojnę całej Europie, rozkazy dzienne Napoleona, pieśń o Dąbrowskim etc. (O bezpolicykowcach etc. 10 maja 1833).

W rozprawie „o dążeniu ludów ku nowemu systemowi podatowania“ pełny jest sarkazmów przeciwko „ekonomistom, kameralistom, statystykom, administratorom“ przeciwko kupcom, „teraz samowładnym, którzyby z właścicieli i z ludu ostatnią sztukę miedzi wycisnąć chcieli“, przeciwko drapieżności, głosząc natomiast, że z postępem wolności społeczeństwa chętnie płacić będą na potrzeby krajowe, jeżeli będą miały zagwarantowaną możliwą sumę swobód.

„Nałożono — powiada — podatek na światło, ciepło, na dowcip dziennikarzy; dziwna rzecz, iż dotąd nie kazano płacić za łzy i westchnienia: może to ekonomiści rosyjscy dla wzbogacenia Mikołaja wynajdą“... Ludy same płaciły zawsze dobrowolnie podatek: „skoro podniesiono wojnę w imię wielkich uczuć narodowych, europejskich... zebrano miliony dla Greków, mimo niechęci, mimo przeszkód!“ Nie skończyłbym, gdybym chciał przykładami, wyjętymi z pism wielkiego poety, ilustrować ten umysł wspaniały, to serce potężne, odczuwające każde tętno, każdy ból społeczeństwa i podające środki lecznicze na te dolegliwości.

Niniejszy szkic, który i tak przedłużyłem ponad przepisaną miarę artykułu dziennikarskiego, zakończę kilku cytatami, malującemi jego zapatrywania na sprawę ludową, zapatrywania, którychby się nie powstydzil „najszczerzy dzisiejszy demokrat“, i wiązańką uwag, udzielonych w roku 1833 galicjanom na żądanie obywatela galicyjskiego Józefa Zaleskiego. W sprawie emancypacji włościan znane są wiekopomne jego słowa: „Prawdziwa siła jest tylko między prostym ludem i w decydujących chwilach głos wyjdzie od niego“. (Mowa M. z dnia 9 marca 1847). Warto byłoby, ażeby wyrazy te zapisali sobie złotemi głoskami w sercu i mózgu zarówno nasi „konserwatyści“ jak i ta część „socjalistów“ naszych, którym się „nie zdaje“, ażeby „patrjota“ mógł tak podniosłe zająć stanowisko.

Słuchajcie nasi „międzynarodowcy“ dalszych jego słów lapidarnych: „Oddajcie im (chłopom) w dziedzictwo posiadaną ziemię, na której się zrodzili, którą krwawą pracą zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą!“ Sądzę, że to wam wystarczy, sądzę, że ani Lassalle ani Marx — przed którymi, nawiasem powiedziawszy, korzę swoją głowę — nie wypowiedzieli nic silniejszego... Wzmiankowane uwagi, udzielone

Zaleskiemu, świadczą, że „rozgorączkowany rewolucjonista“ Mickiewicz, nawołując do czynu, dalekim był od popychania społeczeństwa, aby się rzuciło, jak to mówią, z motyką na słońce, że niebrakło mu potrzebnego w pewnych razach „rozsądku“, a zarazem wielkiego „zmysłu politycznego“. Pragnął on wciągnąć do życia publicznego przede wszystkim wszystkie klasy społeczeństwa: „Ksiązę, hrabia, chłop i żyd równie są nam potrzebni. Każdego z nich trzeba przerobić na Polaka. Dopóki niema życia publicznego, ludzie ambitni będą szukać znaczenia w salonach — dopóki nie można szukać sławy ze służenia ojczyźnie, będą szukać blasku w tytułach. Trzeba to cierpliwie znosić a umysły ciągle ku wyższym celom kierować. Dlatego najstaranniej unikać wszelkiej wewnętrznej kłótni o arystokrację i demokrację. Osoby mające znaczenie z majątku i urodzenia (bo „innego teraz znaczenia w Galicji niema“ — tak pisał przed 60 blisko laty to samo można i dziś jeszcze niestety powiedzieć) mogą niezmiernie zasłużyć się sprawie narodowej protegując, wspierając, zachęcając wszelkiego stanu ludzi, w których widzą miłość Polski; zaprzyjaźniać się szczególnie z patriotycznym duchowieństwem wszelkiego wyznania. Szczególniej mieć na celu duchowieństwo ruskie. Unikać wszelkich kłótni z popami, a mianowicie procesów. Niejeden obywatel, który w czasie powstania cały majątek poświęca, w czasie pokoju nie chce ustąpić księdzu lub włościaninowi kilku drzew z lasu, albo kawałka ziemi i odstręcza przez to całe klasy mieszkańców. Powtarzajmy sobie ciągle, że chwilowe poświęcenie jest łatwiejsze a mniej skuteczne, niż poświęcenie ciągłe i drobne dla sprawy ojczystej; dla braku tych ciągłych i drobnych poświęceń nie mają potem skutku ogólne chwilowe poświęcenia...

„Dawne przesady przeciwko niektórym klasom mieszkań-

ców, na przykład pewna pogarda ku dzieciom duchownych greckich, jest wielkim grzechem politycznym, najniebezpieczniejszym dla sprawy naszej. Należy dołożyć wszelkich starań, aby opinię publiczną w tej mierze sprostować.

„Chłopom nietylko w ogólności lepszą wróżyć przyszłość, ale w szczególności, ile tylko można, byt ich poprawić. Takim np., którzy znani są z zapału dla sprawy narodowej, takim, których dzieci walczyli, jeśli można, nadawać własność i od czynności uwalniać, domy budować, bydło kupować. Niechby w każdej wsi kilku albo choć jednego gospodarza na rok tym sposobem wyposażono ze składki, zrobionoby więcej dla sprawy narodowej, niż wysyłaniem emisariuszów za granice lub zakupywaniem niewczesnem broni, która wydaną i zabraną być może.

„Pisma, które krzepią ducha narodu, rozrzucać ile możności po kraju“...

Dałem maleńki tylko obraz poglądów społecznych i politycznych Adama Mickiewicza, zachęcając czytelników do poświęcenia wolnego czasu na odczytywanie tego szeregu wspaniałych i potężnych myśli, jakie Mickiewicz zawarł w swych artykułach, pisanych prozą. Czytając je, oddamy tem większą cześć nietylko poecie, który umiał opisywać pola nasze, „posrebrzane żytem“, ale przede wszystkim człowiekowi który odczuwał bole wszystkich ludów i dążył do wyzwolenia ich z cierpień, i pokazywał im ideał przyszłego ustroju, ideał, na którego stworzenie mogła się zdobyć tylko tak szlachetna, gorąco miłująca ludzkość natura, jak Mickiewiczowska.

II.

POD ZNAKIEM MICKIEWICZA

Żyjemy w czasach, kiedy widmo reakcji coraz to natarczywiej dobija się do naszych drzwi, kiedy ci, co uzurpują sobie nazwisko kwiatu narodu, naród ten z coraz to większą bezwzględnością pchają na manowce abdykacji z wyobrażeń, uczuć i pragnień, uświęconych rzadkiem w dziejach bohaterstwem zgasłego lub dogasającego pokolenia.

W społeczeństwie, które niedawno jeszcze kroczyło nieomal na czele wielkiego pochodu wolności, w społeczeństwie tem zapanował taki zamęt pojęć, że to, co wczoraj jeszcze najwspanialszą było cnotą, dzisiaj otrzymuje jeżeli nie miano zbrodni, to conajmniej jakiejś karygodnej mrzonki, jakiejś z rzeczywistemi zadaniami bytu nie licującej utopji.

Patrzac dzisiaj na liczne objawy naszego życia, możnaby w istocie przypuścić, że staliśmy się urzędowymi pionierami politycznego i społecznego wstecznictwa, a przecież w głębiach naszego narodu mieszcza się pierwiastki, zadające kłam trwałości dzisiejszych szumowin.

Pierwiastki te, przeszedłszy ciężki, ale wspaniały proces krystalizacji w ostatnich chwilach rzeczypospolitej i w epoce porozbiorowej, znalazły najpotężniejszy, widomy wyraz w postaci wciąż pomiędzy nami żyjącej i na zawsze żyć mającej, w niezniszczalnym duchu Mickiewicza, pod którego znakiem rozpoczynamy rok 1898.

To ucieleśnienie cierpień i pragnień, ewolucyjnych zabiegów i krwawych, gwałtownych, przebojów narodu, jest tego narodu nietylko poezją, ale i jego mądrością — mądrością o sile żywiołowej, mądrością tem potężniejszą, bo kryjącą w sobie warunki rozwoju ogólnie ludzkiego, mądrością, którą tak zwany trzeźwy rozsądek kombinacji dyplomatycznych na-

razie przygnieść może swoim brutalnym ciężarem, ale która po chwilowym zgębieniu w tem potężniejszej wyrośnie nad nami postawie.

Jest to prawo objawiającego się perjodycznie w dziejach zwycięstwa ducha nad bezduszną materją, zwycięstwa posuwającego ludzkość ku coraz to doskonalszym ustrojom politycznym i społecznym, ku ustrojom, których pragnienie zawarte jest w całej, prawdziwie wielkiej poezji, w całej, prawdziwie wielkiej filozofji świata.

Zmieniliśmy się bardzo: to co stanowi istotę twórczości Mickiewiczowskiej, a co przed kilkudziesięciu laty postawiło mistrza Adama obok najpotężniejszych genjuszów ludzkości, mądrość, promieniejąca słonecznym ogromem życia w jego pismach, w jego „Odzie do młodości“, w jego „Dziadach“, w jego biblijnych księgach pielgrzymstwa i narodu polskiego i pozbawiona czaru formy poetyckiej, ale pełna apostołskiego zapału, pełna dosadnych argumentacyj w jego utworach prozą, mądrość ta, gdyby chciano mierzyć wyobrażeniami naszych urzędowych przywódców, spotkałaby się, jak to słusznie ktoś zauważył, z nazwiskiem mądrości komunistycznych petrolerów.

W dzisiejszej chwili upadku poczucia swobody przypomnijmy sobie w najogólniejszych choćby zarysach zasadnicze cechy przekonań naszego wieszcz. Będzie to dla nas bodźcem do dalszej walki z podłością, z podeptaniem praw, z stadowemi popędy złałamuconego społeczeństwa.

Człowiek religijny, choć wróg wszelkich formułek urzędowych, widział Mickiewicz środek, mający zbawić ludzkość, w powrocie do pierwotnego chrześcijaństwa, które było dlań równoznacznikiem swobody ludów, równości i braterstwa czerpiącego soki żywotne w poświęceniu się wszystkich dla wszystkich. Chrystus, zstąpiwszy na ziemię, nauczał ludzi,

że rodzonymi są braćmi; chwila zatknięcia krzyża na gruzach rzymskiego imperjum braciom tym przyniosła swobodę, która, choć społecznie nie znikły różnice stanów, tworzyła braterską ich spójnię.

Ale ideał chrześcijański, nim się zdołał rozwinąć, usunęły w ciągu wieków inne bożyszcza, hasła, które stanowiły i stanowią dotychczas treść bytów państwowych, nie opartych na zasadach etyki ogólnie ludzkiej, etyki powszechniej sprawiedliwości i miłości, ale pozerających się wzajemnie w imię honoru, w imię preponderancji politycznej, w imię Równowagi czy Zaokrąglenia, w imię Panowania na morzu, Handlu, Dobrobytu, — jednym słowem w imię wszechwładnego dziś interesu.

Ten interes materialny sprzeciwia się ugruntowaniu moralności wewnętrznej na zasadach prawdziwego chrześcijaństwa, ten interes doprowadza do tego, że narody, wszczynając wojny, „noszące piętno bezbożności na sobie“, że „mordując się wzajemnie, niszczą pojęcia moralne“, bez których niema prawdziwie ludzkiego bytu.

Wielbiciel zasad rewolucji francuskiej, która według jego wyobrażeń „głosem potężnych indywidualności odwołała się do absolutnej posady odwiecznej sprawiedliwości przeciw wszelkim nadużyciom dawnego świata“ i „nie walczyła ani o granice ani o handel“, lecz o to, co jest w człowieku najistotniejszym, o harmonijny rozwój jego ducha, o jego swobodę, godził się na jedną, ostatnią wojnę europejską, wszczętą o ostateczne urzeczywistnienie hasła wielkiej Rewolucji, dla niego jednoznacznych z zasadami prawdziwie pojętego chrześcijaństwa.

Z wojny tej wyjdzie ludzkość z fizjonomją zupełnie zmienioną: społeczeństwa, które dotychczas współzawodniczyły ze sobą, posługując się środkami, według naszego wieszczą

niechrześcijańskimi, jak „szabla, karabin, armata“, złączą się w jedną wielką, braterską rodzinę. Duch to prorocत्व Jezajaszowych, treść Chrystusowych ewangelij, boska mądrość św. Pawła; duch tkwiący na dnie i dzisiejszych ruchów ludowych, choć niejednokrotnie ruchy te zbaczają na manowce walki o materialne przeważnie dobro jednej tylko warstwy.

Nie o jednej też warstwie, ale i nie o jednym narodzie myśleć należy, bo „kto tak myśli jest nieprzyjacielem wolności“.

Jak dobro jednostki uwarunkowaniem jest dobrem bliższego lub dalszego ogółu, tak i dobro jednego narodu zależnem jest od dobra narodów innych. To też „chcieć poprawić stan narodu polskiego niezależnie od stanu Europy całej“ (tj. Europy ludowej) jest to działać wbrew interesom tego narodu.

To przyznawanie zależności zbawienia Polski od zbawienia innych narodów, które przecież mimo niepodległości państwowej nie zawsze pod względem swobody politycznej i społecznej w pozazdrosczenia godnem znajdują się położeniu, i na odwrót: wiara w szczęście ludów, uwarunkowane zmartwychwstaniem Polski, nie wyklucza bynajmniej idei narodowościowej, lecz owszem trwalsze buduje dla niej podstawy. „Wszystkie siły i środki“ — pisał Mickiewicz — „leżą w duchu narodowym“, ale duch ten wolny być musi od tych pseudo-narodowych ciasnych powijaków, od których do pojęcia „rasowości“ i zrodzonej przez nią nienawiści krótka jest droga. A nienawiść, którą podnieca egoizm sfer panujących, „roztacza powoli duszę i wycieńcza zdolności nakształt raka trawiącego“.

Kto tak patrzył na ideowe znaczenie dziejów ludzkich i na posłannictwo własnego narodu, kto uczył, że taka myśl, takie pojmowanie misji ludów podniosłoby człowieka w jego własnych oczach, a potrzeba wielkiej myśli dla obudzenia

ducha wielkich poświęceń“ — kto w mesjanicznym wołał natchnieniu, że „jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom narodów“ — taki prorok, taki apostoł, taki ewangelista musiał być wrogiem tak zwanego rozsądku.

Nie mógł się on pogodzić z hasłem, stawianem i przez ówczesnych urzędowych polityków naszych, z hasłem, które cele dalsze, cele idealne każe z uszczerbkiem godności narodowej poświęcać dla problematycznej korzyści doraźnej — i to nie korzyści ogółu, lecz tej lub owej jednostki, tej lub owej kasty. Wiedział on, że „rozsądek czyli wzgląd na okoliczności zmiennego życia codziennego nie jest trybunałem na sądzenie spraw dotyczących się wieków i pokoleń, że rozsądek polityczny jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego“. Wiedział on, że „rozsądek, bardzo potrzebny w życiu prywatnem i na codzienne potrzeby wystarczający, niedołężny jest i zgubny, kiedy wyrokuje o środkach, dotyczących się sprawy narodów“, bo „rozsądek liczy pożytki na miesiące i lata, a życie narodów obejmuje wieki“.

Hasło rozsądku politycznego wylaniało się zawsze — zdaniem Mickiewicza — w chwilach moralnego upadku, i z upadku tego nie dźwigało. Czyż niedawna orgja „rozsądku“ w Poznaniu i Warszawie nie jest najlepszym tego dowodem?

Ruchy ludowe gorącego miały w nim zwolennika; atoli według niego „prawdziwy socjalizm nie zagraża porządkowi publicznemu, nie zachęca do materialnego nieładu, do rozruchów ulicznych i do ich następstw“. Ten „prawdziwy socjalizm — nie był też nigdy nieprzyjacielem władzy, wskazuje on tylko, że w starem społeczeństwie nie istnieje żadna posada, na której możnaby zbudować prawowitą władzę, to jest stosowną do dzisiejszej potrzeby ludzkości“. Kto z takiego stanowiska patrzył na ideę socjalizmu, dla tego idea ta

nie mogła być kwestją emancypacji jednej tylko warstwy, nie mogła być wyłącznie kwestją materialnego i moralnego dobra czy to robotnika czy chłopca.

Pomimo to, zeszedłszy z wyżyn ideowych na grunt działalności praktycznej, zajmował się Mickiewicz gorąco sprawą ludu, a wskazania jego agitacyjne mają i dzisiaj jeszcze z pełnymi zmianami, wywołanymi zmianą warunków, wysoce aktualne znaczenie. Wierząc, że „prawdziwa siła, jak mówił, jest tylko między prostym ludem i w decydujących chwilach głos wyjdzie od niego“, wieszcz nasz wołał do Galicjan jeszcze przed uwłaszczeniem: „Oddajcie im (chłopom) w dziedzictwo posiadaną ziemię, na której się zrodzili, którą krwawą pracą zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą“. Hasło emancypacji ludu było dla niego jednym z tych czynów, od których zawisło przyszłe, idealne ukształtowanie się stosunków ludzkich.

Odpowiednio do istoty swego „socjalizmu“, który jako „zasada może być przyjętą tylko przez ludzi religijnych i przez patriotów“, pragnął Mickiewicz wciągnąć do życia wszystkie klasy społeczeństwa: „Książę, hrabia, chłop i żyd równie są nam potrzebni — każdego z nich trzeba przerobić na Polaka“.

Wskazując na środki działalności doraźnej, powszedniej, zalecał, aby „osoby mające znaczenie z majątku i urodzenia (a innego — mówił — teraz znaczenia w Galicji niema)“, protegowały, zachęcały, wspierały wszelkiego stanu ludzi, w których widzą miłość Polski. Radził zaprzyjaźnić się z duchowieństwem, szczególnie ruskim, unikać sporów i kłótni z popami, radzić, manifestować w życiu te drobne, ale ciągle poświęcenia, dla których braku nie mają potem skutku ogólne, chwilowe poświęcenia“ — życia lub majątku, złożonych na ołtarzu Ojczyzny. „Niejeden obywatel“, który w czasie powstania cały majątek poświęcił, nie chce ustąpić księdzu lub

włościaninowi kilka drzew z lasu lub kawałka ziemi i odstręcza przez to całe klasy mieszkańców“.

Są to prawdy, które, jeżeli kiedy, to dzisiaj każdy uczciwy, o dobro społeczeństwa dbający obywatel głęboko powinien sobie wyrzeć w duszy i uczynić z nich drogowskaz swego działania.

Przypomnienie tych prawd w rozpoczynającym się roku Mickiewiczowskim było naszym obowiązkiem, a prawdy te zawierają zarazem wielką dla nas otuchę, bo dowodzą, że społeczeństwo, którego najpotężniejszy umysł takim przejęty był duchem, duchowi temu sprzeniewierzyć się nie może, bo sprzeniewierzyłoby się swej własnej, najwewnętrzniejszej, warunki dalszego bytu zawierającej istocie. Mogą być chwile zapomnienia, wywołanego uciskiem, ale chwile te przejdą, choćby reakcja pragnęła wytężeniem wszystkich sił chwile te przedłużyć na lat dziesiątki. A więc śmiało do walki — pod wspólnym znakiem Mickiewicza.

III.

PRZED POMNIKIEM MICKIEWICZA

Gdybyśmy chcieli znaleźć formułę dla określenia ostatnich kilkunastu lat naszego bytu narodowego, streścilibyśmy go w słowach: żyjemy pod znakiem Mickiewicza.

Zjawisko to znamienne i nie należy go wyprowadzać jedynie z przyczyny zewnętrznej, z minionej niedawno setnej rocznicy urodzin poety: wiąże się ona z faktem daleko donioślejszym, mianowicie z spotęgowanym prądem odrodzenia, którego widome dowody we wszystkich spotykamy dzielnicach.

Hasło „pragniemy żyć“ rozpowszechnia się dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, dociera do najdalszych, do najbardziej zapomnianych zakątków i z tych zakątków silnym obzywa się pogłosem.

Zarzucił nam kiedyś Bismark, że mamy za dużo polityki w poezji, a za dużo poezji w polityce. Charakterystyka niewątpliwie słuszna, tylko nie zasługująca bynajmniej na to, aby stosowano ją do nas jako zarzut. Bo cóż ona znaczy innego ponadto, że twórczość nasza w wielkich, życie narodu ogarniających objawia się kształtach?

A życie to posiada w sobie widoczne pierwiastki szlachetne, niezwykle, jeżeli mogło i może stawać się bodźcem do uzewnętrznienia się potęgi duchowej, przez Opatrzność danej genjuszom z tem przeznaczeniem, aby świadczyły o Jej nieśmiertelnej potędze.

Polityka też nasza — jako bismarkowskie źródło poezji — to nie dyplomatyczne zabiegi o zdobycie dóbr, dla których Żelazny Książę deptał wszelkie prawidła moralne, to nie walka, jak mówi Mickiewicz, o interesy dynastów, to nie żądza przelewu krwi o „preponderancję“ państwową, o wyniesienie wątpliwej wartości „honoru“, to nie szacherka o zapewnienie władzy rozmaitym, przez twórcę „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa polskiego“ potępionym „ekonomistom, kameralistom, statystykom, administratorom i samowładnym kupcom, wyciskającym z ludu ostatnią sztukę miedzi“.

„Polityka“, którą żyła „trójca wieszczów naszych“, to wiara „w niedopełnioną pracę duchów i w łańcuch żywotów, które podług tej wskazówki wyduchowania są uważane, są Ewangelią dowiedzione“ — to wiara „w narodowość, to jest w solidarną misję duchów, powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością“, z czego „wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktownem uczuciem tej odpowiedzialności, a po-

święcenie się nie jest szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym“.

Przetłumaczywszy powyższe słowa Towiańskiego na język przystępniejszy, powiemy „że „polityka“ przenikająca: „Dziady“, „Nieboską“, „Króla Ducha“, to głębokie, ekstatyczne przeświadczenie o niezniszczalności życia narodowego, choć życie to ciężkie niemal śmiertelne znosi katusze; to udokumentowanie głoszonej przez naszych mistyków zasady, że „siła rodzi się tylko w bólu“, to wielka dążność moralna do utrwalenia moralnej władzy równej dla wszystkich sprawiedliwości, to żądza powiązania narodów wspaniałą spójnią braterskiej, przez Mickiewicza tak często i tak uroczyście głoszonej miłości.

Nie jest pora, ani miejsce potemu roztrząsać o ile te z uczuciowego podkładu polskiej duszy zbiorowej płynące hasła mają realne warunki bytu, a o ile są utopijne; z mego stanowiska mógłbym tylko zauważyć — a każdy niezacietrzewiony jakimi bądź chwilowymi prądami przyznać musi — że właśnie temu uczuciowemu podkładowi zawdzięczamy — mimo warunków najnieprzyjaźniejszych — nie tylko rzeczywistość istnienia dzisiejszego, ale i niezłamaną dotychczas wolę istnienia w przyszłości.

Wobec pomnika Mickiewicza nie wypada używać wyrazu „literatura“. A jednak patrząc na ten żywiołowy pęd, który do Lwowa ściąga dzisiaj tłumy, trzeba nam mimowoli potrafić i o literaturę, gdyż w niej — oczywiście w najlepszej jej części — uświadamia się to, co w pędzie wspomnianych jest w wyższym, niż nam się zdaje, stopniu, nieświadomem.

Według powszechnych u nas na oko wyobrażeń, Mickiewicz, zastawiający zegarek, aby dzieciom swym kupić mleka, należał do tej kategorii ludzi, którzy w realnem życiu narodu żadnej realnej nie przedstawiają wartości.

Nie był ani mężem stanu, ani starostą, ani adwokatem. ani urzędnikiem tej lub owej dykasterji, ani wielkim czy małym przemysłowcem — jednym słowem nie był tzw. „użytecznym członkiem“, że już nie powiem „podporą społeczeństwa“.

Mimo to, jakby na jakieś tajemne, mistyczne hasło, wszyscy wielką płyniemy falą do stóp tej ociosanej bryły kamiennej, która sama przez się nie byłaby niczem więcej, jak tylko „dziełem sztuki“, gdyby nie ukryty w nas pierwiastek uczuciowy, każący nam w pewnych momentach zapominać o „realnych“ walorach życia, a do potęgi, godnej kornego uwielbienia, podnosić wartości idealne.

Wyrazem tych „pewnych momentów“ najdobitniejszym i najtrwalszym była i jest u nas, jak i u innych narodów, literatura. Tylko, że pierwiastek uczuciowy, owijający się naokół tego, co Bismark określa u nas jako „politykę“, a co w naszym pojęciu jest tylko nie ugaszonym pragnieniem prawa swobodnego rozwoju na korzyść „przyszłego królestwa bożego“, odbierał tej naszej literaturze więcej, niż innej, cechy rzemieślniczej produkcji, owiewał ją czemś, co się w gotową nie da zamknąć formułkę, a co przywykliśmy nazywać natchnieniem. Wstydić się tego wyrazu nie potrzebujemy. U innych narodów tylko dzieła wyjątkowych jednostek twórczych przykuwają nas porywającą siłą uczucia, u nas i mniejsze talenty umiały dzięki właśnie żyzności się ich z ukrytymi czy jawnymi, poza złoty kołnierz ministra wychodzącymi požądaniami duszy polskiej, nadać pismom swoim znamiona odrębne, znamiona, które odwiodły ich od „literatury“, a zbliżały ku emanacjom natchnionym.

I w tem też szukać wypada wytłumaczenia zjawiska, że piśmiennictwo polskie, choć wzorowało się na prądach zachodnich, nie było prawie nigdy zwykłą ich kopją.

Nowe hasła literackie, przychodzące do nas z Niemiec, Anglii i Francji, padały u nas zawsze na specjalny grunt uczuciowy. Nie sięgam daleko, gdyż nie piszę rozprawy literackiej, ale — aby się zbliżyć do czasów mickiewiczowskich — ani jeden z prawdziwych poetów epoki przejściowej nie zadowalał się gotowemi formułkami, ale formułki te przewyciężywszy, kierował kroki swe ku rodzimym źródłom uczuciowym, wśród których przeważały motywy „polityczne”: żal za utraconą samodzielnością, przejmowanie się nieszczęściami narodu, budzenie nowych na przyszłość nadziei, budzenie, które w poezji naszej przybrało potem przedziwną woń kwiatu mesjanistycznego.

A kiedy pod wpływem teoryj romantycznych zaczęto dla zmrożonej klasycyzmem poezji odżywczego szukać ciepła w motywach gminnych, u nas hasło to zespałało się niebawem z myślą społeczno-patrjotyczną: wskazywano na lud nie jako dostawcę świeżych motywów poetyckich, ale jako na nieznaną dotychczas, tajemniczy, zbawczy czynnik w całości kształcie życia narodowego.

Ten charakterystyczny rys miał też stworzyć poezję, wśród ogólnego dorobku międzynarodowego niemal wyjątkową, poezję, nie posługującą się pewnemi, przemijającemi hasłami patrjotycznemi czy wolnościowemi, jak to widzimy np. w Niemczech, ale skupiającą w sobie wszystkie właściwości polskiej duszy zbiorowej, poezję, która tej duszy potężną, głęboką stała się syntezą. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie, że syntezę tę zakłęła we wszystkie najcudowniejsze barwy i dźwięki i linje, we wszystkie środki, jakiemi rozporządza twórcza zdolność człowieka, to z dumą powiedzieć możemy sobie, iż jest w nas coś, co nas uprawnia do stawiania poezji tej posągów trwalszych od spiżu i granitu, do zdobycia szacunku dla niej i czci w całym ucywilizowanym świecie, do

zdobycia jej uwielbienia, któremu towarzyszyć ma okrzyk: Oto jest twórczość, godna ludu wolnego.

Szacunek i cześć dla poezji naszej u cudzoziemców nie są tak powszechne, jak na to zasługuje; przyczyny szukać trzeba w naszym położeniu politycznem. Mimo to jednak, nie brakło głosów poważnych, przyznających właśnie pieśni mickiewiczańskiej jedno z miejsc naczelných w ogólnym dorobku twórczym ludzkości. Nazwano go pierwszym poetą wieku, który wszystkie tego wieku znamiona, wszystkie jego dążenia, prądy, troski i nadzieje w swojej twórczości skupił i pod względem środków, jakimi rozporządza poetyckie słowo, w genialny odzwierciedlił sposób.

Ale w tej chwili sąd ten jest nam obojętny — mamy poczucie radości, że dusza polska, wodzona na manowce, kuszona, odchodząca niejednokrotnie od celów właściwych, idealnych, to znaczy wybiegających poza kromkę powszedniego chleba, nie zatraciła w ciężkiej walce o najpierwotniejsze warunki istnienia swych cech wrodzonych, swej zdolności do wielkiej ekspansji twórczej, albowiem żywym świadectwem tego są nietylko nieśmiertelne dzieła jej natchnionych poetów, ale i cześć, którą przenikającemu twórczość naszą duchowi, świadomie czy instynktownie składa dzisiaj naród u stóp posągu — najpełniejszego wyobraziciela tego ducha — Mickiewicza.

O TEOFILU LENARTOWICZU

I.

LIRNIK MAZOWIECKI

1.

Dla twej sieroty

Nie miecz skrwawiony, nie laur złoty,
Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
Jeno uboga skrzypka tułacka.
W odwiecznej księdze ona wryta,
Cieniem żalobnym cała pokryta,
A na niej będzie pod niebem brzmiała
Wiernego ludu cicha pochwała.
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami spłyną.

.
Niechaj mu serce w boleściach rośnie,
Niech mu na oczy w cichem uśpieniu
Przychodzą męże w stalnem odzieniu,
Niewiasty święte w śnieżnej bieliźnie,
Wszystko, co wielkie w jego ojczyźnie,
I niech mu czasem w noc lazuruwają
Twoje oblicze błysnie, Królowo!...

Kilka jeszcze dni przed śmiercią, która nastąpiła prawie nagle, marzył sędziwy, siedmdziesięcioletni starzec o powrocie do ojczystej ziemi. Dzięki smutnym stosunkom zakordonowym

nie mógł się on wprawdzie spodziewać, że stopa jego z lubością grzęznąć będzie po mazowieckich piaskach, że odwiedzi Warszawę, miasto rodzinne, któremu z pod błękitów Italji serdeczne słał pozdrowienia, Warszawę, na której imię, choć mu „przygody i lata włos odwiały z głowy, choć zmarszczki szerokie piętrzyły się na jego czole, choć mu doli ponury szumiał wicher, dusza była gorętszą“, niż kiedykolwiek, tę Warszawę, „matkę jego i matkę ludową, ruchomą, a wciąż jedną, jak wiślane łoże“.

Natchniony autor „Bitwy Racławickiej“ żadnych pod tym względem nie posiadał iluzyj. Chciał on przynajmniej tutaj, w naszej dzielnicy, ojczystego zaczerpnąć powietrza, chciał we Lwowie i Krakowie uścisnąć prawice wielbicieli i przyjaciół, którym do końca żywe zachował uczucie; chciał odwiedzić mogiły tych, którzy mu niegdyś druhowali, a po których została pamięć, w kamiennym wyciosana grobowcu, w nieumierającej zamknięta pieśni. Chciał on wreszcie po długiej tułaczce, „w której dusza biedna tak się miota, jak zwierz ułowiony w sieci, w której oko odwraca się od wesela, choć to wesele z wiosennych płynie kwiatów, ścielących się pod stopy wędrowca“, złożyć znękane kości swoje pomiędzy swoimi; chciał, aby mu zadzwonił „dziadek siwowłoso, a skowronek, ażeby pod jego głazem uwiął swe gniazdko i, gdy powiew wiosenny wzbudzi kwiatów roje, wybieżał nad dolinę, jak myśli jego“, w melodyjny dźwięk ujęte.

Chciał i wierzył, że tak będzie, ale wiara i nadzieje nie spełniły się niestety! Wielbiciele mazowieckiego lirnika, którym los nie pozwolił go zobaczyć w Florencji, nie doczekali się upragnionej godziny, aby dotknąć się ręki, która i pióro i rylce rzeźbiarski na chwałę skolatanej dzierżyła ojczyzny. Jedno się tylko spełniło: Ziemia rodzinna, która nie mogła dać przytułku żywemu, otwiera swe wnętrza dla umarłego. Nie ułożą

wprawdzie zwłok kmiecego pieśniarza na wiejskim uroczysku, ale wśród rytmicznych, poważnych dźwięków starego Zygmunta, który niedawno swem sercem brązowem witał króla pieśni naszej, poniosą go na Skalkę, na miejsce według panujących wyobrażeń zaszczytniejsze, do grobów tych mężów, którzy się dobrze na ojczystej zasłużyli glebie.

Z chwilą śmierci, która nastąpiła we Florencji dnia 3. lutego 1893, skończył Lenartowicz lat 70. Długi to wiek i do popierania publicznego dobra nie jedną nastroczający sposobność.

Spółczeństwo nasze posiadało zawsze liczny zastęp ludzi, którzy dni swojego żywota zamieniali w nieprzerwany łańcuch trudów, nie dla własnej ponoszonych ambicji lub kieszeni, którzy za wdychanie ojczystego powietrza płacili sówicie i potem i krwią i łzą niejedną, którzy z zaparciem, nie ustępującem abnegacji pierwszych chrześcijan, biegli na szanćce ciężkiej, narodowej pracy.

Do zastępu tego należał i mistrz Teofil, od najranniejszej życia doby służąc ojczyźnie czem mógł najkorzystniej — plonnem wyzyskiwaniem każdej do działania sposobności, objawiającej mu się w postaci poetyckiego natchnienia.

A mógł Lenartowicz powiedzieć o sobie, że praca jego nie idzie na marne, mógł wierzyć, że pieśnią przysparza cegieł do wzniesienia gmachu lepszej przyszłości. W czasie bowiem, gdy z lutni swojej najdźwięczniejsze wydobywał akordy, naród polski nie był jeszcze do tego stopnia zbałamucony fałszywie pojmowanemi hasłami filozofji materialistycznej i wypływającej z niej etyki, ażeby do łona swego zabraniał przystępu tym uczuciom i tym myślom, które nie zamykają się w czterech ścianach kantoru, którym nie towarzyszy brzęk wyliczanego złota lub szelest sortowanych banknotów. Wówczas jeszcze „przekupnie nie zakładali swoich kramów w miejscu, gdzie krew męczeńska płynęła strugami“; wówczas

wierzono jeszcze, że pieśń to czyn, więc ją kochano i czczono jako Zbawicielkę, zbliżając się do niej, jak ongi chromi, ślepi i trędowaci zbliżali się do cudownego źródła w Siloe, ażeby z kąpeli tej wyjść uzdrowionymi, ażeby utracone odzyskać siły.

Pieśń stawiała się czynem, a na jej odgłos

„Rolnik porzucił zacisze spokojne,
Swoją domkę cichy i pobiegł na wojnę.
Biedny robotnik nie bacząc na dzieci,
Obnaża piersi i do bitwy leci —“

A choć

„Upadły strzały i cisza się stała,“

choć

„Słońce wyblęskło na milczące ciała
I krew poległych przyschła na kamieniach,
Jak sprawiedliwość w zwycięzców sumieniach“,

choć

„Na wszystkich padła długa troska błąda,“

to przecież wierzono, że „ten czujny żóraw, ta słowiańska lira“ będzie zwiastunką chwili, w której „pogodą, swobodą pokraśnieje świat cichy“, w której „z Krakowa po Kijów, od Skadry do Nitry będzie tylko Bóg na niebie i człowiek przy pracy.“

* * *

Teofil Lenartowicz urodził się w Warszawie 27. lutego 1822 r., a więc w czasie, w którym twórca „Ballad i Roman-sów“ poezji klasycznej zawziętą wypowiedział walkę, stwa-rzając równocześnie potężne podwaliny nowej pieśni.

Rodzice „mazowieckiego lirnika“ pochodzili z Litwy, z Gro-

dzińskiego, a właściwe nazwisko ojca miało być Kierzgajłło. Ile w tem prawdy, nie wiadomo; Lenartowicz sam, oprócz wieści, zasłyszanej od przyjaciół wcześniej zmarłego ojca, bliższych w tej mierze szczegółów nie posiadał. (List do Edwarda Pawłowicza). Jest to zresztą moment dosyć obojętny, na charakter bowiem twórczości jego nie wpłynął.

O kierunku poezji autora „Lirenki“ zdecydowała wieś mazowiecka, w której chował się od pierwszych zaraz dni swej młodości, a do której przez cały długi swój żywot tęsknić nie przestawał.

Rodzice, ludzie niezamożni, wyższego wykształcenia synowi dać nie mogli; nie pobierał on nawet właściwych nauk gimnazjalnych, a cała jego edukacja zamknęła się w szkole powiatowej. Zmuszony od najwcześniejszych lat zarabiać na chleb powszedni, przyjął Lenartowicz już w czternastym roku życia miejsce dependenta u jednego z adwokatów warszawskich, a wkrótce potem wstąpił na drogę kariery rządowej, aplikując się przy byłym sądzie najwyższej instancji, gdzie doczekał się posady kancelisty. W urzędzie szło mu dość gładko; po utworzeniu senatu warszawskiego został nawet pomocnikiem referenta dla spraw cywilnych w komisji sprawiedliwości z dobrą stosunkowo płacą 1.800 zł. polskich rocznie.

Nie długo jednak w obranym wytrwał zawodzie. Wrażliwa dusza jego w inną stronę zaczęła zwracać swe oczy: skromny kancelista zapragnął wawrzynów, które w udziale dostają się prawdziwym wybrańcom losu. Pomimo niedostatecznych środków naukowych zaczął Lenartowicz pojmywać wrzące naokoło niego życie literackie, a jedynem jego wówczas marzeniem było zdobyć sobie taki zasób wiedzy, któryby mu pozwolił stanąć w szeregach umysłów, będących chlubą i pożytkiem społeczeństwa. Rozpoczął uzupełniać braki wykształcenia, a dopomogli mu w tym względzie ludzie dobrej woli

śród których naczelne zajął w tym razie miejsce Wojcicki. Pracując obok biura Lenartowicza, w archiwum senatu, spostrzegł on w dziewiętnastoletnim młodzieńcu niezwykle do nauki, a przede wszystkim do poezji zapal i wziął się do dostarczania potrzebnych mu książek. Zbiory klechd i pieśni ludowych, pisma Jana Kochanowskiego i biblja pierwsze i najbardziej wpływowe pomiędzy nimi zajęły stanowisko.

Wczytywał się w książki te Lenartowicz, a w miarę głębszego z nimi obcowania, rósł w nim ten popęd, który kazał mu otrząsnąć szary proch biurowego żywota, a rzucić się w promieniejące tęczowymi blaskami natchnienia fale poezji. Miały spełnić się one wyroki, które nad niemowlęciem wyszeptali w chwili jego narodzin święci niebiescy, „o ludzką nędzę wielce troskliwy staruszek Mikołaj i Piotr, rybitwa boży, ulowione przez siebie rybki złote przed Panem na srebrnym składający stole“. W odwiecznej księdze przeznaczeń stała dla niego uboga skrzypka tułacza, żalobnym cieniem pokryta, a na niej miała pod niebo rozbrzmiewać wiernego ludu pochwała. Samotny miał on smętną pójść doliną, a dni jego miały spłynąć pieśniami.

Tak było napisane w wyrokach i tak się też stało.

2.

...pieśń ta długa
Na to się tam w polu rodzi.
Na co gwiazda z nieba mruga,
Na co anioł z nieba schodzi,
Żeby w ludzkie lzy tęsknoty
Zapleść promień słońca złoty,
Gdzie się czoła we krwi nużą,
Poprzewijać ciernie różą.

Gdzież bo pieśń ta nie przeciecze ?
Z łańcuchem się u nóg wlecze,
Po sybirskich stąpa śniegach,
Po Kubaniu modrych brzegach,
Jak cień w kraju gdzieś dalekim,
Ciągnie się za polskim czlekiem

.

Pieśni wiejskie dziewcząt sprawa,
To ich szczęście i zabawa.
Różne dziwy plotą plotki,
Kręcąc swoje kołowrotki.
A na duszę pieśń dziewczęca,
Jak nić złota się okręca.

.

Co ja z niemi się naszłochał,
Co ja z niemi się nakochał...
Niech Bóg broni i zachowa,
Pełna tego była głowa.

Czas, w którym Lenartowicz drukował pierwsze plody swej muzy, należy w dziejach literatury naszej do najgorętszych. Posiew hasel romantycznych, rzucony przez Mickiewicza przed laty mniej więcej dwudziestu, wspaniale wydał owoce. Tak zwani klasycy, wyobraziciele poezji skostniałej, sztucznej, akademickiej, zażegnany się od prawdy, jak od złego ducha, umilkli zupełnie, a na ich miejscu stanęli ludzie nowi, za rękę wiodąc muzę w postaci dziewczicy, nieraz rozczochranej i niedbale okrytej, ale swojskiej, tryskającej zdrowymi rumieńcami prawdziwego życia. Zdarzało się wprawdzie, że i na jej obliczu ukazał się pretensjonalny grymas jakiś, że i ona od czasu do czasu mrużyła sentymentalnie rozblękitnione źrenice, jak to nieraz u wiejskich spotykamy

dziewuch, które, posługując w mieście, podpatrzyły wyfio-
kowane swe panie. Grymas ten jednak ustępował rychło
naturalnemu wyrazowi, powieki podniosły się rychło do góry,
ażeby oko szczerą zaiskrzyło się radością, aby nieudany
powłokło się smutkiem, aby prawdziwym błysnęło zachwytem
lub rzetelnym zapłomieniało gniewem.

Bywa to właściwością charakterów młodzieńczych, nie-
wyrobionych, że łatwiej znajduje u nich grunt podatny sztuka
niż prawda. W „dojrzałym rozkwicie wdzięków“ znajdująca
się kobietka większe wywiera wrażenie na gołowatego stu-
denta, łatwiej pochwyci go w swoje sidła, aniżeli skromny
pączek lilji. To samo da się powiedzieć i o ówczesnym Lenar-
towiczu — nie co się tyczy wrażień, jakie na niego wywierały
odmiany „płci nadobnej“, bo o tem żadnych nie posiadamy
szczegółów, ale co się tyczy wpływu, jakiemu uległ w obco-
waniu z poezją romantyczną i jej przedstawicielami. „Miej
serce i patrzaj w serce!“ oto w lapidarnych rzutach najwy-
raźniejszy kontur nowej poezji. Atoli człowiek serca nieko-
niecznie ma być pozbawiony rozumu. Tymczasem bywało
i tak, że zwolennicy „antyklasycznego“ kierunku, przepi-
sawszy z katechizmu Mickiewiczowskiego na sztandarze
swoim wielkie hasło „serce“, niejednokrotnie przeczyli pra-
wom zdrowego rozumu. Głosili więc, że prawdą być może
tylko ostrołukowa z ziemi wystrzelająca katedra gotycka,
a zaś kłamstwem jest styllobat spokojnej świątyni helleńskiej;
prawdą nazywali symetrii pozbawione kształty powalonych
zameczysków, oblanych tajemniczem światłem księżyca, a zaś
jej przeczeniem promieniejące w słońcu szczyty regularnie
zbudowanych fabryk; prawdą była dla nich noc miesięczna,
przedłużająca kontury drzew i szczyty wież, napelniona nie-
widzialnemi postaciami topielic, biegunek i chochlików, a zaś
kłamstwem gorący dzień słoneczny, rozbrzmiewający pieśnią

skrzętnych zniwiarzy, rykiem pasącego się bydła, rżeniem hasających koni. W dalszem następstwie bywało tak, że uznawano za prawdę owe wybladłe, długowłose, o niebieskich migdałach marzące stworzenia, które ludzi przypominały chyba tylko w najogólniejszych zarysach, że nareszcie prawdą były uczucia nienaturalne, nie dające się ująć w ramy pragnień i dążeń nieco realniejszych, uchwytnych zdrowemu sercu i zdrowemu rozumowi. Ta, zapewne mniej sympatyczna strona tzw. romantyzmu, pociągająca atoli istoty przedrażnione, neuropatyczne, odurzającą atmosferą dowolności, przykuła na chwilę i Lenartowicza do siebie. Pierwszy jego wiersz, drukowany w „Nadwiślaninie“, posiada właśnie jeden z takich zwyrodniałych przymiotów nowego kierunku, mianowicie sztuczność, sentymentalne wykrygowanie uczucia. Miniaturowy Byron, rozczerował się młody poeta do świata, choć go wcale jeszcze nie poznał; pełen „bezbżeznego“ smutku — Weltschmerzem w dziejach powszechnego piśmiennictwa zwanego, — wzdycha do miłości bez końca.

Wobec tego, że w tym duchu pojawiały się nieomal codziennie daleko lepsze pod względem artystycznym utwory, wiersz Lenartowicza wrażenia nie wywarł. Jeden atoli dobry miał skutek: otworzył mu bramy wyrastających jak grzyby po deszczu czasopism. Płody niedojrzałej jeszcze muzy zaczęły mniej lub więcej grymaśnie przemawiać do niebardzo zachwyconych czytelników z oficyn „Przeglądu naukowego“, „Nadwiślanina“, „Jaskółki“, „Biblioteki warszawskiej“. Szerszą uwagę zwrócił na siebie Lenartowicz dopiero w r. 1844 apostrofą do poezji, drukowaną w „Bibliotece warszawskiej“. Ale i ten utwór nie odzwierciedla jeszcze właściwości dźwięków wstawionej w późniejszym czasie lirenki, z mazowieckiego wystruganej drzewa. Wygląda on raczej na opracowanie zadanego tematu, a nie odznacza się ani siłą uczucia ani świe-

żością obrazowania. Konwencjonalizm zarówno w formie jak w treści. Posiada w sobie coś z ody horacjuszowskiej, albo też z kanzon owych akademików florenckich, którzy umieli wprowadzić podstępem uczuciem tryskające ryspetto i strambotty tokańskiego ludu, ale w których misternie rzeźbionej, kryształowej formie, uczucie to tężało w regularne a zimne kryształki.

Przedmiot sam, „Poezja“, pomimo swej abstrakcyjności, nadaje się do ujęcia go w kształty uchwytnie. Można na jego cześć wyśpiewać hymn natchniony, jak to uczynił Mickiewicz w „Wallenrodzie“ z ową „arką przymierza“, pieśnią gminną, i jak to sam Lenartowicz w późniejszym wieku odnośnie do tejże pieśni ludowej pokazał. Wzmiankowany powyżej wiersz jest w rzeczywistości — wierszem, a należy do tej samej kategorii, do której zaliczyć się dadzą owe epitalamja, urzędowe trenodje i aż do zbytku otrzaskane „pochwały“ wieku siedemnastego.

Trzy szczególne cechy dostrzega autor w „Poezji“ — te mianowicie, że jest „matką“, „wiarą“ i „prawdą narodów“. Trójcy tej użył on też jako punktów wytycznych, około których obraca się jego ściśle odważona, wyrozumowana „pochwała“, podobna do płomienia, wykutego w kamieniu. Poezja jest matką narodów i jako taka ukazawszy im się z mieczem i w zbroicy hartownej, rozwiawszy na wiatr swój sztandar śnieżny, roznieca w sercach zapal szalony, pchając rycerzy do boju. Gdy w zapasach upadnie bohater, wtedy schodzi ona ku niemu i składa mu wieniec chwały na głowę, aby śmierć miał wesołą. Zimne duchy zapaliwszy ogniem, obala tłumy niezwyciężone i ludy zbawia cudem. Poezja męczennikom stawia przed oczy obrazy lepszego świata, obrazy boskich krain weselnych, za męczarnie życia światłość bez końca i dla tego jest wiarą narodów. W charakterze zaś prawdy

narodów rzuca swoje spojrzenie na wybrańców, że świecą na wieki, wiąże dłońmi szermierzy w czas ślubnych świata obchodów a ich duchy stawia w ołtarzu.

Ze streszczenia tego widać, że środku, jakich autor używa, zapożyczone są z arsenału poezji pseudoklasycznej, a składają się na całość, pomimo pozorów gorącego uczucia, skostniałą.

Ujemne to wrażenie potęgują jeszcze epiteta, nadawane opiewanemu przedmiotowi. Poezja jest więc córka słońca, białoramienną dziewczicą, odzianą w szaty anioła, albo jak Bellona czy Pallas Athene, w hartowną zakuta zbroję.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad tym utworem z trzech przyczyn: po pierwsze, że rodzicowi swemu pewien zyskał rozgłos, co świadczy o nieustalonym jeszcze smaku ówczesnych redaktorów i szerszej publiczności; po drugie, że i Le-nartowicz w owym czasie nie miał ugruntowanych pojęć artystycznych, bo gdy w pierwszym wierszu jego drgały przeciągnięte struny spaczzonego romantyzmu, to tutaj zaliczyć go należało raczej do klasyków; po trzecie, i to przede-wszystkiem, że nie posiada ani jednej z tych cech, które wkrótce potem, jak gdyby cudem, wystąpiły w całym uroku przedziwnej, żywicznej wonią swojskiej atmosfery oddychającej „Lirenki“. Elaborat ów nie był wpływem żywego natchnienia, bezpośredniego obcowania z temi przemagającymi żywiołami, które stworzyły prawdziwą jego poezję, obcowania z ludem i otaczającą go przyrodą, ale raczej świadectwem zainteresowania się nieprzebrzmiałymi jeszcze wówczas echemi walk literackich, szukania drogi ujścia swojemu dla pracy twórczej zapałowi.

Wrażenia pierwszych lat, spędzonych na wsi, nie odezwały się jeszcze, nie zaczęły się jeszcze domagać ujęcia ich w ramy artyzmu.

Miało to jednak nastąpić niebawem.

Jedną z największych zasług romantyzmu było obudzenie potrzeby zapoznania się ze skarbami, drżmiącymi w nieznanem dotychczas, dla klas inteligentnych nieomal tajemniczem łonie życia ludowego. Chodakowski zrobił początek, a za nim poszedł szereg innych, rozkopujących dawne grodziszczą, zbierających podania i pieśni pogardzonego gminu. Drogie kamienie, wydobyte z ziemi ojczystej, szlifowali najrozmaitsi poeci, nizając z nich przepyszny różaniec, który nie uczyniłby wstydu przebogatemu skarbcowi legendowego Ali-Baby. Kult poetyckich pierwiastków rodzimych wrzał naokoło Lenartowicza, a książki, dane mu przez autora „Klehd starożytnych“ — pieśni ludu, Kochanowski oraz biblja, która w tłumaczeniu Wujka stała się najzupełniejszą własnością narodu, zrobiły swoje. Wczytując się w te niewyczerpane źródła prawdziwej poezji, odkrył on właściwą stronę swego talentu i począł odświeżać zaznane za lat dziecięcych wrażenia, gromadzić nowe i porządkować, aby, zamknąwszy je w formę artystyczną, zadziwić niemi rodaków.

Czynił więc wycieczki w okolice Warszawy, bujał okiem po szerokich polach, któremi modra Wisła płynie; włóczył się po lasach sosnowych, okalających brzegi Narwi i Bugu, zaglądał na nowo do chałup chłopskich, które był przed kilkunastu laty opuścił. I nie było przedmiotu w tem państwie swojskiej przyrody, któryby nie więził jego zmysłów, któryby nie przeszedł potem do jego pieśni. Stary dąb, zgarbiony nad wodą, niewiasty, bielące płótno na brzegach, hociany, spacerujące po łąkach, obłoki, jak „runo słońcem przeciekłe“, przesuwające się po niebie; rybitwy i kuliki, kołujące nad błękitami rozniebieszczonej królowej rzek polskich; łodzie flisowskie jak cyranki szare, a za niemi tratwy i galary, pszenicą ładowne, płynące po falach wśród szumu wiosel i krzyków i śmiechu; zawodząca nuta wiejskiej dziewczyny, lecąca po

rosą zlaných dolinach, woń żywicy z borów pobliskich, brzęk pszczoły, echa pastuszych ligawek, lub dzwonka, dolatującego z wiejskich kościółków, pieśń skowronczana, kukanie kukułki i gwizd wilgi — oto żywioły, które nieprzepartą ujarzmiły go siłą i stworzyły na wskrós oryginalną, niebywałą dotychczas poezję.

Na nowo zaglądał on do zapadłych kątów, pomiędzy Kurpie, do tych puszczy, gdzie w dniach dzieciństwa, „rzeżki jak żrebię stajenne“, pływał po rzece błękitnej; gdzie znajoma mu była każda ścieżka; gdzie z parobkami konie nocną pasał dobą, gdzie z nimi wytańcowywał się po karczmach; gdzie lud — same święte Marki i święte Anny — żyje boskim cudem, „jak po zimie się odradza i zawsze wiernym jest Polsce“; gdzie pieśń, towarzysząca żołnierzowi w Sybir gnanemu, leczy rany serca; gdzie „wciąż tylko mógł coś przybywa, gdzie łza upada i zasycha“.

A dziwna to pieśń, która nad temi unosi się mogiłami.

Słuchając jej, wykąpanej w rosie, świeżej, jak ten zagon z rana, rośnie dusza, gdyby ziele, i tak się rozradowuje, że zdaje się człowiekowi, jak gdyby ta ziemia, po której łanach pieśń ta, niewiadomo, jak leci, była krainą, płynącą mlekiem i miodem, a przecież na niej „tyle jest krwi i tyle jest łez, że ludzie brodzą w nich aż do kolan“.

Nie wiadomo, jak pieśń ta leci i skąd się bierze! Czy fruwa jak ptaszę ponad stawem, czy mknie, jak głos ginący w przestworzu, czy sunie, jak obłok ponad dolinami: dość, że zabrząknawszy dzisiaj na Podolu, wdzieczy się jutro nad Dunajem, klaszcze w borze mazowieckim albo pnie się po karpackich górach. Nikt przed nią nie ustrzeże swych progów, dojdzie ona do najdalszych braci. Za dnia, jak skowronek, ulatuje ponad zagonami, rwąc duszę ze sobą, a gdy zgaśnie słońko boże, chwilę się jeszcze na pagórkach i wodach pożali.

a potem spadnie na smugi i schroni się do chałup, pomiędzy dziewczęta, siedzące przy kołowrotku. Tutaj w długie wieczory i noce błyszczy im jako gwiazda albo otacza je zmrokiem smutku, tańczy z szczęśliwemi, ze smutnemi smuci się albo otuchę im wlewa. Tutaj melodyjnym językiem niesłychane opowiada im dziwy — o tej pani, co zabiła pana i aby zatrzeć ślady swej zbrodni, zasiała na grobie rutkę i lilję, ale krew ludzka woła o zemstę: rutka i lilja zdradzają przewinę. Tutaj przywodzi im na pamięć oną wierzbę, co wydała siostrę niedobrą: będzie ona słodkie piła winko, śmiać się będzie do rozpuku, ale głos fujarki, wykręconej z owej wierzby, zagłuszy jej śmiech, zakłóci gody weselne. „Starsza siostra mnie zabiła“ — nuci ligawka i włosy staną na głowie panny młodej, a lica družek bladość pokryje — rozpierzchną się, a za niemi płynie smętny jęk fujarki: „Starsza siostra mnie zabiła! smutku wiele! bardzo wiele!...“ Albo pieśń ta dawne opowie im dzieje o krwawej koszuli dzieciobójczyni, albo o tym koniu siwym, co na grobie swego pana, poległego w ciężkim boju, nóżką grzebie i żałuje i żałuje... I tak w kolej aż do zorzy...

Póki oczu sen nie zmorzy,
Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka...

Nasłuchał się jej poeta na Mazowszu i na Kurpiach; tutaj też świadom, czego naród pragnie, nieraz ogniem zapłonął; tutaj też płaczki-wierzby dały mu „na jęk długi po ojczyźnie“ gałąź na fujarę...

Niedługo miał tę pieśń rodzimą usłyszeć i w innych ojczyzny naszej dzielnicach — w Poznańskim i Galicji.

Warszawę opuścił w roku 1848 i udał się nad Gopło, do gniazda orłów piastowskich, gdzie przed wrażliwą duszą poety

nowe stały obrazy : legendowe dzieje Popielów, patriarchalny Piast, na postrzyżynach jedynaka ugaszczający posłów bożych ; zaślubiny Mieclawa z dziewanną pól czeskich, Dąbrówką ; chrzest narodu, burzenie świątnic Lelowych, krwawe zapasy z Niemcami.

Strony nadgoplańskie, które Słowackiemu posłużyły za tło do Balladyny i Lilli Wenedy, senne, a urodzajne równiny, pozbawione lasów, gdzie po kilka mil, wszerz i wzdłuż, oko swobodnie hulać nie może, koncentrując żreniczne promienie na starej wieży kruszwickiej, tym dzisiaj jeszcze potężnym kolosie, sterczącym na wyspie, oblanej zwierciadlanymi falami historycznego jeziora, niezwykle na nim, a błogie wywarły wrażenie. Wsi okoliczne, owiane ciemną powłoką zamierchłych podań : Mątwy nad rzeką tegoż nazwiska, Krusze, Tupadły, Ludziska, Przedbojowice, Kościelec z ich polami, na których liczne posiano mogiły, gdzie dzisiaj jeszcze co krok wyorują kości i resztki broni, stawiały mu żywo przed oczy przeszłość zamierchłą, w której krew mąciła się z wodą, w której kruszyły się miecze na karkach nieprzyjaciół, w której niejedne tu padły zastępy ; przywiodły mu późniejsze walki z Krzyżakiem i Szwedem, oraz bratobójcze zatargi dumnego z królem magnata.

Echa tych prastarych, ossjanowskich — możnaby powiedzieć — melodyj odbiły się nie jeden raz w jego lirze a echa te ze wspólnego płynęły źródła, z pieśni i podań gminnych, których wrażenie spotęgowaniem zostało bezpośredniem zetknięciem się z miejscami ich narodzin.

Zmuszony opuścić Wielkopolskę, zwrócił kroki swoje do Galicji, i tutaj, we Lwowie i Krakowie, zapoznał się z zastępem literatów i poetów, a zapoznał się serdecznie, tęskniąc ku nim z obczyzny, gdy pod włoskiem podróżny tłumok złożył niebem.

„Miły Boże! gdybyżem ja to znalazł się kiedy pomiędzy wami“ — pisał w jednym ze swych listów — „ażebyśmy to jeszcze wolni gdzie w Karpatach się zeszli, ilu nas jest śpiewaków, tożbyśmy nowemu słońcu Polski śliczną sobótkę zapalili. Kornel (Ujejski) uderzałby w struny, jak druida, ślepy Karol (Szajnocha) opowiadałby przeszłość, a od Goralczyków i Polan stary Bohdan (Zaleski), stary Wincenty (Pol), bo i jego byśmy wzięli, Goszczyński i Szujski i Ty (Starkel Juljusz) i ja potrochu i Gustaw Ehrenberg i Paygert i Brzozowscy i Norwid Cyprjanek, każdyby coś zaśpiewał i tak by noc zeszła gdzie na szczytach Krywania, z kąd królów widać i stare przesławne grody, a potem usypalibyśmy mogiłę umarłej braci śpiewaczej, wysoką, piękną, na wieczną chwałę wiernym Ojczyzny synom. Hej marzenia! marzenia! aż do grobowej deski“!

3.

Już słoneczko powstało,
 I przegląda się w rzece:
 Oj na rosę, na białą,
 Polecęz ja, polecę!
 Jak to z brzozy płaczącej,
 Co wyrosła nad rzeką,
 Krople rosy świecącej
 Zwieszają się i cieką.
 Jakie jasne obłoki
 Na niebieskim przestworze,
 Jakie czyste potoki!
 O mój Boże! mój Boże!...

 Już południe, słyhać dzwonki,

Stary pastuch spędza z łąki,
To pawłowa — to graniata,
Co kołatką tak kołata,
A to nasza krówka goni,
Co jej dzwonek cienko dzwoni.
I od gaja aż do gaja
Rozlega się ryk buhaja.

.
Szumią lasy! hej lasy!
Aż w karczemce grzmia basy.
A kiedy pić, to piją,
Kiedy skaczą, to skaczą,
A jak płakać, to płaczą,
A jak bić to biją...
To już u nich tak idzie,
Na półsłówka nic niema,
A pocierpieć jak przyjdzie,
To i to się wytrzyma...

Na niwie tak przygotowanej, w epoce, którą zamknęliśmy, poprzednim rozdziałem t. j. w czasie wędrówek Lenartowicza po kraju aż do zawitania do Belgji i Paryża (o czem w dalszym wspomnimy ciągu) zaczęły wyrastać te zioła, które śpiewakowi odrazu głośne wyrobiły nazwisko. Przyjmowano je z zapalem a sprawozdawcy dziennikarscy nazywali je niejednokrotnie „arcydziełami literatury naszej i nie naszej nawet, bo w nich jest ta biała korona sztuki, która im łatwiej wygląda w formie, tem trudniejszą jest w istocie. Inni przysyceni mesjanicznymi i tytanicznymi płodami ówczesnej literatury naszej odetchnęli swobodniej, słuchając tego czystego i prostego głosu natury. Nietylko Warszawa, ale i kraj cały czytał je z uwielbieniem. Około 1854—7 roku prawie zapom-

niano o wszystkich innych poetach, przenosząc nad nimi Lenartowicza, sam nawet Mickiewicz w swojej pomnikowej wielkości jakby usunął się na stronę i spokojny o swą przyszłość, słuchał, jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą!“ (Tyg. Ill. 1861).

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zapal ten był przesadzony, że lirnik mazowiecki nie mógł iść w zawody nie tylko z żadnym z owej wielkiej trójcy, ale że inni, współcześni mu poeci mniejszej miary niż piewca „Dziadów“, twórca „Irydiona“ lub śpiewak „Anhellego“, poeci jak np. Goszczyński Seweryn lub jego antypoda, Syrokomla, umieli w tej wspólniejszej duchowej szermierce szczęśliwie dotrzymać mu placu a pod pewnym względem nawet go prześcignąć. Pomimo właściwej mu wrażliwości, pomimo ambicji, ażeby nie być ostatnim pomiędzy dzierzającymi lutnię, pomimo wrażliwości, która w stosunku do czytającego ogółu przeradzała się czasami w sarkazm lekki, nie rościł sobie Lenartowicz żadnych praw do tego, ażeby naród w Westminsterze swych duchów stawiał go w jednej kaplicy i na równie wysokim piedestale razem z Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim. Poznanie się z Adamem w Paryżu nazywa szczęściem dla siebie, a gdy w burzącem się kotle partyjnych zawiści — czemu się nie dziwić, bo społeczeństwa tak skołatane jak nasze, nie zawsze zdolne są w ciągłej wyczerpującej sile walce o najelementarniejsze podstawy życia odpowiednią zachować miarę — otóż, gdy i u nas bryzgano „kroplami palącej trucizny na genjusze“ dla tego, że stali na odmiennym, niż to lub owo stronnictwo, politycznych zapatrywań biegunie, z piersi Lenartowicza wydobyły się słowa, przynoszące zaszczyt szlachetnej jego duszy:

„My żeglujemy na burzliwej wodzie,
Bez przewodnika, a jeśli los zdarzy

Wodza, to w buncie przepada żeglarzy,
Na męczenników jeden spoczął gorze (Mont martre)
Na męczenników drugi legł padole,
A nieśmiertelne wieńce na ich czole
Anioł ojczysty pod pałace burze
Od zapomnienia strzeże i zawiści
I żaden z złotych nie opada liści.“

„Że taki a nie inny sąd miałem i mam o naszych wielkich poetach“ — pisze w liście do Henryka Rewakowicza (*Tydzień* nr. 9 b. r.), dowodem listy moje o Adamie Mickiewiczu i konferencji w uniwersytecie bolońskim, w których o jednym jak i o drugim (o Słowackim i Krasińskim) ze czcią się należną wyrażam“.

Był jeden tylko pieśniarz, z którym Lenartowicz rywalizować mógł na serjo, zwłaszcza, że z nim najwięcej posiadał punktów stycznych zarówno co do istoty poezji jak i metody ujmowania wrażeniowych jej pierwiastków w formę artystyczną — a tym pieśniarzem był, jak się łatwo czytelnicy domyślą, Bohdan Zaleski. Jak zaś dalece niewłaściwe w tej mierze autor „Lirenki“ miał wyobrażenia, świadczy o tem fakt, przekazany nam w jednej z notatek Piotra Chmielowskiego („Złota Przędza“), że — przynajmniej za czasów swego pobytu w Warszawie, a więc w latach młodzieńczych, gdzie zarozumiałość choćby najbardziej posunięta byłaby najłatwiej do przebaczenia — bał się on najwięcej współzawodnictwa... Włodzimierza Wolskiego.

Jak powiedziano powyżej, zjawienie się utworów Lenartowicza, zawartych w „Szopce“, i „Larence“ wreszcie „Błogosławionej“ i „Zachwycenia“ witano z wielkim zapalem.

Autor sam, wędrujący po świecie, zdaje się, że nie wiele słyszał z tych apoteoz, w jednym bowiem z swych listów (do

dra Biegeleisena *Tydzień* nr. 7 z r. b.) z pewnym o „trjumfach“ swoich wyraża się przekąsem.

„...Jakież były moje triumfy“ — pisze Lenartowicz — „a prawda! trzy razy, w Krakowie w r. 1848, kiedy przedstawiono mój dramat p. t. *Wskrzeszenie* (zatracony przez amatorów, którzy go przedstawiali) i *Tyrteusza*, wiersz, recytowany na scenie krakowskiej...

Drugi mój triumf, to chyba mowa na kopcu Kościuszki, a trzeci — entuzjazm studentów na uniwersytecie bolońskim: kiedym po trzeciej konferencji wychodził do auli, okna się trzęsły i ręce wyciągały do mnie, a krzyk ogłaszał: *evviva la Polonia!*...“

Atoli ostatni ten objaw uwielbienia nie uważany był przez Lenartowicza jako do jego skierowany osoby.

„Nie dla mnie“ — odpowiedział im śpiewak polski, — „ale dla tej, która szlachetne serca wasze, panowie, niezmierną boleścią porusza, przyjmuję wasze słowa, najniższy i najnieznacniejszy pomiędzy swoimi“.

Przepraszamy za to małe zboczenie. Ostatni cytat charakteryzuje jednak skromność autora skromnych, ale prawdziwą, naturalną wonią tchnących kwiatów, zebranych na polskim łące, pomiędzy polskimi jęczmionem i zytami, pomiędzy polską ciężkokłosą pszenicą, którą zasiewa kmieć polski, którą polski kmieć wśród ciężkiego sprzęta znoju, którą w ciężkie wiąże snopy i zawozi do stodoły, niejednokrotnie nie swojej.

Najgłówniejszą cechą poezji Lenartowicza z tej doby jest naiwna prostota, właściwa pieśniom gminnym prostota, która miała pozostać mu już na zawsze, dalej niezwykła dźwięczność, muzyka, unikająca skrzętnie wszelkich dysonansów, przypominająca łagodny szum zbóż oraz cichy szelest drzew w pogodny, lekkim powiewem wiatru oddychający jeden z ostatnich dni maja. Używszy języka z dziedziny sztuk pla-

stycznych, powiedzielibyśmy, że w pieśniach Lenartowicza nie ma nigdzie jaskrawych barw, że wszystkie one zlewają się w jeden głównie koloryt, mianowicie w koloryt naszego nieba przy końcu wiosny, błękitnego jak kwiat bławatu, tu i ówdzie upstrzonego białemi od refleksów słońca chmurkami.

Takie też niebo jest tłem jednostajnych nieco, ale dziwnie pociągających krajobrazów, wśród których weselą się lub smucą bohaterowie lub bohaterki — jeżeli takim mianem, wziętem z poezji koturnowej — nazwać można owe „wiochny“, owe „kapryśne“, owe „jagódki“, owe „mazury za wołami“, owe „sieroce pacholęta“, które wyszły ze serca poety, a z którymi się razem weselimy lub smucimy.

Weselą się lub smucą! Te dwie odmiany uczuciowości panującym są w pieśniach mazowieckiego lirnika żywiołem; dla afektów spotęgowanych, jak szal radosny, rozpacz lub gniew, nienawiść, zazdrość i t. p., nie ma w tych pieśniach żadnego prawie miejsca. Nawet nienawiść do wrogów ojczyzny, Moskali, o czym później, nie posiada nigdy tej siły wybuchowej, w jaką zbroili bohaterów swoich inni tej samej doby poeci.

Wszędzie i we wszystkim idylliczny niemal spokój. Ale wróćmy do krajobrazów.

Szmat ziemi, pokrytej łąką zieloną, wśród której pstrzą się kwiaty polne, staw błękitny lub wstęga rzeki, nad którą rozsiadły się wierzby albo jaki dąb żylasty, samotna grusza, ciemny las, chałupy słomą kryte, otoczone ogródkiem, kościółek wiejski wśród brzoź, lip lub wieńca topoli, krzaki olszyny lub głogu, oto czynniki, składające się na pejzaż Lenartowiczowski, czynniki, które powtarzają się w niezliczonych razach, w ugrupowaniu zawsze nader prostem, naiwnem, wśród atmosfery lekkiej, wysoce uwydatniającej perspektywiczne oddalenia. Oto n. p. krajobraz, przedstawiający wioskę:

Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciagną się słupy.

Przy jednej gruszka,
Lipa przy drugiej,
I tak tam drzemią
Po drodze długiej.

Zaraz poznać,
Gdzie rażna dziewczka,
Bo przy tej chacie
Ogródek, drzewka.

W ogródku lilja
I mak czerwony,
Słonecznik żółty,
W słońce zwrócony.

Po drodze w dali
Bieli się piasek;
Krzyże nad drogą
I zaraz lasek.

Pod lasem woda
Po łące płynie,
Z szumem na koła
Spada przy młynie.

I dalej leci,
Snuje się, świeci —
To blaskiem słońca
To gwiazdy blaskiem,
Światłem miesiąca
I zorzy brzaskiem.

Inny:

Kościół za wioską
Z czerwonej cegły,
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły,
A na kościele
Bocian gniazdo ściele...

Jeszcze inny — pejzaż na schyłku lata:

Zorza na wschodzie
Złoci się w wodzie;
Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazuruwa
Z wód się podnosi.

Szerokie pole,
Śpią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.

Tam brzoza biała
Włosy rozwiała;
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna cicha
W liściach wiatr wzdycha.

Albo taki przepyszny, wonią rozgrzanej ziemi oddychający
krajobraz wiosenny:

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak kryształ rzeczulką,
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słońko przygrzewa w poranek...

Krajobrazy te nie tylko żyją — blaskiem słońca, światłem
księżycy, migotaniem gwiazd, połyskiwaniem rosy, która od
zorzy brylantowe bierze ognie, pieśnią skowronka lub słowika,

kukaniem kukulki lub pogwizdem wywilgi, bębnieniem bąków, pluskiem ryb, kołowaniem jaskólek, szumem lasów i pól, barwami i zapachem ziół tysiącznych, ale pomiędzy temi wszystkimi żywiołami a postawionym wśród nich człowiekiem wewnętrzny istnieje związek, żyją one jego własnem życiem, cieszą się z nim, albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają w pracy, albo owocami swemi darzą go za trudy. „Skowronek orze, a przepiórka pogania“, albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“, że czas już zabrać się do żniwa. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa sobie i las z nią razem, a gdy zdziwiona tym śpiewem i tem, że jej się drzewa kłaniają, dech powstrzyma, milkną z nią razem i brzozy. Borówka, ta mała czarna jagoda odzywa się do zbierającego dziewczęcia: „weź mnie, weź, bo ja świeża! zjedz mnie, zjedz, bo ja słodka“. a gdy chłopiec świeże skiby pługiem przewala, nuca mu kosy i wywilgi, aby raźniej szła mu robota. Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza, druha swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa, bzów i konwalij leśnych. Kukulka, jeżeli kuka, to na to, aby samotnemu marzycielowi wywróżyć, ile mu jeszcze lat w ojczystej upłynie ziemi. A kiedy przyszedł czas, że człowiek musiał z rodziną pożegnać się strunami i iść w świat — na wolę i niewolę — kiedy się oko w chwili rozstania gorzką łzą zalewało, zasępił się i horyzont niebieski, deszcz padał rzęśisty, a pod wieczór słońce było zaczerwienione, jak od płakania oczy matczyne. Z najbliższą rodziną cała płakała natura, jak gdyby należała do tej rodziny najbliższej: wicher szumiał po polu, a kłosa pszeniczne strząsały lzy swoje na ścieżkę pod nogi idącego w świat tułacza. Nawet wrony w lesie krakały na gałęziach smutną pieśń pożegnalną.

Kalina, wyrosła w gaju, nad modrym potokiem, pijąca

krople rosy, strojna w czerwone korale i warkocze z cienkich uplecione gałązek, zalotna jak dziewczyna wiejska, która nie mając lusterka, przegląda się w źródle, kalina, igrająca z wiatrem rozczesującym jej włosy, los swój związała z losem wiejskiego chłopaka. Przyszedł on do niej codziennie, na wierzbiniowej fujarce żalosne wygrywać nuty, a ona czeka na niego stęskniona, jak kochanka. A gdy w jesieni położono grajka do trumny, tak sobie śmierć jego wzięła do serca, że straciła z żalu swoją urodę, że zrzuciła z siebie korale i rozwiała wszystkie swe liście.

Dwa dęby stuletnie, jak dwaj brodaci staruszkowie, gwarzą sobie śród cichej nocy miesięcznej, przekomarzają się o to, co z jednym i z drugim się stanie, a każdy z nich świadomy jest tego, że ich przeznaczenie ściśle jest związane z losem człowieka, z którym jeden i drugi chciałby jak najdłużej pozostać. Towarzyszą mu w drodze jego żywota od początku do końca. Jeden mówi, że będzie kołyską, którą ludzie sianem wyścielą, liściem ozdobią, że kołysać będzie albo chłopaka albo dziewczątko; a drugi mówi, że majstrowie sporządzą zeń żłobek dla konika ulana. „Bądź sobie żłobem“, przekomarza się pierwszy, „a ja będę w żelazo oprawną dzidą“. „Jak ty będziesz dzidą, to ja będę trumną tego człowieka i któż z nim dłużej zostanie?“ „Nie chęć się“ — odpowie znowu pierwszy: „ja wtedy będę czarnym krzyżem na grobie, a na krzyżu tym wyrzyją napis: „Tu leży wojak w bitwie zabity“.

Walecznego żołnierza zabiją, a dąb, jak najserdeczniejszy przyjaciel ubiegający się o okazanie mu swojego współczucia, ma być głosicielem jego bohaterskiego końca.

Ta nie wewnętrzna, zespalająca człowieka z Przyrodą, że oboje żyją ze sobą w braterskiej zażyłości, stwarza pomiędzy jej płodami, nie należącymi do społeczeństwa ludzkiego nawet mścicieli krzywdy zadanej człowiekowi. Pani zabija pana,

męża swego, grzebie go w nocy w ogrodzie pomiędzy kwiatami i, spełniwszy dzieło, przekonana jest, że zatarła wszystkie ślady swej zbrodni. Atoli lilja i ruta, rosnące na grobie, śpiewają pieśń żalosną, której treścią czyn ów krwawy, a śpiewają tak długo, aż przypadek nie sprowadzi brata zamordowanego. Od lilji i od ruty dowiaduje się on o smutnej nowinie i sprawiedliwą przeniewierczej żonie poleca wymierzyć karę.

Na tle takiego krajobrazu i wśród takich, uczuciami ludzkiemi ożywionych jestestw Przyrody — jakiegoż umieścić poeta człowieka?

Przeważna część jego postaci ludzkich pochodzi z chałup kmiecych i stanowi osobny świat, do tego sielankowo pojętego otoczenia jak najzupełniej przystosowany. Świat ten przypomina owe obrazy dawnych mistrzów, przedstawiające raj i pierwszych naszych rodziców. Żyją oni nadzy, a w swej nagości niewinni, wśród bogactwa najróżnorodniejszych roślin, złanych orzeźwiającą rosą i wśród fauny, gdzie nosorożec lub tapir, gdzie lew lub tygrys, w idylicznej obcujący z barankiem i wiewiórką zgodzie, zdają się wdzięczyć i przymilać do uszczęśliwionych Adama i Ewy. W dali tylko wśród gęstwiny ljan i olbrzymich paproci spoczywa wąż, z judaszowskim wyrazem oczu — bo na malowidłach tych paszcze wszystkich zwierząt mają w sobie coś ludzkiego — czyhający na to, jakby tę błogosławioną zakłócić harmonję. U twórcy mazowieckich sielanek, wąż ten istnieje również w postaci troski trapiącej lud biedny, ale tak jest ukryty, że widać mu zaledwie mały czubek łba.

Lenartowicz umiał podpatrzeć poetyckie życia ludowego strony i te zaklął w prześliczne swe „bohomaszki“. Mamy więc przedewszystkiem szereg dziewczyn wiejskich, a właściwie jedną — Wiochnę — w najrozmaitszych tańczącej i śpiewającej przed nami figurach. W cichym brzozowym lesie zbiera

jakaś Marysia czy Jagusia jagody, prosta, wesola, uśmiechnięta do tego skrawka nieba, niebieszczącego się nad jej głową, gwarząca z drzewami, które jej się kłaniają, z dzięciołem i wywilgą, z zajacem, który, usłyszawszy szelest, wyskakuje z pod jałowca i ucieka, nie chcąc słuchać, że dziewczyna dałaby mu liść kapusty, tak jak królikowi jakiemu. Piersi jej odychają swobodnie — istotę jej całą ogarnia świeżość, rozlana w lesie po niedawno spadłym deszczu. Jagoda po jagodzie idzie do dzbanka, dziewczę nuci chłopskie „dana oj! dana“, będące wykrzyknikiem radości, wesela. Ale naraz myśl jej zdaje się zaciemniać, a wargi składają się do piosenki, dziwnie tęsnej, smutnej zawierającej jedną z tych trosk elementarnych, które u Lenartowicza zaciemniają horyzont chłopskiej idylli.

Melodyjne zwrotki prawią o tej matce, co miała dwie sieroty: siedmioletniego chłopca, który, jak złoty aniołek, przepasany krajką, opalony, zawsze bosy, Bóg wie, gdzie szedłby za bajką — i córeczkę, taką samą, jak śpiewająca, „dziewczynę gdyby frygę“, która nigdzie miejsca nie zagrzeje, a tylko ciągle śpiewa i biega. Dobrze im się działo pod opieką ocz matczynych, ale przyszedł czas, że wóz, zaprzężony w siwe woły, zajechał przed chatkę, że dziadek kościelny pochwycił za linewkę od dzwonnicy a poza wrotami cmentarza smutna zaświeciła zorza, pokazując w swej czerwieni krzyże i sieroty na mogile... Piosenka się urywa, zapach bożego ziółka i brzęk pszczoły spędza z oblicza dziewczyny tęsknicę. Od owej troski myśl powraca do objawów codziennego żywota.

Południe — pastuch zgania z pastwiska bydło, mające dzwonki u szyji. Dziewczę poznaje każde z nich po dźwięku tych dzwonek, wie, która z tych krówek jest „pawłowa“, a która „graniata“, choć ich w tej chwili nie widzi na oczy. Od krów, od ryczącego w dali buhaja przenosi się jej myśl

do burka, „dobrego psiska, który żadnego nie napadnie dziada, ale za to, gdy na niego zawołać, aby poszukał myszy, tak natychmiast przybiega, kopie, spycha ziemię pod siebie i kicha“. Ale przyczyna, która wywołała w duszy dziewczęcia przypomnienie jednego z tych codziennie napotykanых obrazków, niknie: echo dzwonekóv coraz to słabsze i myśl wraca znowu do przerwane go wątku smutnej piosenki. Sierota idzie w świat, a siostra, żegnając go, przypomina mu, ażeby za siódmą rzeką, gdy mu już zmiłkną dzwony wiejskie, nie zapominał o rodzinnych stronach, o tej chacie rozwalonej i o tem niebie, co nad jej kominem tak jest błękitne jak oko matki nieboszczki. Niech zapomni o wszystkich, niech nie ogląda się nawet na tych ze swoich, którzy legli w mogile, ale niech pamięta, że czeka na niego „nasze niebo“. Zresztą — pociesza go

„Rosną wierzby nad wodami,
Nad zieloną pochyłością
Kto pożegnał się ze łzami,
Ten powita się z radością.

* * *

Bywaj zdrowy, bywaj zdrowa!
Smutno świeci zachód złoty,
Długa żałość, krótkie słowa,
Żegnały się dwie sieroty“.

Smutek, który nawiedza duszę chłopską, nie może zbyt długiej dawać sobie folgi — codzienne zajęcia, zabiegi około zdobycia powszedniego chleba, wypłaszają go przynajmniej na czas niejaki. Powróci on znowu, na razie jednak dziewczyna opamiętuje się, że w tej tęsknicy praca idzie jej jakoś

zwolna, a tu trzeba dużo zbierać jagódek, aby dla domu kupić za nie kwartę soli. Ten kłopot o kwartę soli wzmaga się, stając do walki z marzycielską tęsknotą. Innym razem zbieranie szło jej prędko, jagódki same napraszały się, aby je zrywała, a dzisiaj — czy je ptaki wydziobały? Nie! główka jej zaprzątnięta czem innem — losem owych sierót dwojga i dla tego tak jej nie rażno z robotą. Sierota przewędrował kraje świata, a choć nie zbywało mu ani na chlebie ani na soli, tęsknił przecież za kawałkiem ojczystego nieba i za krzywką wiatru ojczystego. Złotookiem piórkiem pawia pisze liścik do siostry, odsłaniający jego duszę, pełną smętku krwawiego, że na obczyźnie tego mu właśnie nie dostaje. I smutek znalazł oddźwięk w sercu siostrzyczki, kocha ona brata za miłość stron ojczystych. Jakiż to cudowny a prawdziwy rys wieśniaczego serca! Za zarobkiem idzie za morze, do Ameryki, Bóg wie, gdzie tam jeszcze indziej, haruje w pocie czoła, składa grosz do grosza, ażeby tylko módz wrócić do kraju, gdzie żadne go nie czekają dostatki, ale bieda z nędzą, w nierozzerwalny związanej sojuszu.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisła mało wiele;
Tyś braciszek, tyś jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim ciele.

I co przyszło jej do głowy,
Wypisała wszystko na nim,
Teraz wietrze cichym wianiem
Zanieś listek kalinowy...

I wiatr poniósł listek kalinowy w świat szeroki, a dziewczyna, przebiegłszy kawał boru i zarosiwszy się aż do pasa,

powraca do domu, zanieść jagody, za które ma być ona kwarta soli. Zdawałoby się, że tęskna piosenka ją opuści, ale gdzie tam! Piosenka ta z wschodnim spada na nią wiatrem, płacze się jej między myśli — nieogarniona tęsknota z troską codzienną ciąglą w życiu polskiego chłopca stacza walkę, skrzydlata poezja z ciężkonogą prozą.

Śliczny ten obrazek kończy się charakterystycznym: „Wola Twoja jak w niebie tak na ziemi“... cichą rezygnacją.

Do „Jagody“ przedstawiającej najidealniejsze pierwiastki duszy chłopskiej a równocześnie symbolizującej słonecznymi barwami i w rysach bardzo ogólnych dolę ludu naszego, podobną jest z wielu względów i „Dziewczyna“. Wesola jak tamta, — i jak tamta zakochana w przyrodzie; w dolinie, która dla niej się kwieci, w wietrze który dla niej wieje, w zorzach, które dla niej wschodzą, w gwiazdach wieczornych, które dla niej migocą. Za te skarby, które Pan Bóg dał jej na „piosnki i powiastki“ umie się odwdzięczać, opiekując się powojem, co się plecie przy krzakach nad ruczajem, ptaszyną śpiewającą w kalinowym ogródku matczynym, ażeby kwiaty nie zwiędły, aby chłopcy nie wybrali pisklat z gniazda; ona to oczyszcza źródło, ażeby w jego fali przeglądać mogły się gwiazdki. Kocha Boga, niebo i matkę, przy której czas jej lekko płynie. Ale i ona zapłacze nieraz i to wtedy, gdy o ludzkiej niedoli dojdą ją posłuchy —

Bo chociaż ja tak wesola,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z siola
I często samotna...

gdy do chatki

Zła wieść zakałacze,
To na łonie mojej matki
Żal nad ludźmi spłaczę...

„Oh! co to za wiersz!” — pisano o „dziewczynie”, — „jakaż to w nim prostota i jaka wielkość, jakaż prawda i jakaż sztuka zarazem! To prawdziwy fenomen w tych czasach... Muzyczność tu pieśni ludowej, ujęta plastyką Goetego, dźwięki tu Szopena, wcielone w słowa. Od czasów „Rojeń wiośnianych przy krosienkach” naszego Bohdana nie było takiej piosenki. Ta dziewczyna, co jeszcze bawi u matuli i myśli o kwiatkach i powoju jest tylko młodszą siostrą tej panny Bohdana, co mieszka u cioci i chce być ostrożną... Pieśń ta tak skromna jak lilja, tak czysta jak promień gwiazdeczki, tak świeża jak poranek, a tak smętna jak myśl o kraju. Jak słońce w kryształach, tęczy się w niej radość, jak kropla rosy w kielichu róży, drży w niej smutek...” Tak pisano przed laty z górą trzydziestu, a pomimo tego czasu, pomimo że na polu poezji naszej nie jeden od owej chwili bujny wyrósł kwiat, pomimo, że poezja zmieniła dzisiaj swą szatę i w nowej swej postaci dużo znalazła zwolenników, to najzagorzalszy przeciwnik „idealizmu” w sztuce na zdanie powyższe w zupełności pisać się będzie. To samo zdanie da się również zastosować i do „Wiochny”, wybiegającej z rannem słońkiem na białą rosę, rozkoszującej się tak samo, jak jej dwie poprzednie siostrzyce, tą brzozą płaczącą, co wyrosła nad rzeką, i temi jasnymi obłokami, co po niebieskim płynąc przestworze, odzwierciadlają swe kształty w czystym potoku.

Po głowie jej snują się rojenia, malujące jej naiwną, czystą, nieskalaną duszę. To przekomarza się z jaskółką, że nie tylko ona potrafi uwijać się wkoło, ale że to jej, Wiochnie, z ławnością przychodzi, niech no tylko ogień wznieci i krówkę wydoji, ażeby się matka nie gniewała, a pokaże, jaka jest zwinna; to raduje się, że Bóg tyle kwiecica rozmnożył po ziemi i że dał jej braciszka, z którym popieścić się spieszy, ale że się jeszcze nie zbudził, więc od kołyski dalej do kominka ogień

zrobić, a gdy się ogień rozpali, nużę czesać długie warkocze, o których ludzie tyle mówią, że jej aż się wstydzić trzeba. Nic w nich pięknego nie widzi, a tylko żmudną ma z rozplątywaniem ich robotę. Prawdziwy umysł dziecięcy, w którym się wrażenia nie łączą w jeden łańcuch, ale są jak rozsypane razem perły i korale, Wiochna przeskakuje z przedmiotu na przedmiot. Matka jej powiada, że nie rośnie, ale to nieprawda, bo niech tylko ciepły na wiosnę popada deszczyk, niech się w nim porządnie przemoczy, a od razu będzie — tak duża! Pająk przedzie szare swe włókienko, i ona umie to samo, a przytem mędrsza jest od niego, bo i na książce czyta i w kościele się pomodli i baranka na Wielkanoc jak żywego ulepi, a gdy w Trzy Króle zrobiła

„Świątą Pannę i Syna
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule
I z lilją staruszka
I z lirenką pastuszka,
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli...

Jak owa „jagódka“, dziewczę roi i roi: o tych wianuszkach, które z równianek plecie i srebrnemi i złotemi przetyka listkami, to o bożem drzewku i o tem innem ziele, „co się tak na prątki wije“, a które ogniście lubi, ale z tych rojeń budzi ją obowiązek — pomagania matce. Trzeba wody wyciągnąć ze studni, spiesz się na podwórko, spuszcza zóraw na dno, podnosi wiaderko do góry i przegładnie się w wodzie, w której taka druga, jak ona, się śmieje, albo zajrzy do studni, głę-

bokiej, że aż dreszcz przejmuje człowieka. Ale jej się bać nie potrzeba niczego... a jednak się boi — tych bąków, co po ogrodzie latają, tej osy żółtej na łące i tej jałówki, co bodzie... Boi się i tęczy, która się do niej tak uśmiecha i zaprasza do siebie, a która uniosłaby ją do miesiąca, gdyby zbliżyła się do niej. Trwożą ją także pioruny i grzmoty, ale gdy jest w kościele, wówczas żadnej nie czuje bojaźni, tak jej tam dobrze, jak w domu u matki; rzeźwo jej tam i tak wesoło, że aż ludzie, wzdrygając ramionami, szepcą sobie po cichu: „Ot, cieszy się, bo głupie“. Ale niech sobie gadają, co im się tylko podoba; jeżeli skowronkowi wolno z piosenką wzlatywać w niebiosy, to i jej nikt nie zabroni radować się do Boga. Gdy była u spowiedzi, powiedział jej ksiądz, że, jeżeli zgrzeszy, pokutę jej zada. Ażeby więc nie być zmuszoną powiedzieć o sobie, że żyła na świecie, a pokuty nie знаła, dopuściła się grzechu z umysłu, usączywszy nieco miodu z dzbana... Tak roi sobie dziewczyna, tak się weseli, jakby nie było smutku na świecie! A przecież i u niej nie obeszło się bez łez: płakała raz jeden, gdy jej babka umarła, płakała raz drugi, gdy się palił kościółek we wsi, płakała raz trzeci, gdy do chałupy zawitał dziadek z lirenką i zaśpiewał jej piosenkę o Polaku w niewoli... Wtedy to rozczuliła się do żywego i dziś jeszcze, gdy sobie wspomni o tem, nie wie, co się z nią dzieje, coś ją smuci i boli, że niedawno się znowu rozplacze...

Przytoczyliśmy szczegółowiej treść „Wiochny“, bo trudno byłoby za pomocą uogólniania wykazać mistrzostwo autora w malowaniu tej naiwnej duszy wiejskiej piękności. Lenartowicz wywołuje tutaj efekty najsubtelniejszymi rysami, rozrzuconemi niby bezładnie, a przecież cudowny, meissonierowski, dającemi portrecik. Wszystkie idealne cechy ludu naszego występują tutaj w całej swej krasie: miłość Boga, przyrody i swoich, miłość kąta rodzinnego, prosta, jak Boża

męka nad drogą, o żadne teologiczne esy i floresy nie troszcząca się wiara, pracowitość, skrzętność pszczela i jaskółcza zwinność łączą się tutaj w całość, piękną jak kalina, wonną jak lipa rozkwitła. W „Wiochnie“ uderza nas jeszcze rys jeden, zaznaczony także, choć bardzo lekko w „Jagódce“; mianowicie odczuwanie cierpień uciemnzonego narodu i zespalanie się z jego nadziejami, z jego wysiłkiem, wymierzonym ku odzyskaniu utraconej swobody. „Jagódka“ do dumki o sierotach nawiązuje piosenkę coś „o koniu i o szabelce“, a Wiochnie lży cieką z oczu, gdy jej zanućą „o Polaku w niewoli“. Ten sam rys, dla nas z wielu względów najbardziej zaciekawiający, znajdujemy i w innych poematach. Wieje śnieżycą, szumią drzewa, ponad zagonami wzlatują wrony, naokół zimno, przeszywające kości — a z chałupy wyleciał na drogę „chłopak“, z rękami czerwonymi jak raki, z oczami jak ciarki. Przez wieś maszerowali powstańcy, z daleka słychać jeszcze nutę dzielnego marsza, widać jeszcze bagnety, połyskujące nad starym żołnierzem.

„I przeszli, minęli,
Śnieg gęsty popruszył,
Choć przeszli, minęli,
Chłopak się nie ruszył.
Na czole mu siadła
Chęć bójki zawzięta,
Po twarzy mu spadła,
Kropelka zziębnięta.
Czy mróz ją wygonił
Wędrować po świecie?
Czy z biedy lży ronił?

Nie! Mazur nieletni poleciał do chaty prosić matki o takiż, jak u wojaków, karabin. Albo w onym „Grajku“, gdzie roz-

ochoceni parobcy dolewają staremu piwa do dzbana, ażeby im zagrał taką piosenkę, którąby cała Polska usłyszała, a zagrał ją z taką mocą, „ażeby już raz dobrze było“.

Spółczeństwo, zwłaszcza galicyjskie, mające w pamięci smutny epizod rzezi, do niedawna jeszcze inne o chłopie miało pojęcie. I dzisiaj zapewne ten i ów sceptycznie wzruszy ramionami, mając przed sobą Lenartowiczowskie Jagody, Wiochny, Baški, Marysie etc. Chłop który „więcej ubolewa nad utratą bydłęcia, aniżeli dziecka“ — bo taką charakterystykę słyszy się niejednokrotnie — nie zdolen jest, powiedzą, ani do tak subtelnych uczuć w życiu codziennem, ani do wzniesienia się do tej miłości, którąby mu kazała wylać, gdy tego potrzeba, własną krew swoją. Dla takich sceptyków argument żaden na nic się nie zda, a jednak piszący te słowa, który pomiędzy ludem się wychował i którego najserdeczniejsze węzły, bo węzły rodzinne z ludem tym łączą, częstą miał sposobność znajdywania po drodze, przewijającej się pośród łąków i chałup chłopskich, tyle pereł najdelikatniejszych uczuć, jakich trudno właśnie znaleźć w przecywilizowanych warstwach „wyższych“, gdzie każdy poryw, każde westchnienie ściśle jest odmierzone, ażeby nie przekroczyło granic „przyzwoitości“, ażeby nie ściągnęło na odnośne jednostki zarzutu prostactwa. Prostactwem jest bowiem zbyt serdeczność i szczerość otwarta, prostactwem nieokiełzany zapal. A co się tyczy uczuć patriotycznych u chłopca, to nasze dzieje dużo wykazują przykładów, świadczących, że lud nasz, choć przez całe wieki nikt mu nie powiedział, że Polska to matka jego, do tego synostwa z własnej woli czynnie się przyznawał. Kurpie bili Szwedów, Krakowiacy zdobywali moskiewskie pod Raclawicami armaty, a Wielkopolanie broczyli w krwi niemieckiej pod Wrześnią i Miłosławiem. Lenartowiczowi część się należy, że tego, drzemiącego na dnie duszy chłopskiej

uczucia, z którego wykwitnąć ma dla narodu owocodajne drzewo wybawienia, w pieśni swojej nie pominął, że przeciwnie, naznaczył mu jedno z miejsc najwybitniejszych. Lud polski rodzi z siebie „dęby i lilje“, a rodzi je z krwi, której ślady sięgają aż do głuchego Sybiru. Tam, gdzie już nawet słońca nie stało, anioł, przebiegający po świecie, usłyszał głos lirenki: Wygnaniec polski, brat „szczęsnej Marysi“, która umarła z żalu, że go w moskiewski zapędzono jasyr, niebieskie śród renów wygrywał kolendy. Lirenka grała a grała, że anioł począł gorące łzy wylewać i przed Polakiem, który „w nędzy tak kochać i w nędzy tak prosić umiał, upadł bieluchnym miesiącem“ i za tę miłość, „która nam dźwigać pomaga ciężary i daje wiarę w zwycięstwo, która serca nasze krzepi nadzieją i wciąż nas uczy, że lepiej będzie“, poniósł go na błonie wolnej już Polski...

Nie da się zaprzeczyć, że Lenartowicz przedstawia nam duszę chłopską jednostronnie, że maluje ją w słońcu, że odślaniając istniejący w niej bogaty skarbiec pierwiastków szlachetnych, starannie zdaje się unikać pokazywania nam cieni, z których niejeden rodzi się występек, niejedna zbrodnia. Ludzie to prawie bez grzechu, przechodzą przez świat czyści, jak ów „Janek stary“ (w rzewnym wierszu „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“), który od „chłopięcia szczególny miał statek w bitwach i w pracy i około dziatek“, którego dusza aż do skonu „tak była jasną, jakby co dopiero wyszła z dłoni Przedwiecznego“, a który umierając, po zapewnieniu księdza, że będzie miał nad sobą opiekę w niebie, jeden ma tylko jeszcze kłopot, co mianowicie powie, gdy stanie przed majestatem bożym, jak przywita tych świętych wszystkich i tych aniołów wszystkich, mających go w swoje przyjąć grono. A „cóż się mówi, kiedy się wchodzi między ludzi dobrych?“ — pyta się kapłan konającego — „mówi się: Niech

będzie pochwalony...” „Toć prawda! prawda” — zawoła staruszek i z tem pozdrowieniem na ustach zamyka na zawsze powieki.

Wiedział poeta, że „wszędzie są złości i kto grzechów nie ma?” ale był też równocześnie tego przekonania, że ten ich posiada „najmniej, kto się roli trzyma”. I z wielu względów może miał słuszość, boć doświadczenie uczy, że człowiek w obcowaniu z Przyrodą, lepszym się staje, aniżeli żyjąc z daleka od niej, zamknięty w ciasne mury życia miejskiego, wśród zaułków, gdzie zaledwie widać skrawek nieba, gdzie słońce rzadko w swej całej pokazuje się glorii. Przytem i pewne rodzaje zawodów, praktykowanych po miastach, wymagających niezwykłego naprężenia sił intelektualnych, ażeby w walce o byt, która tam ostrzejsze przybiera rozmiary, utrzymać grunt pod nogami, ujemnie wpływają na rozwój moralnych pierwiastków w wnętrzu ludzkim.

Tych „grzechów, które są wszędzie“, dostrzegał Lenartowicz pośród ludu jak najbardziej znikomą liczbę dla tego, ponieważ lud ten serdecznie ukochał a miłość, jak wiadomo, chcąc niechcąc zamyka oczy na niejedną przewinę.

Wielką już zbrodnią były te drobne przykrości, które sobie wśród trudów codziennego żywota sprawiają członkowie jednej rodziny. W „dwóch duszach“ mamy klasyczny tego przykład. Cnota i występki spotykają się w drodze powietrznej: duchy dwóch nieboszczyc, Barbary i Marji. Jedna z nich biała, jak słońce, kiedy się lekką okryje chmurką, druga zaś ponura, czarnolica.

Nieboszczyce, które za życia dobrze się znały, rozwinąwszy długie swe duchny, całuny, rozpoczną pomiędzy sobą rozmowę. I okazuje się, że pierwsza, biedne popychadełko, opalone zawsze od słońca, na ciężki trud skazana, że aż litość brała patrzeć się na nią, gdy żęła zboże, gdy ze zmęczenia ledwie że

dzbanuszek z wodą utrzymać zdołała, nie bielila się na żadnym blichu, nie wykąpała się w tę drogę wieczystą w żadnym stawie, w żadnym jeziorze, w którym łabędzie płuczą swe skrzydła, w żadnym zdroju, co w lesie z pod drzewa wypływa, ale że ją tak wybielił twardy znój, że ją tak własne łyzy, które nieraz ronić jej wypadło, z ziemskiej obmyły spiekoty.

A druga — czego się dopuściła, że w takiej czarnej zjawia się postaci? Ona, co tutaj na świecie doczesnym białą była, jak ściana, i rumianą, jak róża, poczerniała nie od ziół szkodliwych, ale od tego, że nieraz matce hardo odrzekła, aż jej łyzy popłynęły z oczu. Te łyzy matczyne stały się powodem tej zmiany.

Nie dziw więc, że lud, który ma tak wysoce moralne pojęcie — bo dwie dusze wzięte są z podania ludowego, które i piszący te słowa słyszał w jednej z chałup nadgoplańskich, że więc ten lud w miłością rozszerzonych oczach poety składa się „z samych świętych Marków i Ann świętych“.

Przy swojej cnotliwości lud w obrazach i obrazkach Lenartowicza wydaje się mniej więcej szczęśliwy.

W czas orki jedzie sobie „mazur“ z wołami na pole i śpiewa sobie razem z dziewczyną, której nuta dolatuje do niego z pobliskiego gdzieś lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dla czegoż nie miałby sobie zaśpiewać, dla czegoż nie miałby się weselić? Nie jest przecież żadnym „nicpotą“, ma przytem chatę i stodółkę poszytą, ma bydelko i dwa konie, ma żonę, którą kocha, i dzieciaka małego. Wszakci i Pan Bóg ma go w swojej opiece, bo grady omijają jego zboże, a deszczyku, gdy potrzeba, aby się żytko wykłosiło, również nie zbraknie. Sprzęty będą niezłe, z omłotu spadnie nawet coś dla kaleki, dla sieroty, dla ptaka, dla przyjaciela a nawet i wroga.

Ziemia obrodzi, to widać, bo to ziemia, jakiej nigdzie nie

ma podobnej. Są-ci, co prawda, urodzajniejsze jeszcze gdzieś tam łany, mają Kujawy zboża i łąki, ale nie mają takich lasów, od których dusza się raduje.

Ma człowiek swoją troskę, panu twardo służyć musi, ale za to może Pan Bóg daruje mu grzechy, może pocieszy go na dzieciach, nie ma się więc czego smucić... I nie smuci się: wyprawia ślubne gody córuni, na których „stary Józef skrzypkę stroi“, aż parobcy przytupują nogami, albo przy kwaterce zasiądzie sobie w karczmie, i dalejże na grajka i basistę, ażeby od ucha mu różnili. I grajek i basista nie dadzą się prosić dwa razy, „ten zawadzi, ten odprawi“, a smyczki chodzą po strunach jak gdyby same. I życie rozwija się, szaleje naokoło: dziewczęta nuć o tej przepiórcie, co ucieka w proso, chwytają nuty zbłąkane: ta dobra do tańca, ta do pracy a od tamtej znikają kłopoty... „Grajże grajku będziesz w niebie, a basista koło ciebie!“ I robi się

Szumno, tłumno i wesoło...
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem,
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.
Wszyscy skaczą, jak najęci,

a

Zmarnowane bieda z nędzą
Jak szalone ze wsi pędzą...

Muzyka zagłusza kłopoty codzienne i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jak gdyby bał się, żeby mu jego

skargi nie poczytano za złe, albo jakgdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę bożą, nie poddaje się rozpacz, chyba, że się już wszystko złe na niego spiknie, że mu się spali stodoła, że mu zboże grad wytłucze, że ma za cały majątek dwa doły, w których leżą żona i dziecko, że mu z chaty pozostaną same zgłiszcza. Wtedy to z rozpacz do moskiewskich przystanie żołnierzy, ale nim spełni ten czyn, w dzikim tańcu chce zapomnieć choć na chwilę o swojej niedoli. I tańczy, a grajek gra, aż się zmacha od grania, aż mu krople po licu pociekną, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego *Maćka* prawie oszalały, rzuci skrzypce o ziemię, potrzaska je i podepce.

Zdobył się Lenartowicz raz tylko na przedstawienie życia chłopskiego, z jego najmniej poetycznej strony; kolce i cierpie, których w tem życiu jest pełno, a które rozsiał w swych obrazkach nader wstydliwie, pokazał nam w całej smutnej ich okazałości, ale i tym razem nie każe nieszczęśliwemu robaka n. p. zalewać wódką, jak to się dzieć zwykło, tylko zagłusza go — muzyką. Muzyka jest nieodłączną towarzyszką Lenartowiczowskiego chłopca. Nuta, wydobywana ze strun skrzypcowych lub z ligawki unosi się ponad jego chatą, nad jego stodołką i oborą i ponad jego łąkami, zlewając się razem z odgłosem „*dzwonku*, który i dzień zwiastuje i dzwoni na odwieczery, kiedy się świat uśmierzy, i schodzi na Anioł pański na ten brzeg nadwiślański“ — z odgłosem dzwonu, który kiedyś tak „*Huknie sercem na grobie*“, że

Wszystkie prochy po świecie,
Onych ludzi, co wiecie,
Jeden wichur znów zmiecie.
I z tych prochów się złoży

Coś, jak gdyby gniew boży,
Pył do pyłu przystanie,
I lud wstanie na łanie
I przebrzmiały ich głosy,
W żywe hukną niebiosy:
Witaj dawna starszyczno!
Witaj matko ojczyzno!“

II.

WIEŚ MAZOWIECKA A POEZJA LENARTOWICZA.

Wieś mazowiecka, w której Lenartowicz spędził swe lata dziecięce, a którą i później, w młodzieńczym wieku, często odwiedzał, wywarła na kierunek jego poezji wpływ rozstrzygający.

Zapatrzony w jej niebo, zasłuchany w szумы jej lasów i zbóż, zetknąwszy się bezpośrednio z życiem jej mieszkańców, których pieśni ze wszystkich naszych poetów znał najdokładniej, rozpoczął Lenartowicz, porzuciwszy naśladownictwo w duchu ówczesnej poezji romantycznej, która nie umiała jeszcze wyswobodzić się z pod wpływu byronizmu, bardzo rychło z czynników powyższych snować obrazy i obrazki, które mu zgotowały nazwisko wielce zaszczytne — „mazowieckiego lirnika“, to jest poety ludowego.

W pieśni lenartowiczowskiej odżył przedewszystkiem kraj-obraz tej wsi. Bywa on nieco monotonny, niemniej przecież pociąga dziwnym urokiem. Szmat ziemi, pokrytej łąką zieloną, wśród której pstrzą się kwiaty polne, staw błękitny lub wstęga rzeki, nad którą rozsiadły się wierzby albo jaki dąb

żyłasty, samotna grusza, ciemny las, chałupy słomą kryte, otoczone ogródkiem, w którym rosną lilje, czerwony mak, słonecznik żółty, kościółek wiejski z cegły czerwonej, otoczony wieńcem lip lub topoli — oto pejzażu Lenartowiczowskiego składniki, powtarzające się po niezliczoną ilość razy, w ugrupowaniu zawsze nader prostem, naiwnem, wśród atmosfery lekkiej, wysoce uwydatniającej perspektywiczne oddalenia, składniki, które tworzą wieś mazowiecką.

Krajobrazy te nie tylko żyją blaskiem słońca, światłem księżyca, migotaniem gwiazd, połyskiwaniem rosy, pieśnią skowronka, rykiem bydła, barwami i zapachem ziół, ale pomiędzy tymi wszystkimi żywiołami a postawionym wśród nich człowiekiem, wewnątrz istnieje związek, żyją one jego własnym życiem, cieszą się z nim albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają mu w pracy albo owocami swymi darzą go za trudy.

„Skowronek orze, a przepiórka pogania“, albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć, pójdźcie żąć“, że nadszedł już czas sprzętów. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa sobie z nią i las cały, a gdy zdziwiona, że „jej się drzewa kłaniają“, umilknie „i bór ciemny milczy“. Jagoda doprasza się zbierającej, ażeby ją zjadła bo „słodka jest i świeża jest“, a chłopu przy orce nuca wywilgi i kosy.

Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza, druha swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa.

Cała natura współczuje boleści człowieka, zmuszonego zegnąć kąty rodzinne.

Na tle takiego krajobrazu i takich, uczuciami ludzkimi ożywionych jestestw przyrody, umieścił Lenartowicz człowieka, wziętego z pod strzechy chłopskiej, a do tego otoczenia

zupełnie przystosowanego. Lenartowicz umiał podpatrzeć poetyczne strony życia ludowego i te zaklął w swe prześliczne obrazki. Bohaterowie i bohaterki — jeżeli można użyć tego określenia dla poezji mazowieckiego lirnika, to ludzie prości, których całym prawie światem jest wioska z jej weselem i z jej troskami. Życie swe spędzają przy pługu, przy sprzętach, w chałupie, w kościele lub w karczmie. Posiadają oni pomimo troski niejednej, zadowolenie ludzi dobrych, a zadowolenie to przebija się w muzyce i śpiewie; Mazur za wołami, nuci sobie razem z „Jagódką“, której głos dolatuje do niego z pobliskiego lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dla czegoż nie miałby się weselić? Nie jest żadnym „nicpotą“ ma chatę i stodółkę, ma bydelko i dwa konie, ma żonę i dziecko, które kocha. Ze strony Pana Boga doznaje również względów: grady omijają jego zboże, a deszczyku, gdy potrzeba, nigdy nie zabraknie. Prawdą jest, że czasem i troska mu dopiecze, że panu twardo pracować musi, ale i z tego niema się powodu zbyt mocno smucić, bo go za to Pan Bóg wynagrodzi — pocieszy go na dzieciach.

Po pracy idzie sobie do karczmy, gdzie stary Józef skrzypkę stroji i tutaj przy szklance piwa lub wódki kwatereczce radzi sobie z sąsiadami o wspólnej biedzie, gdy tymczasem młodszy idą w tany, wesóło przyśpiewując przed grajkiem i basistą, niebo za dobre obiecując im granie.

Muzyka zagłusza kłopoty codziennego życia i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jakgdyby bał się, żeby mu jego skargi nie poczytano za złe, albo jakgdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę Pana Boga, nie poddaje się rozpacz, chyba że się na niego wszystko złe już zwali, że mu się spali obejście, że mu grób zamknie żonę i dziecko. Wtedy to w rozpacz gotów do moskiewskich przystać żołnierzy, ale przedtem jeszcze w dzikim

tańcu chce zapomnieć choć na chwilę o swojej niedoli. I tańczy, a grajek gra, aż mu krople po licu cieką, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego Maćka prawie oszalały, rzuci skrzypkę o ziemię, potrząsa ją i podepce.

Ludzie to zresztą prawie święci, nikomu złe nie życzą, kochają Boga i bliźnich, a gdy umierają, wówczas ich dusze uchodzą tak do nieba, jakby co dopiero wyszły z dłoni Przedwiecznego. Wielką już zbrodnią są dla nich te przykrości, które sobie wśród trudów rodzinnego żywota sprawiają. Łzy, które córka hardością swoją wycisnie matce, mszczą się na niej po śmierci: nieboszczycą, za życia biała jak śnieg, a rumiana jak róża, staje się czarną jak sadza.

Nieda się zaprzeczyć, że Lenartowicz przedstawia nam duszę chłopską jednostronnie, że maluje ją w słońcu, że odślaniając istniejący w niej bogaty skarbier pierwiastków szlachetnych, starannie zdaje się unikać pokazywania nam cieni, z których niejeden rodzi się występki, niejedna zbrodnia. Wiedział poeta, że wszędzie jest złość i wszędzie są grzechy, ale i to wiedział, że ten ich posiada najmniej, kto się roli trzyma.

Miłość, jaką poeta do ludu polskiego żywił, nie pozwalała mu zbyt dużo widzieć tych grzechów — boć wiadomo, że miłość zamyka chcąc niechcąc, oczy na niejedno.

Chłop Lenartowicza obok pracowitości, pobożności i innych cnót, posiada jedną wielką cnotę, zasługującą na postawienie jej na miejscu pierwszym: miłość kraju rodzinnego. Nikt mu nie powiedział, że Polska to jego matka, a przecież on ją z całego serca kocha, nienawidzi jej wrogów i pragnie jej oswobodzenia. Z losem Polski łączy on i swoje losy: wierzy w to, że gdy będzie Polsce lepiej, to i jemu będzie inaczej się działo. Uczucie to przebija się na każdym kroku, chłop nie zanuci piosenki, aby nie kończył ją refrenem: danaż moja dana,

ojczyzna kochana! Wszędzie, w polu i kościele, w domu i karczmie, gdzie mu na niewinnej schodzi zabawie jakaś po pracy godzina, myśli on o Polsce. Nienawisć jego znana przedewszystkiem do Moskali, a dziewczyna temu przedewszystkiem oddaje serce i rękę, kto był na wojence i walczył z Moskalami.

Więc mazowiecka nie tylko istnieje na ziemi, ale i w niebie, gdzie takie same patriarchalno-idylliczne panują stosunki jak tutaj, tylko, że tej sielanki nie zakłócają tam żadne troski, chyba tylko w takim razie, jeżeli człowiek na ziemi, będący ich protegowanym, na złe zbacza drogi...

W tej niebieskiej wsi mazowieckiej dobry pasterz Jezus pasie na kwiecistej łące owieczki, będące duszami ludzi zbawionych, a że sielanka nie może się obejść bez skrzypiec, więc przygrywają mu anieli.

Obok niego Najświętsza panna przedzie z pajęczyny przedzę na koszulki dla biednych sierot, ale wciąż musi upierać się z psotnikiem wiatrem, który tę przedzę jej zrywa, i dlatego to nie wszystkie sierotki mają koszulki.

Na łące tamtej wsi rośnie tak samo pszenica, jak tutaj, kwitną tam jabłonie tak samo — tylko że kłos pszenicy i owoc jabłonki ze szczerego jest złota.

Pomiędzy wsią mazowiecką w niebie, a tą nad brzegami Wisły, ścisły panuje związek. Widać stamtąd wszystko, co się tutaj dzieje — widać i chłopka przy plugu i pastuszka na łące i dziewczę zbierające zieleń.

Aniołowie patrzą na ziemię złotemi gwiazdkami, litość nad nędzą ludzką tak ich wzrusza, że płaczą rosy kroplami, a od tej rosy, od tej litości na łąkach wsi mazowieckiej pleni się zboże.

Dusza przechodząc z tej wsi do tamtej, otrzymawszy skrzydełka ptaszka, a nad czoło mały świecący krążek, wchodzi do nieba jak służebnica w próg gospodarza, albo jak krewna

do domu krewnych od niej starszych; nasamprzód się pokłoni, a potem ucałuje koniuszek sukni świętych patronek, niby gospodyń — te same zwyczaje co i tutaj — i potem w ich towarzystwie przechodzi przez świetlice niebieskie, pomiędzy świętymi, nie różniącemi się niczem od tych, jakie widziała na obrazach w kościele. Pomiedzy świętymi widziała także chłopka polskiego, opartego o pszenney snopek, a obok niego stali jego nieletni chłopaczkowie.

Jest tylko jedna różnica pomiędzy wsią mazowiecką na ziemi a wsią mazowiecką w niebie, ta różnica, że gdy tutaj trzeba pracować, to tam dusza człowieka wyleguje się dowoli pod złotemi jabłoniami. Pracują za nią święci pańscy. Ci święci wykonują też roboty — te same co ludzie na ziemi: koszą siano, strzygą owieczki i t. d.

Taką jest wieś mazowiecka w poezjach jej prawdziwego serdecznego lirnika.

III.

LIRYKA T. LENARTOWICZA

Pierwsze występy Teofila Lenartowicza na niwie piśmiennej łączą się z chwilą, kiedy twórczość polska wznosiła sobie na obcej ziemi nieśmiertelne pomniki.

Do kraju słabe twórczości tej dolatywały echa: wpływ wielkich poetów na pokolenie pisarzy, którzy owoce swych „natchnień“ — mówię „natchnień“, ponieważ w katechizmie Zmorskich, Fillebornów, Ludwików Norwidów na wyraz ten zasadniczą kładziono wagę — umieszczali w czasopismach warszawskich około r. 1840, był nieznacznym.

Lapidarne hasło romantyki: „miej serce i patrzaj w serce“

doprowadziło w utworach tych do przewagi uczuciowości wybujałej i sztucznej nad prawidłami rozumu, broniącego wyobraźni od wrogich arcyzmowi rozwichrzeń.

„Gonitwa za światem prawdy nieśmiertelnej“ była i u tych naśladowców Mickiewicza z epoki „Ballad i romansów“, „Grażyny“ i „Wallenroda“ jednym z najgłówniejszych przykazań, tylko że poetyckie odbicie tej prawdy przybierało cechy jednostronne, objawiające się w zamykaniu przybytku sztuki dla pierwiastków, czerpanych z realniejszego życia duszy, na wyłącznem niemal uwzględnianiu czynników fantastycznych.

Mickiewiczowskie „czucie“ zmienia się w czułościowość, która i w młodocianych wierszach Lenartowicza niepoślednią odgrywa rolę.

Charakter tych pierwocin da się najlepiej określić wyrazem: „bajronistyczne“.

Jak wiadomo, zasoby wiedzy Lenartowicza w tym okresie bardzo były szczupłe, to też nie można przypuścić, aby „rozczarowanie do świata“, którego nie znał, aby „bezbrzeżny smutek“ i frazesowe „pragnienie miłości bez końca“, wypływało z bezpośredniego źródła, z rozczytywania się w oryginalnych poematach Byrona; dalekie, a nieudolne odbicie ich ducha przypisać należy pośrednictwu autora „Luga“, „Mnicha“ i „Araba“.

Nie tylko w ogólnym nastroju psychicznym, ale i w sposobie malowania szczegółów zewnętrznych nie trudno nam będzie dopatrzeć się w tych najwcześniejszych świadectwach muzy lenartowiczowskiej śladów poetyckich opowieści Słowackiego.

Kiedy w „Niemej modlitwie“ mówi o „ciszy kościelnej“, o „złotych ołtarzach“ i o „marmurowych posadzkach“, o „białych filarach i grobach, drzemających w cieniach“ o „lampie,

która gdzieś w dali nad krzyżem czarnym drżąc się pali“ — o tem, że „w kościele cisza, jakoby w marzeniach święci zasnęli“ i że „tylko czasem jakowy obraz promieni z wysoka, z poza ciemnego biegąc obłoka, przez szyby złotym owinie pasem“ — gdy potrąca o „światło grobowe, co muśnie promieniem Chrystusa głowę“, lub gdy napomknie o aniele, klęczącym u drzwi kościoła“, wówczas mimowoli stają nam przed oczami analogiczne, tylko pełniejsze, głębsze, bogatsze, rozrzutniejsze obrazy Słowackiego:

„Stał nieruchomy jako posąg z glazu,
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,
Co tak po złotą odbija od muru.
Jakiś szmer słyszać? — to odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesionej z chóru.

(„Hugo“)

Albo:

„Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili;
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana, jak niebo gwiazdami okryta.
Każda kolumna jak palma stepowa,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Płomień, z barwionych bijąc szyb kościoła.,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potem, w dymie kadzidel zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła“. („Mnich“).

Nie miał Lenartowicz w sobie pociągu do demonicznej grozy, stwarzającej w wyobraźni poetyckiej malowidła po-

nure i krwawe z punktem środkowym zdrady lub buntu. Co najwyżej lubował się w „jakichś widmach“, które „kołyszą rycerską pieśnią“, które „grają zdala“ i serce dręczą boleścią — w „jakichś dumkach mężów walecznych, stróżach ruin na zmroku“, co w „swoich trunach odwiecznych z mieczami śpią u boku“ — zaczęły przemawiać do niego już teraz „jakieś dziady z lutniami w ręku przy ogniach chaty wieśniaczej, to też nie dziw, że w tych dniach wykływania się czynników twórczych, w naturze jego refleksyjnej parodja bajronizmu ustąpiła wkrótce miejsca wpływowi dwóch innych, Schillera i Mickiewicza.

Jednakże wpływ ten nie jest osamotniony, wyłączny, tworzy on ferment literacki z odbiciem wyobrażeń pseudoklasycznych, a poniekąd i klasycznych wraz z światem pieśni i podań ludowych.

W wspomnieniu swoim o Lenartowiczu Karol Brzozowski opowiada, że pewnego razu zjawił się młody Teofil w domu jego ojca w chwili, gdy ten czytał „Wiesława“.

— Znalazłeś nas przy „Wiesławie“ — rzekł sędziwy żołnierz napoleoński, — to piękne i bardzo piękne, ale tu brak czegoś... czego, nie wiem, jak to nazwać, a to właśnie coś, proste, serdeczne, głębokie, leży w duszy naszego ludu. Gdyby to pomiędzy waszymi młodymi znalazł się taki poeta, któryby tem był dla naszego kmiecego, wiejskiego świata, czem Pol jest dla szlacheckiego! A piękny to ten świat kmiecy! Czy cię ten świat, Teofilu, nie nęci swoją głębią? Jeśli już nie czujesz, to przeczuwasz jego duszę, powiedz, czy nie tobie być jego nieśmiertelnym poetą?

Nie wiem, czy apostrofa powyższa, której autentyczności nie myślę podawać w powątpiewanie, ale która wydaje mi się w tej formie literackiem upiększeniem faktu zapewne prawdziwego, rozstrzygnęła o kierunku późniejszym autora

„Lirenki“. Zdaje mi się jednak, że nie ojcu Karola Brzozowskiego, lecz przedewszystkiem Wójcickiemu zawdzięczamy oryginalną w swoim rodzaju poezję, która, sięgnąwszy do gminu, wzorem Wolskich i Zmorskich nie obcowała wyłącznie z fantastycznymi płodami wyobraźni ludowej, z zielonowłosemi topielicami i boginkami, ale wydobyła na jaw z realnem życiem związane uczucia duszy chłopskiej.

Dwa z najwcześniejszych wierszy Lenartowicza: „Złota kaczka“ i „Strzelec“ wskazują wyraźnie na zbieracza i wydawcę „Klehd“. Pierwszy — to sparafrazowanie znanej wśród górali podhalańskich baśni o grocie Dunajcowej pod skałą Pisaną w dolinie Kościeliskiej, w drugim, opartym na rozpowszechnionem w rozmaitych odmianach podaniu o karze, jaka spotyka ludzi, gwałcących niedzielę, przeniósł się poeta wyobraźnią swoją w turnie tatrzańskie.

Nie znał Podhala, więc baśń tę mógł słyszeć tylko od Wójcickiego, z którym, jak wiadomo, bliższe zawarł stosunki, a który na kilka lat przed przybyciem Lenartowicza do Warszawy zwiedził był Tatry.

W „Klehdach“ też swoich pomieścił podanie ludowe o skałach nad Morskiem Okiem, wśród których rozgrywa się także akcja lenartowiczowskiego „Strzelca“.

Oba wiersze bardzo jeszcze słabe.

W „Złotej kaczce“ razi naczelne zaraz uderzenie jak gdyby w kawał drewna, nie zaś w klawisz czy strunę muzycznego narzędzia, jakim powinno być słowo poety. Morał w kształcie odpowiedzi na pytanie: „czy też prawda, że kiedyś źli ludzie będą dobrymi, jak nam ksiądz powiada“.

A dalej — silenie się na prostotę, rozbieżną z prostotą poetycką, chęć utrzymania się w tonie naiwnych gędzeń chłopskich rodzi zwroty, jak n. p. o gromnicy, której księdzu, przebywającemu w jaskini, „nie zgasiło, bo co inne świece

to zawsze gasi“, albo wytwarza taki, nie prymityw w znaczeniu artystycznym, lecz, o niewprawności pendzla świadczący, bohomaż:

Wchodzę pod skałę... niby kościół jaki,
Nibyto pałac wielki jakiś taki
Pięknie zrobiony; patrzę aż tu żywa
Złociuchna kaczka w wodzie sobie pływa.

Młody poeta, debiutujący na łamach tak poważnego czasopisma, za jakie uchodzić chciała „Biblioteka warszawska“, pragnął być barwnym, żywym, lecz, zamiast plastyki w obrazowaniu, dał ordynarne kleksy:

„Więc ksiądz jak zaklnie, a kaczka do wody
I już jej niema... Czekają, czekają,
Ksiądz klnie raz drugi — coś jękło: słuchają,
Aż tu głos jakiś wychodzi z pod spody (sic!)“

Ani śladu lotnego wdzięku, którym tchną późniejsze, z wyobrażeń ludowych zaczerpnięte obrazki Lenartowicza.

Nieco lepszym jest dość czysty w rytmie i rymie „Strzelec“.

Wspominam o nim nietylko z tej przyczyny, że wskazuje na dokonywające się w mózgu poety zawiązki nowego kierunku pod wpływem Wójcickiego, ale i dlatego, ponieważ a) w krajobrazie posiada znamiona, właściwe wogóle pejzażowi lenartowiczowskiemu: wyrazistość konturów, jednostajne ugrupowanie przedmiotów, przewagę szarego kolorytu — zatrzymałem się nad nim wreszcie z powodu, że b) w toku rytmicznym jest jakby oddźwiękiem ballad miciekiewiczowskich:

„Czarne, spokojne patrzy Morskie Oko,
Góry go (!) w koło obsiadły,
A na gór szczytach, daleko, wysoko
Deszczowe chmury opadły.

Nad brzegiem stawu kamienie sterczą,
Świerkowe zielenią lasy,
A pod skałami ogniska skwierczą,
Przy ogniu siedzą juhasy.

Niżej po dołach z szumem się wali,
Spieniona rzuca się woda,
Dziarska, jak dusza owych górali,
Gdy w nich zakipi krew młoda“.

Obrazy powyższe wyglądają na *pendant* do zwrotki z „Świtezi“:

„Świteż tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu“ —

albo do urywku z „Świtezianki“:

„A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma. —
Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca — —“

Wspomniałem powyżej o wpływie Schillera. W tej mierze znaczny przedstawia interes, jako próba stworzenia pewnego rodzaju filozofji sztuki, fragment dramatyczny p. t. „Rzeźbiarze“. Niemający w sobie nic dramatycznego, djałog

ten pomiędzy mistrzem a uczniem wzorowany jest w formie na „Pieśni o Dzwonie“.

„Pracujcie, bracia rzeźbiarze,
Aż marmur życie okaże;
Z bezkształtnych brył
Wyjść mają figury
Pełne życia, pełne sił!“

Inwokacja ta przypomina w tonie Schillerowskie:

„Frisch, Gesellen, seid zur Hand!
Von der Stirne heiss
Rinnen muss der Schweiss,
Soll das Werk den Meister loben...“

W sprawie treści:

U Schillera fizyczny proces odlewania dzwonu służy jako sposobność do ujęcia w jednolity obraz zwykłych wypadków życia naszego i osnucia tych wypadków przędzą refleksyj poetyczno-filozoficznych na temat zadań, które spełnia czy spełniać powinien człowiek. Rzeźbiarz Lenartowicza — analogon do „Meister’a“ z pieśni schillerowskiej, stojący przed bryłą gliny, której uczeń — „Geselle“ — ma nadać kształty plastyczne, korzysta z chwili, aby, podążając za motywami, zawartymi w „Artystach“ („Die Kuenstler“) poety niemieckiego, a po części i w jego „Ideałach“ („Die Ideale“), wypowiedzieć szereg uwag o zadaniach człowieka w zakresie ciśniejszym, w sztuce. Równorzędnie znowu z „Pieśnią o Dzwonie“, obracającej się pomiędzy trzema głównymi etapami losów ludzkich: narodzinami, zaślubinami i śmiercią, uwagi te skupiają się około dziecięcia, młodzieńca i męża:

„Pracujcie nad dziecięciem,
Nad młodzieńcem i mężem“.

Wyrażone pod względem zewnętrznym niewprawnie, nie wolne od skażeń językowych, są one w treści majaczeniami, świadczącemi, że poeta nasz nie tylko nie posiadał wyrobionego sądu o istocie sztuki, ale że zaledwie przeczuwając doniosłość pierwiastków twórczych i wpływ ich na urobienie przyszłości ludzkiej, a właściwie nie dobrze rozumiejąc kopjowanego przez siebie Schillera, posługiwał się ogólnikami.

Jak u niemieckiego, tak i u naszego poety pythagorejska harmonja jest zasadniczym warunkiem sztuki:

„Schon sieht man Schoepfungen aus Schoepfungen erstehen,
Aus Harmonien Harmonie...“

„In selbstaendiger, jugendlicher Freude
Leiht er (der Geist) den Sphaeren seine Harmonie...“

„Sein Geist zerrinnt im Harmonienmeere“:

„Ale w ludzkich dziejach jeszcze
Nie było dotąd harmonji“.

Ku tej harmonji, uzmysłowionej w duchu rzeźbiarza, który

„Jako duch stwarza,
Co niekształtne, nieforemne,
Rozwala, rozbija,
Piękności szaty wdziewa,
Piękność wdzięków rozwija“

zmierzać mają twórcze usiłowania artysty, wybrańca bożego,
który w ręku swym dzierży godność ludzką.

„Der Menschheit Wuerde ist in eure Hand gegeben,
Bewahret sie“...

mówi pieśniarz niemiecki:

„Der Dichtung heilige Magie
Still lenke sie zum Ozeane
Der grossen Harmonie“. —

„Lecz kto pragnie wszystkim starczyć,
Niech w siebie przyjmie duch boży (sic! zamiast: ducha
Niech ludziom harmonję stworzy“ bożego),

śpiewa Lenartowicz.

Do stworzenia tej harmonji potrzebne są artyście piękność,
mądrość i siła.

„Pracujcie, bracia, rzeźbiarze.
W wasze dusze wstąpiła
Mądrość, piękność i siła.
Niech się świat wasz ukaże
Całą sztuki pięknością;
W oczach anioła miłością,
W oczach mędrca pojęciem,
W ręku rycerza muszkulem...“

Dalej:

„Słońce mądrości niech świeci,
Samo życie będzie siłą;
Aby się nie rozłączyło

Słońce z kwiatem, niech ukwieci
Mądrość formę“

mówi rzeźbiarz lenartowiczowski, dając wskazówki uczniowi,
jakie ma wyryć piętno na twarzy rycerza; wspominając zaś
o prawidłach, obowiązujących przy lepieniu postaci dziecka,
dowodzi, że:

„Mądrość, siłę w tej dziecinie
Zastępuje duch piękności,
Co na ustach, licach gości.
A w kim Boża piękność płynie,
Ten jest silnym, mądrym wiecznie“.

Wreszcie:

„Także w mędrцу to znajdziecie,
Co w rycerzu i w dziecięciu:
Piękność, jak kwiat, jak to dziecię:
Mądrość w żądań tych pojęciu,
Siłę da ich wykonaniu...”

Ustępy te są albo parafrazą, albo też niemal wiernem, lecz
dość niezręcznem tłómaczeniem wierszy schillerowskich:

„Der Weisen Weisestes, der Milden Milde,
Der Starken Kraft, der Edlen Grazie,
Vermaehlet ihr (die Kuenstler) in einem Bilde
Und stellet es in eine Glorie...”

.
„Was hier allein das trunkene Aug entzueckt,
Dient unterwuerfig dort der hoeheren Schoene,
Der Reiz, der diese Nympe schmueckt,

Schmilzt sanft in eine goettliche Athene,
Die Kraft, die in des Ringers Muskel schwillt,
Muss in des Gottes Schoenheit lieblich schweigen..."

Schillerowskie umiłowanie przyrody, jako źródła natchnień,
ku której:

„Wie einst mit flehendem Verlangen
Pygmalion den Stein umschloss,
Bis in des Marmors kalte Wangen
Empfindung gluehend sich ergoss,

garnął się potęgą rozradowanych sił młodzieńczych i do wez-
branego żądzą twórczości przyciskał łona, póki w objęciu
tem nie odżyła, umiłowanie to ma u Lenartowicza wykładnik
swój w hasle: „Życie!”

„Co najpierwej wywołać?” pyta się uczeń,
„Życie...” odpowiada mistrz;

„Życie obudzić; na żyjącej twarzy
Łatwo nam będzie dłótem piękność znaczyć;
Życie najpierwsze; w niem się wszystko żarzy”.

Przypisywanie zaś sztuce owej mocy, która dla świata
„przyniesie koniec złemu“, która, gdy dzięki niej przyjdzie
„ducha istnienie“, sprowadzi „królestwo boże na ziemię“,
odpowiada najzupełniej wizji Schillerowskiej. Tylko, że wizja
ta, w wspaniałym zamkniętym obrazie:

„Erhebt euch mit kuehnem Fluegel
Hoch ueber euren Zeitenlauf!
Kern daemmre schon in eurem Spiegel

Das kommende Jahrhundert auf.
 Auf tausendfach verschlungenen Wegen
 Der reichen Mannigfaltigkeit
 Kommt dann umarmend euch entgegen
 Am Thron der hohen Ewigkeit!
 Wie sich in sieben milden Strahlen
 Der weisse Schirmer lieblich bricht,
 Wie sieben Regenbogenstrahlen
 Zerrinnen in das weisse Licht,
 So spielt in tausendfacher Klarheit
 Bezaubernd um den trunknen Blick,
 So flisst in einen Bund der Warheit,
 In einen Strom des Lichts zurueck“

niezbyt świetnego znalazła w Lenartowiczu naśladowcę czy
 tłumacza:

„Czy to przyszłe duchy pieją,
 Gdzie wiek będzie pochowany?...

.

Czy widzisz tęczę na górach
 I chmury w ziemi waporów
 I promień słońca na chmurach?
 To gra cudowna kolorów
 To tylko życie człowieka...

.

Więc gdzie piękność, gdzie kraj cudów:
 W przejściu, nowych dni poczęciu...
 Ludzkość cała w niebowzięciu...

.

„...ja czuję, że zawłada
 Mój ideał całym światem...”

Zatrzymałem się nieco dłużej nad fragmentem „dramatycznym“, ponieważ, o ile znam literaturę Lenartowiczowską, nikt nie wskazał na te wybitne ślady wpływu Schillera, jakkolwiek badaczom romantyki naszej nie trudno byłoby oddziaływanie to wykazać choćby dla analogji z pierwszemi poematami Mickiewicza („Pieśni filareckie“, „Oda do młodości“, „An die Freunde“, „Die Freundschaft“); teraz wspomnę już tylko o „Laokonie“, w którym duch mickiewiczowskich dytyrambów z „Ody do młodości“ zlewa się w sposób dość zręczny z reminiscencjami świata starożytnego, i rozdział niniejszy zamknę wzmianką o najwybitniejszym z tej młodzieńczej epoki warszawskiej utworze, o „Wierszu do Poezji“.

Wzmianka zaś należy mu się przedewszystkiem dlatego, ponieważ rodzicowi swemu niemały zyskał rozgłos, a właściwie pierwszy z wszystkich dotąd drukowanych zwrócił nań uwagę szerszego ogółu.

Zresztą wiersz ten dowodzi może najbardziej, że Lenartowicz w owym czasie nie miał ugruntowanych pojęć artystycznych, bo gdy w innych jego pracach z tego samego okresu drgały przeciągnięte struny spaczzonego romantyzmu, lub, chociaż słabo, przebiyskiwać jęły pierwiastki ludowe, to tutaj, tak samo, jak w „Laokonie“, spotykamy się z zaznaczonymi w jednym z poprzednich punktów wyobrażeniami klasycznymi.

„Wiersz do Poezji“ wygląda raczej na opracowanie szkolnego tematu; nie odznacza się ani siłą uczucia, ani świeżością obrazowania. Konwencjonalizm zarówno w formie, jak w treści. Posiada w sobie coś z ody horacjuszowskiej, albo też z pseudoklasycznych kanzon akademików florenckich, którzy umieli wprawdzie podsłuchać tryskające uczuciem ryspetto

i strambotty tokańskiego ludu, ale w których misternie rzeźbionej, kryształowej formie uczucie to tężało w regularne a zimne kryształki.

Przedmiot sam, „poezja“, pomimo swej abstrakcyjności, nadaje się do ujęcia go w kształty uchwytnie. Można na jego cześć wyśpiewać hymn natchniony, jak to uczynił Mickiewicz w „Wallenrodzie“ z ową arką przymierza, pieśnią gminną, i jak to później sam Lenartowicz odnośnie do tej pieśni ludowej pokazał. Wiersz zaś, o którym mowa, jest w rzeczywistości — wierszem, należy do tej samej kategorii, do której zaliczyć się dadzą owe epitalamia, urzędowe trenodje i aż do zbytku oklepiane „pochwały“ poprzedniej epoki.

Trzy szczególnie cechy dostrzega autor w „Poezji“, mianowicie, że jest „matką“, „wiarą“ i „prawdą narodów“. Trójcy tej użył on też jako punktów wytycznych, około których obraca się jego ściśle odważona, wyrozumowana „pochwała“, podobna do płomienia, wykutego w głazie. Poezja jest „matką narodów“ i jako taka, ukazawszy im się z mieczem i w zbroi hartownej, rozwiawszy na wiatr swój sztandar śnieżny, roznieca w sercach zapal szalony, pchając rycerzy do boju... Gdy w zapasach upadnie bohater, wtedy schodzi ona ku niemu i wkłada mu wieniec chwały na głowę, aby śmierć miał wesolą. Zimne duchy zapaliwszy ogniem, obala tłumy niezwyciężone i ludy zbawia cudem. Poezja męczennikom stawia przed oczy obrazy lepszego świata, obrazy boskich krain weselnych, za katusze życia światłość bez końca i dlatego jest „wiarą narodów“. W charakterze zaś „prawdy narodów“ spojrzenie swoje rzuca na wybrańców, że świecą na wieki, dłońmi wiąże szermierzy „w czas ślubnych świata obchodów“, a ich duchy stawia w ołtarzu.

Ze streszczenia tego widać, że środki, użyte przez autora, zapożyczone są z arsenału poezji pseudoklasycznej, a skła-

dają się na całość, pomimo pozorów gorącego uczucia, skostniała.

Ujemne to wrażenie potęgują ponadto epitety, nadawane opiewanemu przedmiotowi. Poezja to więc córka słońca, białoramienna dziewica, odziana w szaty anioła, albo, jak Bellona czy Pallas Athene, w hartowną zakuta zbroję.

Jak przeważna część wierszy, ogłaszanych przez dwudziestoletniego młodzieńca w czasopismach warszawskich, w „Przeglądzie Naukowym“, w „Nadwiślaninie“, w „Jaskółce“ Filleborna, „Bibljothece Warszawskiej“ etc., tak i ten elaborat nie był wypływem żywego natchnienia, bezpośredniego obcowania z tymi przemagającymi żywiołami, które stworzyły prawdziwą jego poezję: obcowania z ludem i otaczającą go przyrodą, ale raczej świadectwem zainteresowania się echami rozmaitych walk literackich, szukania drogi ujścia swojemu zapalowi dla pracy twórczej.

II.

Jedną z największych zasług romantyzmu dla kulturalnego rozwoju naszego było obudzenie potrzeby zapoznania się ze skarbami, drzemiącymi w mało dotąd znanem, dla klas inteligentnych nieomal tajemniczem łonie życia ludowego. Za Chodakowskim poszedł szereg innych miłośników gminu, rozkopujących dawne grodziszczu, zbierających jego pieśni i podania.

To zajmowanie się ludem nie było tylko modą u nas, ani też wynikiem prądów literackich. Idąc za wskazówkami konstytucji Trzeciego Maja i powstania Kościuszki, że już nie sięgnę w dalsze wieki, w których upośledzenie ludu znajdowało płomienny wyraz w naszej literaturze politycznej — zwracano się do warstw chłopskich z zewnętrznej potrzeby

szukania nowych soków ożywczych dla pragnącego odrodzić się społeczeństwa.

Wpływ prądów literackich byłby się może ograniczył do stworzenia sielanki w tej lub owej formie, tymczasem nasza poezja z tej epoki, wykarmiona pierwiastkami ludowymi, przybrała prawie odrazu charakter społeczny w kierunku demokratycznym.

Goszczyński, Berwiński, Wolski, Olizarowski etc., z których niemal każdy zajmował się zbieraniem klechd i podań gminnych, tworzyli poematy, nie tylko malujące nędzę chłopa, ale, w tym czasie rewolucyjnych wrzeń socjalnych na Zachodzie, występujące nieraz bardzo namiętnie przeciwko szlachcie.

I w najbliższym otoczeniu posiadał Lenartowicz przyjaciół, wśród których wrzał kult pierwiastków rodzimych i ludowych. Im też i wogóle głębszemu wnikięciu w prądy, nurtujące w ówczesnem społeczeństwie, zawdzięcza autor „Lirenki“ charakter swojej poezji.

Ale bodźce miał on nie tylko w ludziach inteligentnych, jak choćby Wójcicki, nie tylko w rozczytywaniu się w klechdach starożytnych, lecz znalazł je także w bezpośredniem zetknięciu się z gminem.

Od wczesnych już lat w nieszczególnych żyjąc stosunkach rodzinnych, wałęsał się po polach pośród „gęsiarków i koniopasów“, u nich też szukać nam trzeba początków miłości ludu, której tak piękny w utworach swoich zbudował pomnik.

Teraz wrażenia te zaczął odświeżać; w gronie przyjaciół bujał na nowo po lasach i polach, z książką tego lub owego poety w ręku, z żądzą zcspolenia się z przyrodą ojczystą i ludem w sercu.

Zapuszczał się w bliższe i dalsze okolice Warszawy, nad brzegi Narwi i Bugu, zaglądał na nowo do chałup chłopskich, które był przed kilkunastu opuścił laty.

I nie było przedmiotu w tem państwie swojskiej przyrody, któryby nie przeszedł potem do pieśni jego. Stary dąb, zgarbiony nad wodą, niewiasty, bielące płótno na brzegach, bociany, stąpające po łąkach, obłoki, jak „runo słońcem prześiaćle“, przesuwające się po niebie; rybitwy i kuliki, kołujące nad błękitami rozniebieszczonej królowej rzek polskich, łodzie flisowskie, jak cyranki szare, a za niemi tratwy i galary, pszenicą ładowne, płynące po falach, wśród szumu wiosel i krzyku i śmiechu; zawodząca nuta wiejskiej dziewczyny, lecąca po rosą złanych dolinach; woń żywicy z borów pobliskich, brzęk pszczoły, echa pastuszych ligawek lub dzwonka, dolatującego z wiejskich kościółków, pieśń skowronczana, kukanie kukułki i gwizd wywilgi — oto żywioły, które nieprzepartą ujarzmiły go siłą i oryginalną, dotychczas niebywałą stworzyły poezję.

Na nowo zaglądał do zapadłych kątów, pomiędzy Kurpie, gdzie:

„Szumi bór, szumi las,
Sosna rośnie smolna —
Zboża nic, piasku w pas,
Ale dusza wolna.

„Od Pułtuska do Myszyńca dziadowskie przeszedł morze“; obleciał „Kurpie Gocie, przy ogniskach z nimi gwarzył i jako ptak na przelocie, uzbierał, co Bóg zdarzył“; „pobratał się z uśmiechem z narobioną Kurpia dłonią“ i „nadziei coś zachwycił, co prowadzi wprost do czynu“. Zagrzebywał się znowu w puszczach, gdzie w dniach dzieciństwa „młody, rzeźki, jak stajenne jakie źrebię, po tej Narwi, po niebieskiej, jak po drugiem pływał niebie“, gdzie „znajoma mu była każda steczka“, gdzie ongi, wypędzany przez podchmielonego ojczyrna, z „chłopakami nocną dobą ponad Narwią konie pasał“

i „po karczmach z nimi hasał”; gdzie lud — „starce, jakieś święte Marki, a niewiasty święte Anny” — „żyje boskim cudem, jak po zimie się odmładza, w pokolenia się rozradza” i zawsze wierny jest Polsce; gdzie pieśń, towarzysząca żołnierzowi, w Sybir gnanemu, leczy rany serca; gdzie „tylko mogił coś przybywa”, „gdzie łza upada i zasycha”.

A dziwna to pieśń, która nad temi unosi się mogiłami.

Śluchając jej, wykąpanej w rosie, świeżej, jak ten zagon z rana, „rośnie dusza, gdyby ziele” i tak się rozradowuje, że zdaje się człowiekowi, jak gdyby ta ziemia, po której łąnach pieśń ta, niewiadomo jak, leci, była krainą, płynącą mlekiem i miodem, a przecież na niej „tyle jest krwi i tyle jest łez”, że to „ziemia obiecana” „gdzie w krwi broczą po kolana”.

Nie wiadomo, jak pieśń ta leci i skąd się bierze. Czy fruwa, jak ptaszę ponad stawem, czy mknie, jak głos, ginący w przestworzu: dość, że „obiega całym światem”, że „zabrzęknąwszy dzisiaj w polu, jutro już-ci na Podolu”, że „obleciawszy całym krajem, już się wdzięczy nad Dunajem”, klaszcze w borze mazowieckim lub po karpackich pnie się górach. Nikt przed nią nie ustrzeże swych progów, dojdzie ona do najdalszych braci. Za dnia, jak skowronek, ulatuje ponad zagonami, rwąc duszę za sobą, a gdy zgaśnie słońko boże, chwilę się jeszcze na pagórkach i wodach pożali, a potem spadnie na smugi i schroni się do chałup, pomiędzy dziewczęta, siedzące przy kołowrotku. Tutaj, w długie wieczory i noce, błyszczy im jako gwiazda, albo otacza je zmrokiem smutku, tańczy z szczęśliwemi, ze smutnemi smuci się, albo im wlewa otuchę. Tutaj melodyjnym językiem niesłychane opowiada im dziwy — o tej pani, co zabiła pana i, aby zatrzeć ślady swej zbrodni, zasiała na grobie rutkę i lilję, ale krew ludzka woła o zemstę, rutka i lilja zdradzają przewinę. Tutaj przywodzi im na pamięć oną wierzbę, co wydała siostrę niedobrą: będzie

ona słodkie piła winko, śmiać się będzie do rozpuku, ale głos fujarki, wykręconej z owej wierzby, zagłuszy jej śmiech, zakłóci gody weselne. „Starsza siostra mnie zabiła” — nuci ligawka i włosy staną na głowie pannie młodej, a lica družek bladość pokryje — rozpierzchną się, a za nimi płynie smutny jęk fujarki:

„Starsza siostra mnie zabiła!
Smutku wiele, bardzo wiele!...”

Albo pieśń ta dawne opowie im dzieje o krwawej koszuli dzieciobójczyni, albo o tym koniu siwym, co na grobie pana swego, poległego w ciężkim boju, nóżką grzebie i żałuje, i żałuje...

„I tak w kolej, aż do zorzy,
Póki oczu sen nie zmorzy,
Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka...”

Wiersz „O pieśniach gminnych“, powyżej w głównych podany zarysach, można uważać za syntezę poezji Lenartowicza wogóle.

Bardzo wiele motywów, w wierszu tym zawartych, posłużyło do osobnych poemacików, dźwięczących tą samą jednostajną muzykalnością w formie, owianych tym samym cichym smętkiem w treści, mimo akordów na pozór wesołych.

To bezpośrednie obcowanie z przyrodą i ludem wiejskim, któremu to obcowaniu zawdzięczał wszystkie liryczne składniki swej muzy, wyrobiło w nim także miłość życia ubiegłego, popchnęło go do wciągania w zakres swojej twórczości pierwiastków dziejowych, przyczyniając się niemało do uchronienia poety od nienawiści klasowej, od plwania na przeszłość

narodu ze stanowiska demokracji, pozwalając mu natomiast życie dzisiejsze łączyć w jednolitą, nieprzerwaną ciągłość z wiekami napozór przebrzmiałemi.

Urok wspomnień historycznych działa zawsze na umysły subtelniejsze, wrażliwsze, a głębsze, choćby umysły te, przejęte socjalnemi czy politycznemi hasłami chwili bieżącej, widziały w przeszłości zjawiska potępienia godne. Urok to ukrytej gdzieś w przestworzach nieśmiertelności zbiorowej — najskrajniejszy indywidualista nie będzie w stanie tak się wyodrębnić z pośród ogółu, aby się w pewnych momentach nie czuć jego częstką — nieśmiertelności, wytwarzającej nastrój, który jest jak gdyby dalekiem, sennem przypomnieniem żywotów wspanialszych i tęsknotą za nimi, żądzą odezwania się od rzeczywistości dzisiejszej i stworzenia poza jej granicami warunków bytu nowego.

Urok ten ogarnął Lenartowicza w ziemi wielkopolskiej, u kolebki Piastowej.

Strony nadgoplańskie, które Słowackiemu posłużyły za tło do „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“, senne, a urodzajne równiny, pozbawione lasów, gdzie w okręgu kilku mil oko swobodnie hulać może, ześrodkowując żreniczne promienie na starej wieży kruszwickiej, opieśnianej przez współczesnego Lenartowiczowi poetę, Ryszarda Berwińskiego („Mysza Wieża“), tym dzisiaj jeszcze potężnym kolosie, sterczącym na wyspie, oblanej falami historycznego jeziora, niezwykle na nim, a błogie wywarły wrażenie. Wyraz tego wrażenia znajdujemy w przypisku do „Starych zbroic“, cyklu poematów legendowo-historycznych, których ideowego i uczuciowego poczęcia szukać należy nad Gopłem. „Nie była to radość“ — mówi Lenartowicz — „z oglądania miejsca, ale podobna do tej, jakiej doświadczamy, kiedy po długich latach wygnania do kochającej powracamy rodziny; jakieś nadziemskie szaleń-

stwo dziecinne ogarnęło mój umysł; zapomniałem, iż za kilka dni będę zmuszony opuścić ziemię ojczystą, ścigany surowością pruskich przepisów, nie pozwalających pobytu żadnemu z polskich wychodźców w Księstwie; nie myślałem o tem ani na chwilę, serce kołatało jak nigdy, jak chyba podobnie w kościele częstochowskim przed obrazem surowej twarzy Matki Zbawiciela, tylko że tam zanosilem się od łez, kiedy tu zdawało mi się, że na łonie błogosławionych odpoczywam. Kmieć polski i historia jego rodu, historia kmiecio-polska, oszołomiły mi serce i głowę tak, że wobec współziomków nie mogłem słów odnaleźć do zwyczajnego użytku i byłem, jak upojony miodem dawnych wieków, szczęśliwy, jak nigdy już potem...

Nie znalazł wprawdzie, jak pisze w jednym z swych listów, pomiędzy ludem kujawskim żywych tradycji czasów Piastowych; legendowe dzieje Popielów, patriarchalny Piast, na postrzyżynach ugaszczający posłów bożych; zaślubiny Mieszka „z dziewanną pól czeskich“, Dąbrówką; chrzest narodu, burzenie świątnic Lelowych — wyrwały się w pamięci ludu tylko za pośrednictwem literatury popularnej z czasów stosunkowo niedawnych — samo jednak zetknięcie się z temi prastaremi dzielnicami musiało mu przed oczy postawić i do olbrzymich, a tajemniczych powiększyć rozmiarów przywiązane do miejsc tych, znane mu z książek legendy. Wsi okoliczne, osnute ciemną powłoką dawnych dni: Mątwy, nad rzeką tego nazwiska, Krusze, Tupadły, Ludziska, Przedbojewice, Szarlej, Kościelec, Płowce, z ich polami, na których liczne wznoszą się mogiły, gdzie dzisiaj jeszcze wyorują kości i resztki broni, musiały mu przywieść na pamięć ową przeszłość zamierzchlą, w której krew mąciła się z wodą, w której kruszyły się miecze na karkach nieprzyjaciół, w której zbrojne „tu padły“ zastępy; mu przypomnąć późniejsze walki ze

„złym Krzyżakiem“ i „czarnym Szwedem“, oraz bratobójcze zatargi dumnego z królem magnata.

Echa tych prastarych, ossjanowskich — możnaby powiedzieć — szczęków i zgrzytów, dźwięków i grań bojowych odbiły się też w nastroju jego liry („Ze starych zbroić“), dowodząc magicznego oddziaływania przeszłości na tę szlachetną, lepszej przyszłości żądną naturę...

III.

Poezja, wyrosła na niwie, przesyconej takimi, z przyrody i ludu płynącymi wrażeniami, zawarta w strofach „Szopki“, „Lirenki“, „Błogosławionej“, „Zachwyconej“ — o te, jako najbardziej charakterystyczne, głównie mi chodzi — entuzjastycznego doznała przyjęcia. Nazywano utwory te „arcydziłami literatury naszej i nie naszej nawet, bo w nich jest ta biała korona sztuki, która, im łatwiej wygląda w formie, tem trudniejszą jest w istocie. Inni, przesycony mesjanizmem i tytanicznymi płodami ówczesnej literatury naszej, odetchnęli swobodnie, słuchając tego czystego i prostego głosu natury. Nietylko Warszawa, ale i kraj cały czytał je z uwielbieniem. Około roku 1854—7 prawie zapomniano o wszystkich innych poetach, przenosząc nad nimi Lenartowicza; sam nawet Mickiewicz w swojej pomnikowej wielkości jakby usunął się na stronę i, spokojny o swą przyszłość, słuchał, jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą!“

Najgłówniejszą cechą tej poezji jest, obok niezwyklej dźwięczności w rytmie, naiwna prostota, w krajobrazie uwydatniająca się jednostajnością konturu i barwy.

Przypatrując się pejzażowi lenartowiczowskiemu, spostrzegamy zaraz na pierwszy rzut oka, że poeta nasz pozba-

wiony był niemal zupełnie zdolności przedstawiania swych wrażeń za pomocą barwy.

Paleta jego posiada zasób farb ogromnie ubogi: najczęściej mamy kolor złoty, służący do określenia przedmiotów, daleko częściej martwych i alegorycznych, niżeli wziętych z żywej przyrody.

Powtarzają się więc złote szaty, złote pancerze i złote korony, złote litery, złote liście, złota kora i złote owoce rajszych jabłoni; poza tem złoci się zorza, cała kraina złotem malowana, złote świecą gwiazdy lub złocą się wody.

Nie omylę się, twierdząc, że pod tym względem kolorystyczne ubóstwo Lenartowicza schodzi się zupełnie z pieśnią gminną, w której barwa złota ma przewagę nad wszystkimi innemi, a ma ją dla tego, ponieważ symbolizuje w sobie nieosiągnięty ideał ludu w ciężkiej, nadmiernej walce o chleb powszedni. W obiegu targowym złoto najkosztowniejszym jest kruszczem, to też prosta, z natury rzeczy materialnemi pożądaniami nasycona wyobraźnia ludu koloru tego kruszczu używa do określenia wartości także skarbów idealnych, sercu chłopskiemu najdroższych.

Pod względem ilościowym dotrzymuje placu kolorowi złotemu kolor błękitny, stosowany do przedmiotów, które już w swej istocie barwę tę posiadają, są z jej pojęciem nierozłączne. Jest to stosowanie frazesowe, nie wynikające, jak na obrazie być powinno, z stosunku przedmiotu do oświetlenia w tej lub owej chwili. Błękitną będzie u naszego poety każda toń, staw, morze, niebo, poranek, który rzadko bardzo zmienia się w siny („Czapłę zabił dla ciebie, gdy leciała we chmurze sinem ranem na niebie“), albo w różowy; rzeka — Wisła przeważnie — niemal zawsze jest modrą, rzadko niebieską (Narew w wierszu: „Coś tam o Kurpiach“), drzewa zielone, zima brylantowe, bór ciemny lub émawy, brzegi

stawu czy rzeki zielone, czasem płowe („Narwi, Bugu płowe brzegi“), rosa biała, lilja biała, róża czerwona i t. d.

U Mickiewicza każdy obraz żyje mnogością barw — np.:

„A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody;
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury“.

Analogicznego malowidła u Lenartowicza prawie że nie znajdziesz, a tem mniej obrazu, w którymby twórca uwzględnił nie tylko lokalne barwy przedmiotu, ale stopień siły ich uzależniał od oświetlenia.

Czasem usiłuje poeta nasz wywołać pewien potrzebny mu nastrój za pomocą plamy barwnej, powstałej z nagromadzenia jednego koloru:

„W szczerem polu, na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłonią,
Złota kora pod liśćiami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę,
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę“.

Przeważnie zaś zadowala się proporcjonalnem ustawieniem przedmiotów, których barwy albo wcale nie określa, albo je — nie zdobi, lecz zaopatruje w kolory, w danej, od światła

„Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciagną się słupy“.

Albo:

„Kościół za wioską
Z czerwonej cegły;
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły“.

Lub obraz równorzędny, w którym użycie barwy lokalnej jest również czysto mechanicznem, jakkolwiek — dzięki wzmiance o słońcu — nasunęłaby się poecie-koloryście potrzeba nadania barwom — w danym wypadku czerwonej i żółtej — właściwości, zależnych od tego słońca:

„W ogródku lilja
I mak czerwony,
Słonecznik żółty,
W słońce zwrócony“ —

A jednak krajobrazy Lenartowicza, wyglądające nieraz na zwykłe wyliczanie przedmiotów, żyją; jest w nich coś, co nas pociąga, jest w pierwszym rzędzie kształt, jest poczucie formy, jest zdolność takiego, na oko bardzo prostego, ugrupowania poszczególnych kształtów, aby tworzyły obraz.

Lenartowicz miał niewątpliwie sporo zmysłu plastycznego, który go też popchnął do zajmowania się rzeźbą, a poza tem tkwiło w nim dużo pierwiastków muzycznych, które w pejzażach jego pociągający wytwarzają nastrój zapomocą środków bardzo prostych, bardzo pojedynczych.

„Tam brzoza biała
Włosy rozwiała,
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha.

A drzewa! drzewa
Ludziom podobne;
Bezlistne, zmokłe,
Jakieś żałobne,
Czarne w niebiosą
Wznoszą konary...“
(„Mały świątek“).

„Tu i owdzie chateńka,
Schludna, chociaż maleńka,
A przy chacie, przy onej
Owdzie dąbek zielony,
Owdzie od wierzby starej
Suche szumią konary.
(„Grajki wędrownie“).

Umie też poeta w krajobrazy swoje — zwykle sennie, roz-
marzone — wprowadzać ruch:

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocząc wybiegły pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą, jak kryształ, rzeczułką,

A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słonko przygrzewa w poranek“.

(„Wiecznie to samo“).

W krajobrazie tym jest prawda; przelewa się z niego wiosenne na nas powietrze, świeci ku nam słońce, widzimy jaśkółki, widzimy pastucha i jego „krówki“.

Życie krajobrazów tych, acz pozbawionych niemal zupełnie barwy, przypisać należy jednemu jeszcze faktowi:

Poeta, jakkolwiek wiedział, że składniki jego pejzażów, przedmioty, ściśle z naszą zespolone wyobrażnią, te nieba, rzeki, lasy, wioski rodzinne, zboża, drzewa, same przez się, przez zwykłe ich wymienienie w odpowiedniemu ugrupowaniu i powiązanie ich melodią wiersza, muszą w nas wywołać nastrój, usiłował nastrój ten spotęgować przez większe jeszcze spokrewnienie składników tych z nami, przez nadanie im duszy ludzkiej, przez stworzenie wewnętrznego związku pomiędzy nimi a człowiekiem.

Wszystkie te żywioły żyją życiem człowieka, cieszą się z nim, albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają mu w pracy, albo owocami swemi darzą go za trudy. „Skowronek orze, a przepiórka pogania“ („Mazur za wołami“), albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“, że czas już zabrać się do żniwa. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa i las z nią razem, a gdy zdziwiona tem śpiewaniem i tem, że jej się drzewa kłaniają, dech powstrzyma, milkną, powstrzymują dech z nią razem i brzozy („Jagoda“). Borówka, ta mała, czarna jagoda, odzywa się do zbierającego dziewczęcia: „weź-

że mnie, weź-że mnie, bo ja świeża! zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka!“ A gdy chłopiec świeże skiby pługiem przewala, nuca mu kosy i wywilgi, aby raźniej szła mu robota. Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa, bzów i konwalij leśnych. Kukułka jeśli kuka, to na to, aby samotnemu marzycielowi wywróżyć, ile mu jeszcze lat w ojczystej upłynie ziemi. A kiedy przyszedł czas, że człowiek musiał z rodzinnymi pożegnać się stronami i iść w świat — na wolę i niewolę, kiedy się oko w chwili rozstania gorzką łzą zalewało, zasępił się i horyzont niebieski, deszcz padał rześisty, a pod wieczór słońce było zaczerwienione, jak od płakania oczy matczyne. Z najbliższą rodziną cała płakała natura, jakby należała do tej najbliższej rodziny: wichur szumiał w polu, a kłosy pszeniczne strząsały łzy swoje na ścieżkę idącego w świat tułacza („Tak to na Mazowszu“). Nawet wrony w lesie krakały na gałęziach smutną pieśń pożegnalną.

„Kalina“ wyrosła w gaju, nad modrym potokiem, pijąca krople rosy, strojna w czerwone korale i warkocze, z cienkich uplecione gałązek, zalotna, jak dziewczyna wiejska, która, nie mając lusterka, przegląda się w źródle; igrająca z wiatrem, rozczesującym jej włosy, los swój związała z losem wiejskiego chłopaka, tęskni doń, czeka nań, jak kochanka, a gdy biedny grajek umarł, z żałoby rzuca korale, rozwiewa na wiatr zwiędłe swe liście.

„Dwa dęby“ stuletnie, jak dwaj brodaci starszaki, gwarzą sobie wśród cichej nocy miesięcznej, przekomarzają się o to, co z jednym i drugim się stanie, a jeden i drugi świadom jest tego, że ich przeznaczenie ściśle jest związane z losem człowieka. Towarzyszą mu w drodze jego żywota od początku do końca. Jeden mówi, że będzie kołyską, którą ludzie sianem

wyścielą, liściem ozdobią, a drugi powiada, że majstrowie żłódek z niego sporządzą dla konika ułana. „Bądź sobie żłobem“, przekomarza się pierwszy, „a ja będę w żelazo oprawną dzidą“. „Jak ty będziesz dzidą, to ja będę trumną tego człowieka, któż z nim dłużej zostanie?“ „Nie chcę się“ — odpowiada znów pierwszy:

„Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wyryty:
Tu leży wojak w bitwie zabity“.

Walecznego żołnierza zabijają, a dąb, jak najserdeczniejszy przyjaciel, ubiegający się o okazanie mu swojego współczucia, ma być głosicielem jego bohaterskiego końca.

Ta nie wewnętrzna, zespalająca człowieka z przyrodą, że oboje żyją ze sobą w braterskiej zażyłości, stwarza pomiędzy jej płodami, nie należącymi do społeczeństwa ludzkiego, nawet mścicieli krzywdy, zadanej człowiekowi.

Pani zabija pana, męża swego (Ballada), grzebie go w nocy w ogrodzie pomiędzy kwiatami i, spełniwszy dzieło, przekonana jest, że zatara wszystkie ślady swej zbrodni. Atoli lilja i ruta, rosnące na grobie, śpiewają pieśń żalobną, której treścią czyn ów krwawy, a śpiewają tak długo, aż przypadek nie sprowadza brata zabitego. Od lilji i od ruty dowiaduje się on o smutnej nowinie i przeniewierczej żonie poleca wymierzyć sprawiedliwą karę.

Ta antropomorfizacja, a właściwie antropopsychizacja utworów przyrody, będąca wynikiem naiwnego na świat poglądu, a u Lenartowicza umyślnym środkiem artystycznym, użytym w celu nadania poezjom jego piętna tem większej jeszcze prostoty, łączy się ściśle z optymizmem, z jakim poeta traktuje duszę ludzką.

Pochwycił on w niej jedną tylko stronę, słoneczno-szlachetną, i usymbolizował ją w duszy chłopskiej, która według wyobrażeń romantyków, ugruntowanych w tendencji społeczno-narodowej, nie mogła być grzeszną, zbrodniczą, podłą. Świat różnych stanów duszy chłopskiej — a właściwie jednego, usymbolizowanego znowu w różnych postaciach wioskowych, odpowiadający najzupełniej sielankowemu otoczeniu przyrody, przypomina obrazy dawnych mistrzów, w prymitywny sposób przedstawiające raj i pierwszych naszych rodziców. Żyją oni nadzy, a „w swej nagości niewinni“, wśród bogactwa najróżnorodniejszych roślin, zlanych orzeźwiającą rosą, i wśród fauny, gdzie nosorożec lub tapir, gdzie lew lub tygrys, w idyllicznej z barankiem i wiewiórką zgodzie, zdają się wdzięczyc i przymilać do uszczęśliwionych Adama i Ewy. W dali tylko, wśród gęstwiny ljan i olbrzymich paproci spoczywa wąż z judaszowym wyrazem oczu — bo na malowidłach tych paszcze wszystkich zwierząt mają coś ludzkiego — czyhający na to, aby tę błogosławioną zakłócić harmonję. U twórcy mazowieckich sielanek wąż ten istnieje w postaci troski, trapiącej lud prosty, ale tak jest ukryty, że widać mu zaledwie mały czubek łba.

Wspomnianą powyżej słoneczną szlachetność duszy ludzkiej symbolizuje poeta przedewszystkiem w szeregu dziewczyn wiejskich, a właściwie znowu w jednej, w Wiochnie, przed nami w najrozmaitszych tańczącej i śpiewającej figurach.

W cichym brzozowym lesie zbiera jakaś Marysia czy Jagusia jagody, prosta, wesola, uśmiechnięta do skrawka nieba, niebieszczącego się nad głową, gwarząca z drzewami, które jej się kłaniają, z dzięciołem i wywilgą, śpiewająca wesołe chłopskie „Oj dana!“ Ale naraz myśl jej zdaje się zaciemniać, a wargi jej składają się do piosenki, dziwnie tęsknej, smutnej, zawierającej jedną z tych trosk elementarnych, które u Le-

nartowicza bywają rodzicielkami nie buntowniczej rozpacz, y
lecz melancholijnego poddania się losowi.

Melodyjne zwrotki prawią o matce, co miała dwie sieroty —
zwykle dzieje ludzkie, nie tylko wieśniacze — chłopca, który
jak złoty aniołek, przepasany krajką, opalony, bosi, Bóg
wie, gdzie szedłby za bajką — córeczkę, taką samą, jak śpie-
wająca. Dobrze im się działo pod opieką ócz mateczynych, ale
przyszła chwila, że wóz, zaprzężony w siwe woły, zajechał
przed chatkę, że dziadek kościelny pochwycił za linewkę od
dzwonnicy a poza wrotami cmentarza smutna zaświeciła
tęcza, pokazując w swej czerwieni krzyże i sieroty na mo-
gile...

Śmierć posłużyła do stworzenia sielanki — bo, jak dusza
ludzka nie powinna mieć w sobie według marzeń poety ani
jednej ciemnej strony, tak też i świat, w którym się obraca,
powinien być słoneczny. A jeśli już musi być smutny, to
i chmury jego w oczach duszy zblakną, stracą orkanną swą
grozę; dusza szlachetna jest duszą wierzącą, a dusza wierząca
przyjmie cios choćby najsroższy z rezygnacją, albo z nadzieją
zmiany na lepsze. (Wiersz kończy się zwrotem: „Wola Twoja
jak w niebie, tak i na ziemi“).

Smutek, melancholja jest zasadniczą cechą duszy. Dziel-
czynę — duszę ozłaca słońce południa, przypływa ku niej
dźwięk dzwonek na szyjach zganianego z pastwiska bydła —
rzeczywistość staje przed nią w swej wyidealizowanej krasie,
ale ona wraca do głównego tonu bożego muzycznego narzę-
dzia, jakim jest życie ludzkie, do smutku, śpiewa dalej
piosnkę o losach dwojga sierotek.

I tutaj znajdujemy szczegół, który u Lenartowicza pow-
tarza się bardzo często, który stanowi jeden z głównych
punktów jego myślenia i czucia. Poeta nie mógł sobie wy-
obrazić duszy, jako bezwzględnego abstraktu, zawieszonego

między niebem a ziemią, wiązał on ją zawsze z tem, co sam umiłował najbardziej, z ziemią rodzinną nawet wyzwolewszy ją z ciała i umieściwszy w niebie, dał temu niebu, jak to zobaczymy później, właściwości ojczystego kraju.

Sierota idzie w świat, a siostra, żegnając go, przypomina mu, ażeby za siódmą rzeką, gdy mu już zmilkną dzwony wiejskie, nie zapomniał o rodzinnych stronach, o tej chacie rozwalonej i o tem niebie, co nad jej kominem tak jest błękitne, jak oko matki nieboszczki. Niech zapomni o wszystkich, niech nie ogląda się nawet na tych ze swoich, którzy legli w mogile, ale niech pamięta, że czeka na niego nasze niebo. I sierota nie zapomniał; przewędrował kraje świata, a choć nie zbywało mu ani na chlebie, ani na soli, tęsknił przecież za kawałkiem ojczystego nieba i za krzywką wiatru ojczystego. Złotookiem piórkiem pawia pisze liścik do siostry, odsłaniający jego duszę, pełną smętku, że na obczyźnie tego mu właśnie nie dostaje.

Jest to niezmiernie subtelne przeniesienie na duszę wymarzonej kreacji artystycznej psychicznego stanu poety, który zmuszony opuścić strony rodzinne, tęsknił za nimi i w tęsknocie tej potęgował w sobie miłość ziemi ojczystej wraz z życzeniem, aby i inni tak samo ją kochali, — transpozycja uczuć, która, występując w daleko wyraźniejszych choć równie pięknych rysach w wierszu „Jak to na Mazowszu“, daje nam równocześnie klucz, wskazówkę, że nie mamy tutaj do czynienia z obiektywnymi obrazkami rodzajowymi, ale z subiektywnymi uczuciami samego twórcy, usymbolizowanymi w tych obrazkach.

Odmienne od alegorii, która jest ujęciem abstraktu w kształty realne, zmysłowem upostaciowaniem oderwanych zjawisk myślowych, czy uczuciowych właściwość symbolu obrazowego polega na pojęciowem rozszerzeniu pewnych zjawisk

realnych za pomocą pewnych, od indywidualności twórcy zależnych, środków artystycznych.

Stworzony w ten sposób obraz będzie miał znaczenie dwójakie: obrazu realnego i obrazu symbolicznego — realnego, oczywiście w znaczeniu podpadania pod zmysły, gdyż obraz, służący jako substrat symbolu, może być niejednokrotnie wyidealizowany (sama idealizacja nie jest bynajmniej symbolizacją).

Sfera zjawisk, z jakiej twórca bierze swoje symbole, jest obojętną.

Dzięki środowisku, w którym Lenartowicz spędzał swe lata dziecięce, dzięki ogólnemu nastrojowi demokratyzującego się ówczesnego społeczeństwa, po motywy do owych obrazów sięgnął do ludu i, powiedzmy od razu, idealizował zjawiska realne, których — z wiedzą czy bezwiednie, to jest obojętne, prawdziwy twórca czyni to zwykle nieświadomie, wrodzonym kierując się instynktem, intuicją — używał jako podkładu dla przedstawienia własnych pierwiastków psychicznych, myślowych czy uczuciowych.

Przypatrmy się temu substratowi, tym obrazom realnym — realnym w znaczeniu artystycznym i wówczas, choćby miały tylko pozory rzeczywistego życia.

Poeta przemawia przez chłopą; jakim jest ten chłop? Ze stanowiska ludoznawczego nie zawsze jest prawdziwym wewnątrznie, tak, jak nie zawsze prawdziwym w oświeceniu Lenartowicza jest życie jego zewnętrzne. Mówię: nie zawsze prawdziwym, gdyż i w wyidealizowanym oświeceniu poety ma on i jego życia rysy, których prawdziwości zaprzeczyć nie można, choćby dlatego, że rysy te są rzeczywistymi składnikami duszy ludzkiej wogóle, a dusza ludzka w istocie swej jest jedna. — Przedewszystkiem ludzie to niemal bez grzechu, przechodzą przez świat czysti — ideał poety, dotyczący duszy

i jej dróg — niewinni, jak ów „Janek stary“ (w rzewnym wierszu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“), który od „chłopięcia szczególny miał statek w bitwach i pracy i około dziatek“, którego dusza aż do skonu „tak była jasną, jakby co dopiero wyszła z dłoni Przedwiecznego“, a który umierając, po zapewnieniu księdza, że będzie miał nad sobą opiekę w niebie, jeden ma tylko jeszcze kłopot, co mianowicie powie, gdy stanie przed majestatem bożym, jak przywita tych świętych wszystkich i tych aniołów wszystkich, mających go w swoje przyjąć grono. „A cóż się mówi, kiedy się wchodzi między ludzi dobrych?“ pyta się kapłan konającego — „mówi się: niech będzie pochwalony...“ — „Toć prawda, prawda“ — zawoła staruszek i z tem pozdrowieniem na ustach zamyka na zawsze powieki.

Wiedział poeta, że wszędzie „są złości i kto grzechów nie ma?“, ale był też równocześnie przekonany, że ten ich posiada „najmniej, kto się roli trzyma“.

Tych „grzechów, które są wszędzie“, dostrzegał Lenartowicz pośród ludu jak najbardziej znikomą liczbę dlatego, ponieważ lud ten serdecznie ukochał.

Wielką już zbrodnią są w oczach jego ludzi te drobne przykrości, które sobie śród trudów codziennego żywota sprawiają członkowie jednej rodziny. W „Dwóch duszach“ mamy klasyczny tego przykład. Cnota i Występek spotykają się w drodze powietrznej: duchy dwóch nieboszczyc, Barbary i Marji. Jedna z nich biała, jak słońce, kiedy się lekką okryje chmurką, druga zaś ponura, czarnolica.

Nieboszczycy, które za życia dobrze się znały, rozwiniawszy długie swe „duchny“, całuny, rozpoczną pomiędzy sobą rozmowę. I okazuje się, że pierwsza, biedne popychadelko, opalone zawsze od słońca, na ciężkie skazana trudy, że aż litość brała patrzeć się na nią, gdy żęła zboże, gdy ze zmę-

czenia ledwie-że dzbanek z wodą utrzymać zdołała, nie bielila się na żadnym blichu, nie wykapała się w tę drogę wieczystą w żadnym stawie, w żadnym jeziorze, w którym łabędzie płuczą swe skrzydła, w żadnym źródłu, co w lesie z pod drzewa wypływa, ale że ją tak wybielił twardy znój, że ją tak własne łzy, które nieraz ronić jej wypadło, z ziemskiej obmyły spiekoty.

A druga — czego się dopuściła, że w takiej czarnej zjawia się postaci? Ona, co tutaj, na świecie doczesnym, białą była, jak ściana, i rumianą, jak róża. poczerniała nie od ziół szkodliwych, ale od tego, że nieraz matce hardo odrzekła, aż tej łzy popłynęły z oczu. Te łzy matczyne stały się powodem jej zmiany.

Nie dziw więc, że lud, który moralne pojęcia swoje w taką zamyka przypowieść — „Dwie dusze“ wzięte są z podania ludowego, mającego analogję w takiej np. „Brzozie gryżyńskiej“ Morawskiego — że więc ten lud w miłością rozszerzonych oczach poety składa się z samych „świętych Marków i Ann świętych“.

Taki jest stosunek chłopca do Boga i jego przykazań.

Równie szlachetnym, równie idealnym jest on wobec swego otoczenia, które poeta skupia w pojęciu ojczyzny.

W wspomnianej poprzednio „Jagodzie“ dziewczyna wiejska — roztrząsamy obrazki Lenartowicza, jako zjawiska realne, jako substrat symbolów — dziewczyna wiejska wyraża miłość swoją dla brata sieroty za jego tęsknotę do łańców rodzinnych; jakaś Jagusia czy Marysia z wiersza „Dziewczyna“ kocha nie tylko Boga i matkę, ale zapłacz nieraz i jest „najsmutniejszą z sioła i samotną“, gdy o ludzkiej niedoli „do chatki zła wieść zakolące“ — wówczas to — mówi:

„Na łonie mojej matki
Żal nad ludźmi płacze...”

I „Wiochnie“ lży cieką z oczu, gdy jej zanuć „o Polaku w niewoli“. Ten sam rys powtarza się i w innych poematach. Wieje śnieżycą, szumią drzewa, ponad zagonami wzlatują wrony, naokół zimno, przeszywające kości — a z chałupy na drogę wybiegł „Chłopak“, z rękami czerwonymi, jak raki, z oczami, jak ciarki, przez wieś maszerowali powstańcy, zdaleka słyhać jeszcze nutę dzielnego marsza, widać jeszcze bagnety, połyskujące nad starym żołnierzem.

„I przeszli, minęli,
Śnieg gęsty poproszył,
Choć przeszli, minęli,
Chłopak się nie ruszył.
Na czole mu siadła
Chęć bójki zawzięta,
Po twarzy mu spadła,
Kropelka zziębnięta.
Czy mróz ją wygonił
Wędrować po świecie,
Czy z biedy lży ronił?“

Nie! Mazur nieletni pobiegł do chaty prosić matki o takiż, jak u wojaków, karabin.

W „Grajku“ rozochoceni parobcy dolewają staremu piwa do dzbana, ażeby im zagrał taką piosenkę, którąby cała Polska usłyszała, a zagrał ją z taką mocą, „ażeby już raz dobrze było“.

W „Bitwie Racławickiej“ chłop polski nietylko gospodarzy, kraj chlebem zasila, ale z pieśnią „Pod Twoją obronę“ na ustach, „po cztery, po cztery“ kroczy wśród powiewających chorągwi wrogie zdobywać armaty.

Lenartowicz pragnął szczęścia dla ludzi i wizerunek szczęścia chłopskiego dał nam w licznych obrazach i obrazkach, a po-

wodowany może teorjami Rousseau'a o potrzebie powrotu do życia prostego, teorjami, których echo żyło w dążeniach demokratycznych współczesnych naszemu pocięciu lepszych jednostek społeczeństwa, chciał nam dać także symbol szczęścia wogóle.

Chłop lenartowiczowski jest nie tylko bogobojny i miłujący ziemię ojczystą, ale i szczęśliwy.

W czas orki jedzie sobie „Mazur“ z wołami na pole i śpiewa sobie razem z dziewczyną, której nuta dolatuje doń z pobliskiego lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dla czegoż nie miałby sobie zaśpiewać, dla czegoż nie miałby się weselić? Nie jest przecież żadnym „nicpotą“, ma przytem chatę i „stodółkę poszytą“, ma bydelko i dwa konie, ma żonę, którą kocha i dzieciaka małego. Wszakże i Pan Bóg ma go w swojej opiece, bo grady omijają jego zboże, a deszczyku gdy potrzeba, aby się żytko wykłosiło, również nie zbraknie. Sprzęty będą niezłe, z omłotu spadnie nawet coś dla kaleki, dla sieroty, dla ptaka, dla przyjaciela, a nawet i wroga.

Ma człowiek swoją troskę, panu hardo służyć musi, ale za to może Pan Bóg daruje mu grzechy, może pocieszy go na dzieciach, nie ma się więc czego smucić...

I nie smuci się: wyprawi córuni ślubne gody, na których „stary Józef skrzypkę stroi“, aż parobcy przytupują nogami, albo przy kwaterce zasiędzie sobie w karczmie i dalej-że na grajka i na basistę, ażeby od ucha mu rznęli. I grajek i basista nie dadzą się prosić dwa razy: „ten zawadzi, ten odprawi“, a smyczki chodzą po strunach, jak gdyby same.

I życie rozwija się, szaleje naokoło: dziewczęta nucą o tej przepiórcie, co ucieka w proso, chwytają nuty zbłąkane: ta dobra do tańca, ta do pracy, a od tamtej znikają kłopoty...

„Graj-że, grajku, będziesz w niebie, a basista koło ciebie!”
I robi się:

„Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem,
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.
Wszyscy skaczą, jak najęci.

Zmarnowane bieda z nędzą,
Jak szalone ze wsi pędzą.

Muzyka zagłusza kłopoty codzienne i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jak gdyby bał się, żeby skargi jego nie poczytano za złe, albo jak gdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę bożą, nie poddaje się rozpaczy, chyba że się wszystko złe na niego spiknie, że mu się spali stodoła, że mu zboże grad wytłucze, że ma za cały majątek dwa doły, w których leżą żona i dziecko, że mu z chaty pozostaną same zgliszczą. Wtedy to z rozpaczy do moskiewskich przystanie żołnierzy, ale nim spełni ten czyn, w dzikim tańcu pragnie choć na chwilę zapomnieć o swojej niedoli.

Tańczy, a grajek gra, aż się zmacha od grania, aż mu krople po licu pociekną, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego Maćka prawie oszalały, rzuci skrzypce o ziemię, potrzaska je i podepce.

Zdaje mi się, że tylko ten jeden raz zdobył się Lenartowicz na przedstawienie życia chłopskiego z jego smutnej strony — to znaczy: raz tylko wylał gorycz swoją nad nędzą świata, a może i nad swoim własnym, ciężkim, do obcej ziemi przykutym losem — ale i tym razem nie każe nieszczęśliwemu np. robaka zalewać wódką, ale zgodnie ze swoją własną, pierwiastków muzycznych pełną naturą, zagłusza go muzyką.

Muzyka — jako pięknie zharmonizowany rytm i rym, jako indywidualne ustosunkowanie obrazów i pojęć, będące jedną z najgłówniejszych, najwybitniejszych zalet muzy naszego pieśniarza — jest chłopą lenartowiczowskiego nieodłączną towarzyszką.

Oszałały Maciek, będący symbolem umiłowania pieśni przez niezbyt szczęśliwego w życiu poetę, ucieka się do niej, gdy go już wszystko opuściło; nuta, wydobywana ze strun skrzypcowych, czy ligawki, unosi się nad chatą wieśniaka, nad jego stodołą i obórką, nad jego łąkami, zlewając się razem z odgłosem „dzwonka“, który i dzień zwiastuje i dzwoni na „odwieczerzy, kiedy się świat uśmierzy“ i schodzi „na Anioł pański, na ten brzeg nadwiślański“ — z odgłosem dzwonu, który kiedyś tak „huknie sercem na grobie“, że

„Wszystkie prochy po świecie
Onych ludzi, co wiecie,
Jeden wicher znów zmiecie.
I z tych prochów się złoży
Coś, jak gdyby gniew boży,
Pył do pyłu przystanie
I lud wstanie na łanie
I przebrzmiały ich głosy
W żywe hukną niebiosy;

Witaj dawna starszyzno!

Witaj matko ojczyzno!“

(„Dzwonki“.)

Nie należy do zakresu mej pracy roztrząsanie, o ile idealizacja chłopca i jego życia jest uzasadnioną czy pożądaną ze stanowiska interesów społecznych. Wrażeniu artystycznemu ona nie przeszkadza — tam, gdzie do poezji przystępujemy nie z potrzebą odkrycia w niej prawd folklorystycznych, czy publicystycznych, lecz z żądzą spotkania się z uczuciami, pokrewnymi naszym uczuciom. Pierwiastki idealistyczne, prowadzące równocześnie do idealizacji życia, ma każdy z nas, to też miło nam znaleźć odbicie ich w poezji. Zresztą „idealizacja“ chłopca i jego życia może sprzeciwiać się tzw. prawdzie realnej, jeżeli idzie o chłopca jako zbiorowisko. „Klasa“ ta do najszczęśliwszych, najlepszych, najwybrańszych nie należy (klas takich wogóle niema), natomiast i pomiędzy „klasą“ chłopską (tak samo, jak w każdej innej) znajdują się mniej lub więcej liczne jednostki i szczęśliwe i dobre i czule i kochające kraj i w lepszą wierzące przyszłość. Chłopca widziały Racławice, Miłosław i Września i Krzywosądza, a utarte mniemanie, że chłopca bardziej boleje nad utratą ciolka, niż dziecka, jest — jeżeliby się je chciało zgeneralizować — kłamstwem.

Szczęśliwy ten świat, tworzący podkład symboliki Lenartowicza, maluje poeta rysami subtelными, meissonierowskimi. Pod tym względem wzorem doskonałości jest „Wiochna“, wybiegająca z rannem słońkiem na rosę białą, tak samo, jak dwie jej siostry rodzone „Jagoda“ i „Dziewczyzna“, rozkoszująca się tą „brzozą płaczącą“, co wyrosła nad rzeką, i temi jasnymi obłokami, co

...po niebieskim płynąc przestworze,

odzwierciadlają swe kształty w czystym potoku. (Zarysy pejzażowe). (Zarysy i odcienia psychologiczne): Lenartowicz wywołuje efekty szczegółami, z umysłu rozrzuconemi beładnie:

Po głowie Wiochny snują się rojenia — sny czystej, nieskalanej duszy.

To przekomarza się z jaskółką, że nie tylko ona potrafi uwijać się w koło, ale że to jej, Wiochnie, z łatwością przychodzi; niech no tylko ogień wznieci i krówkę wydoi, aby się matka nie gniewała, a pokaże, jaka jest zwinna: to raduje się, że Bóg tyle kwiecica rozmnożył po ziemi, że dał jej branszka, z którym popieścić się spieszy, ale że się jeszcze nie zbudził, więc od kołyski dalej do kominka ogień zrobić, a gdy się ogień rozpali, nuże czesać długie warkocze, o których ludzie tyle mówią, że jej się aż wstydzić trzeba. Nic w nich pięknego nie widzi, a tylko żmudną ma z rozplątywaniem ich robotę. (Prawdziwy umysł dziecięcy, w którym się wrażenia nie łączą w jeden łańcuch, ale są jak rozsypane razem perły i korale).

Matka jej powiada, że nie rośnie, ale to nie prawda, bo niech tylko ciepły na wiosnę popada deszczyk, niech się w nim porządnie przemoczy, a odrazu będzie tak — duża.

Pająk przedzie szare swe włókienko i ona tak samo, a przysięga mędrsza jest od niego, bo i na książce czyta, i w kościele się pomodli i baranka na Wielkanoc jak żywego ulepi, a gdy w Trzy Króle zrobiła:

„Świątą Pannę i Syna
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule
I z lirenką pastuszka,
To się ludzie zbiegali,

Z całej wioski lecieli,
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli..." itd. itd.

„Wiochna“ może być w założeniu przesentymentalizowana, ale jako ideał naiwności, sympatyczny czy nie, to wszystko jedno, jest robotą doskonałą.

IV.

Lenartowicz był człowiekiem religijnym; wierzącym. Według jego wyobrażeń życie bez wiary „byłoby niezmiernie głupią farsą“. „Występowanie przeciwko wierze jest właściwością ludzi płytkich, a prawi poeci i artyści noszą w sobie to żywe uczucie (wiary) i mogą zwać się kapłanami z urodzenia“. „Żaden wielki genjusz nie był nigdy ateuszem. Bez idealizmu nasze istnienie nie miałoby celu; praca, nauki, kunszt, dzieła wspaniałe, stałyby się prostą chimera“.

„Owoż tak być nie może, a samaż absolutna negacja wiedzy ku twierdzeniu. Nie mgły to i pomroka zwątpienia, otaczające słońce prawdy, lecz błogosławione światło jego daje życie światu“.

„Umysły wielkie i genjalne posiadają mądrość, której służyć poczynają od pierwszego tchnienia swego, a tej przyświeca zawsze myśl i wiara w Istotę najwyższą, jedyną“.

Wiara Lenartowicza była katolicką, błogosławieństwo, które otrzymał od papieża — a z powodu którego zarzucono mu w pewnym odłamie prasy warszawskiej jezuityzm, wstecznicstwo, klerykalizm — uważał sobie za „chlubę przed rodziną i u potomności“, wobec czego „wszystkie honory świata są niczem zaiste“, jakkolwiek raził go dworski przepych, otaczający głowę kościoła, jakkolwiek papieżem powinien być

„najuboższy gdzieś, a serdeczny, stary mnich. Idę do dziada — mówi — powzdycham, poprowadzi mnie do kaplicy, odmówi litanję i dobrze“. W oczach jego „pod pozorami liberalizmu protestanckiego kryły się zdrada i właśnie braterskie, zdolne zburzyć gmach cały“, mimo to jednak umiał być w sprawach wyznaniowych obiektywnym i zwłaszcza, gdy szło o wybrańców narodu, posądzanych o libertynizm, znaleźć dla nich słowa, godne, aby je sobie zapamiętano, słowa, dowodzące, że, wiernym będąc katolikiem, katolicyzm ten pojmował — notatka powyższa o papieżu-mnichu — dość, jeżeli idzie o stosunek do dogmatów, swobodnie: „Adam pyszny, Adam niewierzący“ — mówi o Mickiewiczu — „ach! Boże! biedneż te sądy nasze! Kazimierz Brodziński, ów poeta, który pisał kantaty dla łoży maseńskie, przed zgonem, jak wspomina Bohdan Zaleski w Przedmowie do „Posłańca do narodu“ miał widzenie Chrystusa Pana i zmarł jak święty; Juliusz Słowacki, heretyk, bo co on nie pisał, skonał na rękę przyjaciela, dziś arcybiskupa Felińskiego, kapłana męczennika, przyjąwszy przenajświętszy Sakrament. Za Zygmunta Krasieńskiego, w chwili jego konania, Pius IX. w kościele św. Piotra odprawiał modły, jako za najwierniejszego sługę Kościoła. Adam skonał namaszczoney świętym Olejem, o czym mówił mi ksiądz Ławrynowicz, który mu takowego udzielał, a ostatnie jego słowa były jakby echem z Patmos: „Kochajcie się, dzieci moje!“; i co tu prawić o herezjach? Że czasem wyobraźnia zaleci gdzieś w sfery ciemniejsze, którychby święty Tomasz z Acquinu nie potwierdził, to nic nie dowodzi; oceniając takich wieszczów, należy brać za miarę wiary nie wywody, ale ich konkluzje. Owoż w konkluzjach wszyscy nasi poeci są chrześcijaninami, a zgonem katolikami. Walka pojęć, burze duchowe, ale nad tem wszystkiem przewija się jak złoty baldachim procesji Bożego Ciała chorągiew z na-

pisem: Za Boga, Wiarę i Ojczyznę. Nie bądźmy tak surowi dla poetów, bo gdyby przyszło pisma pisarzy kościoła rozbiierać, niejednokrotniebyśmy okresy na panteizm zakrawające napotkali“...

Zaznaczenie pierwiastku wiary w Lenartowiczu, człowieku prywatnym, zaznaczenie jej własnymi jego słowami, było mi potrzebne dla wykazania jego stosunku do składników religijnych, zawartych w jego poezji. Tylko z pod pióra człowieka wierzącego mogły wyjść takie poematy, jak „Zachwycenie“, „Błogosławiona“, „Dzieci nazareńskie“, „Święta praca“ i tak dalej.

Pisząc je, nie miał zamiaru tworzyć obrazków etnograficznych na tle wierzeń ludowych, podlanych sosem literacko-poetyckich sentymentów, ale tła wierzeń ludowych używał celem ujawnienia własnych nastrojów psychicznych, dla pomieszczenia których tło ludowe wydało mu się najodpowiedniejszym, najbardziej zbliżonem do zasadniczego tonu jego duszy.

Pod tym względem Lenartowicz wydaje się mi bardzo podobnym do owych głęboko religijnych malarzy szkoły staroniemieckiej, którzy sceny z życia Chrystusa przenosili w świat sobie współczesny, nadawali im koloryt swojej ojczyzny, zapelniali je tłumem, nie tylko odzianym w stroje staroniemieckie, ale będącym w charakterze swoim odbiciem ludzi nie Chrystusowi, lecz malarzowi współczesnych. Czynili to, może i z nieznajomości warunków historycznych, wśród których spełniało się Ukrzyżowanie, ale przede wszystkim dla tego ponieważ ludzie, ich otaczający, ludzie wiary, ludzie prości najbardziej odpowiadali ich wierze, ich wrodzonej prostocie.

Mieliśmy wielkiego poetę, u którego uczucia religijne przybierały formę mistycznej ekstazy. W niebiańskim upojeniu zdawał się on, jak święty Franciszek z Assyżu, Chrystusowe

uczuwać stygmaty, a bolesne rąk przekłucia, nóg i boku, oraz krwawiące ślady cierniowej korony na głowie były dla niego rozkoszą.

Razem z świętą Teresą, której „głoszę“ na swój rodzimy przepisał język, piórem, maczanem w krwi własnego serca, widywał on postać „Ukrzyżowanego Boga-Człowieka, nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie, nie tajonego przesłonami cudu“, ale widywał go „takim, jakim bywa pomiędzy aniołami, a widywał go lepiej nawet od świętych, bo silniej i goręcej kochał go, niż Oni“. A kochał go nie dlatego, że miłującym go przyobiecuje „gody w Królestwie swoim — palmy, harfy i dziwy“, ale dlatego, że „na ziemi będąc, przeboleł wszystko“, co tylko boleć może, że zniósł wszystko, co tylko poniżyć może, że On, Bóg, przybity został do drzewa krzyżowego, że zdradzili go ludzie, że odbiegło go niebo, że do własnego Ojca wołać musiał, iż go opuścił“.

Religia Krasińskiego była religią cierpienia, nie wynikającego z anormalnego stosunku słabych sił ludzkich do nakładanych na nie ciężkich obowiązków w tej doczesnej podróży, ale religią cierpienia dla cierpienia, miała więc w sobie pierwiastek wyfilozofowany. Nie była czynnikiem etycznym, który człowiekowi żyć każe celem zamieniania tego życia w szereg szlachetnych uczynków, ale była tęsknotą do śmierci, ażeby w sferze zaświatowej móc już na zawsze obcować z Tym, który na ziemię schodzi do wybrańców swoich — w ich wizjach — tylko na chwilę.

Wiara jego była wiarą owych średniowiecznych ascetów, którzy dnie i noce przepędzali w modlitwie, biczując grzbiet swój ołowianami dyscyplinami dopóty, dopóki z omdlenia, spowodowanego krwi upływem, przedrażniona wyobraźnia nie poniosła ich przed Piłata, Annasza i Kajfasza, do ogrodu Oliwnego i na Golgotę, gdzie sądzono ich jako zbrodniarzy,

gdzie plwano na nich i żelazną prawicą ciężkie wymierzano im policzki, gdzie ich odziewano w purpurę i trzcinę, zamiast berła, w rękę dawano, gdzie wychylali kielich goryczy, przez bożego zniesiony im anioła, gdzie judaszowskie paliły ich całunki, gdzie przybijano ich do krzyża, stawiając ich, duchy czyste i zbawienia świata pragnące, pomiędzy skalanymi, na zgubę tego świata czyhającymi łotrami.

Tracili oni bowiem w ekstatycznym uniesieniu granice pomiędzy tem, co jest ludzkie, a co jest boskie; jak św. Szymon Słupnik, chępnili się wobec bóstwa, że pod względem znoszenia katuszy niema im równego i że za to powinni być wynagrodzeni, albo, jak święta Teresa, wynosili się dzięki cierpieniu ponad klęczące u Chrystusowego krzyża Magdaleny: nad ich miłość większej nie było miłości.

Wiara Teofila Lenartowicza, tak jak się przejawia w jego obrazkach lirycznych, jest zasadniczem tamtej przeciwieństwem.

Nie jest ona ani wypływem dociekań teologicznych, ani emanacją zmęczonego czy zrezygnowanego umysłu filozoficznego, który nie mogąc dojść w drodze empirycznej czy spekulatywnej do zbadania przyczyny wszechrzeczy, rzuca się w objęcia mistycyzmu.

Jest to wiara naiwna dziecka chłopskiego, pełna uczucia, ale także pełna pierwiastków sensualistycznych, uważająca nieraz za prawdę realną to, co według nauki Kościoła jest tylko symbolem.

Jest to wiara, która z rzewną szczerością podaje umarłemu gromnicę, rozwija chorągiew z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed której obrazem pada w kościele na wznak i gorącemi łzami zimną zlewa posadzkę.

Jest to wiara, która mai krzyże przydrożne liśćmi tataraku, wiankami rozchodniku i gałęzmi zielonej brzeziny.

Wiara, która kredą święconą w Trzech Króli kreśli na drzwiach chałupy ich znaki i opisuje nią stodoły, stajnie i obory, aby dobytek nie zmarniał.

Jest to wiara, która świętemu Florjanowi każe strzec słomą krytych chat chłopskich od pożaru, świętemu Walentemu leczyć nawiedzonych „bożą-wolą” (epilepsją), świętemu Janowi chrzcić wodę w wądolcach, aby pogasił w niej zielska trujące.

Wiara, która suszonemi ziołami, a poświęconemi w Boże Ciało, okadza wymiona bydła, aby więcej dawało mleka.

Wiara, która w wieczór wigilijny nie przedzej nakazuje rozpoczynać z dziewięciu czy siedmiu potraw złożoną wieczerzę, aż gdy się na niebie pierwsza ukaże gwiazda.

Jest to wiara, która wieczerzy tej nie pozwala spożywać inaczej, jak na stole, sianem przykrytym, która pierwszy kąsek każe zanieść gospodarzowi domu do obory i rzucić je bydłu do żłobu.

Wiara, która w czterech rogach izby stawia w ten wieczór święty snopki pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia.

Wiara, która powiada, że w noc tę bydło pomiędzy sobą rozmawia.

Jest to wiara, która głosi, że krówka, gdy ze snu wstaje, na przednich klęka nogach i westchnie sobie, niby przy pacierzu, zanim rozpocznie żuć przy żłobie; że bydełko pada na kolana na odgłos dzwonka, towarzyszącego księdzu, gdy do chorego kmiotka z Przenajświętszym spieszy Sakramentem.

Jest to wiara, która uczy, że matka-nieboszczyca, pozostawiwszy biedną sierotę w domu, powraca z północksza odwiedzić niemowlę i że duchy dzieci niechrzczonych błakają się po drogach rozstajnych, wołając chrztu świętego.

Jest to wiara, która w czasie klęsk elementarnych łączy

przyjaciół nie przyjaciół, wrogów nie wrogów w błagalne procesje.

Wiara, ofiarowująca dzieci chorowite do Najświętszej Panny Gidelskiej, Markowskiej lub Pierańskiej i, w razie uzdrowienia ich, za grosz z pod serca wyjęty skromne zawieszająca wota, wiara, równie silna na katolickich Kujawach, jak i na protestanckich — pomimo przeciwdziałania ortodoksyjnych pastorów — Mazurach wschodnich.

Jest to wiara, radująca serce największego sceptyka w kolendach, lży wyciskająca w suplikacjach, do szpiku kości przeszywająca w wspaniałem „Święty Boże! święty mocny! święty a nieśmiertelny!“

Jest to wiara prosta, zgruba ociosana, jak krzyż, postawiony pomiędzy dwiema płaczącymi wierzbami, na kawałku murawy, wśród żyta lub owsa, ręką chłopskiego „fundatora“.

Wiara tak silna, że na jej wezwanie spokojny, pracy nad rolą oddany chłop pójdzie, zawiesiwszy szkaplerz na pierśsiach, w najkrwawszą zawieruchę.

Jest to wiara, wierząca, że w przeddzień Sądu Ostatecznego spłynie na ziemię na płomiennym wozie wielki prorok Eljasz, aby raz jeszcze opowiedzieć słowo boże i ludzi do pokuty przywołać; że staną przeciw niemu dwaj fałszywi prorocy, wysłańcy „Ancykrysta“, który ma się narodzić z Żydówki, że krew się poleje po całym świecie i że, nim zagrzmi trąba „Archanioła“, na świecie tym nikogo nie będzie już z żyjących, że umarli pospieszą na „dolinę Józefata“ i tam, przemienieni w białe owieczki i w kozły czarne, rozstąpią się za wolą Najwyższego Sędziego, że jedno z nich staną po prawicy, a zaś drugie po lewicy — wedle zasługi lub przewiny; że powstanie wielki jęk po jednej, a wielka radość i wesele po drugiej stronie.

Wierzy ona, ta wiara, w piekło, niebo i czyściec, a do mę-

czarni w nich lub radości przykłada miarę spotęgowanych tylko radości lub męczarni ziemskich.

Trójkę świętą, choć wie, jaką jest otoczona jasnością, iż tylko Archaniołowie oglądać mogą Jej oblicze, a zaś dusze zbawione tylko Ją czują, przedstawia sobie przecież zupełnie po ludzku: Boga-Ojca w postaci siwowłosego z długą brodą starca z berłem w ręce i płaszczu długim, Boga-Syna, z twarzą rozpromienioną zwycięstwem, które odniósł nad szatanem, kiedy po śmierci swojej do piekieł wstąpił, aby wyprowadzić z nich patriarchów i proroków, napół obnażonego, z zaschniętą raną w boku, ze znakami czerwonymi na nogach i rękach, napół odzianego w purpurę, trzymającego krzyż, godło zbawienia; Boga-Ducha Świętego w postaci białej gołąbki, rozpiętej nad Trójką: dla tej wiary nie są to symbole, uzmysławiające Bóstwo troiste w Jednym, ale mają dla niej znaczenie rzeczywistości. Tak ona je sobie wystawia i tak je maluje na tych rozlicznych obrazach jarmarcznych czy odpustowych, zdobiących ściany każdej chałupy.

Jest to antropomorfizacja, będąca u Lenartowicza, którego poezje religijne z powyższych składają się pierwiastków, znowu środkiem artystycznym, uzmysławiającym jego własne, proste, szczere, naiwne uczucia, jako twórcy-poety, a nie jego poglądy, jako myśliciela.

Folklorysta, krajoznawca czy etnolog w tych uzmysłowaniach, dokonanych ogółem bardzo wiernie według wyobrażeń artystycznych ludu, zawartych w jego obrazach, jego pieśniach (np. w „Kantyczkach”), mógłby obfity znaleźć przyczynek do studjów nad kulturą chłopą polskiego; historyk sztuki doszukałby w wielu analogji z „prymitywami” bizantyńców, Giottów, Fra-Angelików, Lorenzettich, mistrzów staro-niemieckich etc.; badacz rozwoju ducha religijnego dopatrzyłby się w nich śladów pojęć, zawartych w Apoka-

lipsie, w Patrystyce, w hymnach św. Bonawentury, Jacopa da Todi, Wenancjusza i innych, płomienną wiarę swą zamykających nie w dociekaniach i spekulacjach filozoficzno-teologicznych, lecz konkretyzujących ją w uczuciu.

Klasycznym przykładem takiego skonkretyzowania wiary w uczuciu poetyckiem za pomocą środków artystycznych naiwnych, prymitywnych są dzieje Chrystusa, zawarte w „Dzieciach nazareńskich“.

Pod względem formy sielanka pasterska, odmienna jednak od wypudrowanych sielanek francuskich wieku osiemnastego przez swoją szczerłość, przez swoją treść religijno-uczuciową.

Świat kantyczek: — Nad Betlejem zabłysnęła gwiazda złota; po świecie rozniosła się wieść, że narodził się władca nad władcami, król nad królami. I oto trzech mędrców ze Wschodu, w koronach na głowie i sukniach złoto-litych, spieszą z darami, trzech możni królowie z wielbłędami i murzynami, ażeby nowo-narodzonego hołdem przywitać. Wieść ta dotarła i do polskiej wioski i oto w ślad owych mędrców podążają Grzegorz, Jaśki i Staszki.

— Np.: „Bartos wziął gaskę, Kuba barana, Błazek słodkiego mleka pół dzbana, Jan gomulek porwał z półek, niosąc do Pana“ (Kantyczka: „Szczęśliwe czasy się nam zjawily...“)

Cztery do Betlejem wiodą drożyny; najlepiej wybrać prostą, jak ta wiara chłopska. Wybrali i poszli i dotarli do stajenki, nad którą gwiazda świeci i czuwa Bóg-Ojciec. W stajence, którą aniołek poprzęta, Józef, Marja i Dzieciątko Boże pomiędzy przeżuującym wołem i chuchającym osiołkiem.

— Np.: „Osiołek i z wołem stoją przed nim społem, zagrzewają swego pana, upadają na kolana...“ (Kantyczka: „Jezus, śliczne kwiecie...“)

— „Wejdą w szopę, mali Anieli strugali złotą wierzbkę i lipkę, Dzieciątku na kolebkę“.

— Np.: „Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje, trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy duszy“ (Kantyczka: „W Betlejem przy drodze“).

Kmiotkowie polscy chcą zaśpiewać Jezusowi małemu, ale zapóźno: wyszedł rozkaz od srogiego króla, aby wszystkie nowo-narodzone pomordować dzieci, więc rodzina święta gotuje się do ucieczki. Panna Najśw. w krasne pieluszki i wstążeczki owija dziecinę, a Józef krząta się około osiołka, który ma ponieść matkę i syna. Idą, a nasi chłopkowie podążają za nimi z darami: z plasterkiem miodu, z dzbaneczką mleka, z workiem orzechów leśnych, ażeby uciekającą Rodzinę głód nie spotkał w drodze...

Obraz się zmienia. Ziemia naokół, jak Kwietnia Niedziela; wietrzyk podzwania, ruczaje szemrzają, po polu nad lasem prześliczne mają się kwiaty, mała dziecina bawi się wianeczką, nie z lilij i nie z róż, ale z ciernia i głógów (ostatni motyw z Botticellego: Madonna, w „Museo Poldi-Pezzoli“ w Medjolanie). Obok starszych Józef w niebieskiej sukmanie wyciosuje siekierą żłobek sierocy, nucąc: „Kto się w opiekę“, a tam z puszczy przyczają się mały chłopczyzna z trzciniowym krzyżem (Botticelli: Madonna, Museo Civico w Piacenzy) w rękę, to przyklękuje, to rączki jakby do pacierza składa, a za nim białe pospiesza jagniątko, „to się zatrzyma, to się zacieknie, na cierniach, głógach żałośnie beknie, jako jagniątko...”

Tym chłopczyzną to „Janek z puszczy“, przed Panem prostujący drogę Jan Chrzciciel.

Powitanie dwóch dzieciąt bożych, „Jasiuchna“ z Jezuskiem, które ze snu wstają o świcie, razem z skowronkiem, prędzej „od rybek, śpiących pod wodą“, rozczuli patrzących na nią chłopków:

„Patrzcie no, Stachu, jak rączki plotą,
Aż mi coś w sercu z radości szlocha,
Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.

Rozczulił się niem i Józef i, rzuciwszy siekierę, wziął Jezusa na ręce. I dziecię boże, jak na owych odpustowych „bohomażkach“, bawi się siwą brodą piastuna, albo obejmuje go za szyję jedną ręką, a zaś drugą sięga po sześciolistną lilję, wykwitającą z laski Józefowej.

Ale dziecię boże niedługo zabawi na łonie przybranego ojca, spieszo mu spełnić swe zadanie. Wyrывa się z objęć i bieży, aby z pagórka, u stóp rozwalonego zamku królewskiego, wołać do wzgardzonych i biednych:

„Pójdźcie ubodzy, ja was zbogacę,
Pójdźcie skrzywdzeni, ja wam zapłacę“.

„Janek z puszczy“ z jagnięciem i z trzciniowym krzyżykiem wyrывa perze przed nim, oczyszcza z zielska ścieżki i miedze. I naokoło nich gromadzą się niewiasty z Nazaretu, dzieci swoje wiodąc za rękę lub niosąc je z sobą, w zachwycie uklękają przed Jezusem.

Tymczasem przyszła pora obiadowa i oto Lenartowicz śliczną tworzy sielankę, symbolizującą istotę Chrystusowej nauki, która wszystko, co żyje, silną ogarnia miłością.

Do dzieci nazareńskich zlatują się słowiki i skowronki, pelikany i wielkie strusie — na obrazach mistrzów niemieckich natura reprezentowana bywa również przez zwierzęta egzotyczne, — przybiega wiewiórka i lew i wszystko zwierzę, jakie jest na świecie, aby z rąk Jezusa wziąć pożywienie. Wszędzie panuje zgoda:

„Panicz każdemu na rączce poda,
Każde pogłaszcze, pobłogosławi,
Z każdym pogada, potem odprawi:
Idź, idź, mój strusiu, idź, lwie kudłaty,
Owiec mi nie bierz, nie chodź na czaty,
Z Bogiem już, z Bogiem...”

I rozeszło się wszelkie stworzenie, przyjąwszy pokarm boży, naukę Chrystusową, i złociste słońce rzuca z lazurów blaski swoje na ziemię wokoło, że cała ziemia jak wymalowana, a spokojna, a cicha, rządzona mądrością i sprawiedliwością przedwieczną.

(U Jezajasza: „I będzie sąd przemieszkiwał na puszczy, a sprawiedliwość pole urodzajne osiadzie.

„I będzie pokój dzieło sprawiedliwości, a skutek sprawiedliwości odpocznienie i bezpieczeństwo na wieki“. (Rozd. XXXII, 16, 17). „Wilk z baranem paść się będą spolem; lew, jako wół, plewy jeść będzie, a wężowi proch będzie chlebem jego; nie będą szkodzić ani zatracać na wszystkiej górze świętej mogły, mówi Pan“ (Jezaj. LXV 25).

Proroctwo Micheaszowe:

... „i przekują miecze swe na lemiesze, a oszczepy swe na kosy: nie podniesie miecza naród przeciwko narodowi, ani się więcej ćwiczyć będą do boju“;

Ale „każdy będzie siedział pod winną macicą swoją i pod figowem drzewem swoim“ (Rozdz. IV 3, 4).

Pieśń słoneczna św. Franciszka z Assyżu, w której żywioły i twory przyrody traktowane są jak rodzeni bracia człowieka:

Laudato sie, misignore, cum tucte le tue creature,
spetialmente messer lo frate sole...

Laudato si, misignore, per sora luna e le stelle...

Laudato si, misignore, per frate vento
et per aere et nubilo...

Laudato si, misignore, per sor acqua...

. . . . per frate focu

. . per sora nostra matre terra... i t. d.

Ale niestety! słońce powoli zaczyna schodzić z horyzontu, a gdzieś tam słychać, jak się ludzie swarzą o ziarno bobu... Dziecko wraca do warsztatu Ojca, w ślad za nimi (Jezusem i Józefem) krocą polscy nędzarze; żegnają go pieśnią, którą lud nasz przywykł śpiewać w czasie „Gorzkich żali...“:

„Dobranoc, kwiecie, kwiecie różany,
Dobranoc, dziecię, Jezu kochany.
Dobranoc!“

Ale nim się Jezus do snu położy, spożyje z Marją i Józefem symboliczną wieczerzę, wyrażoną u Lenartowicza nie majestatu pełnym nastrojem Leonarda, lecz spokojnymi barwami słonecznej idylli, poza granicami której czyha jednak mrok. Święta rodzina zasiadła do stołu, nakrytego białym obrusem. Dziecię boże przeżegna się (nakreśli znamię),

„W oczach Józefa bułkę rozłamię,
Rozdzieli wino Matre starcowi:
Jedzcie i pijcie owoce boże
Jeszcze wam dodam, jeszcze dołożę,
I w ustach dzwonią słoweczka ręce:
Choć krwi z paluszka to wam usączę...“

Tak więc aż do chwili, poprzedzającej śmierć na Golgocie, Lenartowicz, jako artysta, w szeregu „bohomażków, prze-

znaczonych na chłopską ścianę“, przedstawił nam, łącząc rysy, zapożyczone z Ewangelji i Proroków, z cechami podpatrzonemi w chłopskiem obejściu, historję życia Naza-rejczyka.

Na początkowych stronicach niniejszego szkicu wspom-niałem, że Lenartowicz nie miał w naturze swojej pierwiastku grozy. W wyobraźni jego nie było tych sił, któreby mogły przedstawić tragiczne działanie wielkiego bólu. Rozwiany jest ten ból u niego wszędzie, ale w formach niezmiernie łagodnych, jako smutek i melancholja. Troska u niego to czubek głowy węzowej na „prymitywach“, przedstawiających życie w Raju. Przed tem największem poety zadaniem, przed przedstawieniem tragedji duszy w jej kształtach surowych a olbrzymich, musiał się cofnąć poeta i w „Dzieciach naza-reńskich“, zakrojonych na sielankę. Zakończył on sielankę nie rozpięciem Mistrza na krzyżu, lecz ułożeniem dzieciny do snu, nie wyciem rozpasanej tłuszczy, miotającej obelgi na Zbawcę, lecz adoracją chłopów polskich. Zeszli się przed stajenką kobieźnicy i grajkowie, lirnicy i juhasi, ażeby zagrać kolendy i złożyć Panu dary, uzbierane w polskim lesie i na polskim polu. Złożyli podarunki i odeszli, prosząc w duchu świętą dziecinę:

„O długie zdrowie, o miłą zgodę,
O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę,
O szczęście w kraju,
O pobyt w raju,
O królowanie
Wraz z Tobą, Panie.
Na wieki...“

Ten „Raj“ — z którym wchodzimy w analogje Dantej-skie — jest również odbiciem realnych stron życia ludu, w ich

formie wyidealizowanej, życia na łonie przyrody w jego przez poetę według ideałów Rousseau'a lub greckiej „eudaimonii“ wymarzonych kształtach.

O piekle, czyśćcu i niebie napisał Dante poemat, który przetrwał wieki i wieki trwać będzie. O ten sam temat pokusił się Lenartowicz, który, jak wiadomo, wielką dla twórcy „Boskiej Komedji“ żywił cześć. Gdy jednak „Boska Komedja“ była potężnym, o gigantycznych rozmiarach obrazem rozkładających się wieków średnich oraz budzącego się dnia nowego — jako tło i środek artystyczny — a jako idea obrazem namiętności, grzechów, wzlotów, cierpień i ekstaz duszy ludzkiej — gdy w obrębie swych kręgów, w których pokutowali wielcy owych dni zbrodniarze albo rajskiej używali rozkoszy mężowie, wiernie spełniający słowo boże, żyjące w sercu i umyśle surowego banity, gdy więc nieśmiertelna trylogja Danta mieściła w obrębie swych kręgów wszelkie ówczesne pojęcia i zasady polityczne, filozoficzne, teologiczne i moralne, Lenartowicz w utworach swoich — w „Zachwyceniu“, „Błogosławionej“ i „Świętej pracy“ — stworzył stosownie do charakteru swej duszy liryczne obrazki, poetyzujące życie chłopca polskiego, jego wesela, troski i wierzenia. Jak życie pozagrobowe Danta jest odzwierciedleniem, albo raczej symbolem życia wieków całych, czy duszy ogólnoludzkiej, tak życie pozagrobowe w „Zachwyceniu“ i „Błogosławionej“ jest odbiciem urzędów, pragnień i dążeń, radości i smutków i trosk ciasnego życia doczesnego duszy ludowej polskiej.

Stosownie do wyobrażeń ludowych, które rozróżniają raj od nieba (tak samo jak od „piekła“ lud odróżnia „ciemnicę“, w której przed wybawieniem przez Chrystusa pierwsi przebywali rodzice, patrjarchowie i prorocy i cnotliwi mędrcomie pogańscy) widziała „Zachwycona“ przedewszystkiem Raj.

Pejzaż: Raj to ogród, otaczający dworzec niebieski.

W ogrodzie tym pełno drzew, jak w sadzie chłopskim. Na drzewach wiszą złociste owoce: to dusze najczystsze, które za żywot cnotliwy poprzemieniane zostały w te jabłka i grusze kosztowne (Baśń ludowa o Madeju rozbójniku).

W niebie, jak na chłopskiem polu, rośnie pszenica, rosą przeróżne zioła, które również są duszyczkami.

Na tle tego pejzażu idylla pasterska: Jezus jako pasterz boży (symbol chrześcijański: Chrystus z owieczką na ramieniu, pomiędzy innemi w katakumbach Kaliksta w Rzymie) pasie białe baranki, znowuż dusze, co cierniowe przeszły męki, których życie doczesne było ofiarą (w chrześcijaństwie zarówno, jak w judaizmie — ofiara Izaaka między innemi — baranek był godłem ofiary; baranek boży, Chrystus, cierniową nosił koronę). Obok Jezusa Najświętsza Panna przedzie na koszulki dla biednych sierot „babie lato“ (zwane u ludu także przedzą Matki Boskiej). Robota idzie raźnie i z przędzy tej wszystkie sieroty miałyby okrycie, gdyby nie psotny wietrzyk (troska „Jagody“ o kwartę soli, czubek łba wężowego na „prymitywach“), który, silniejszym będąc od zamysłów po ludzku pojętej Królowej Niebios (stosunek sił ludzkich do żywiołów Przyrody), nici jedwabne zrywa. Sielanka chłopska nie obejdzie się bez ligawki lub skrzypiec: więc są w niebie anieli, którzy na złotych grywają skrzypcach, nauczywszy się przeróżnych pieśni — tam, gdzie jej się uczą „ptaki niebieskie“ i „nasi ludzie“:

„W rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej“.

Jak pomiędzy przyrodą a człowiekiem, tak pomiędzy niebem a ziemią ściśle jest związek. Widać stamtąd i chałupę wiejską i dziewczę, zbierające ziele, i dziada proszalnego

i kmiotka przy plugu i wszystko, co się na ziemi dzieje. Aniołowie patrzą złotymi gwiazdami; litość nad nędzą ludzką tak ich wzrusza, że płaczą rosy kroplami, a „od tej rosy, od tej litości, zboże się pleni“ (morał niczem praca ludzka, gdy jej nie pobłogosławiały moce niebieskie). Gdy zaś protegowani ich grzeszą, wówczas błedną, radując się natomiast z każdego dobrego uczynku.

Grzechy i wszelkie przewiny oraz dobre uczynki człowieka zapisuje apostoł Piotr do wielkiej księgi, którą trzymają dwaj płomienni anieli (analogon: „I widziałem po prawej ręce siedzącego na stolicy księgi napisane, wewnątrz i zewnątrz zapieczętowane siedmioma pieczęciami... I widziałem anioła mocnego, wołającego głosem wielkim: kto jest godzien otworzyć te księgi? odpieczętować pieczęci ich?!“ Objawienie św. Jana, R. V, 1, 2), lub, jak podczas procesji Bożego Ciała trzymają ewangelję celebrującemu dwaj ministranci.

W niebie wiadomem jest wszystko, co się na ziemi stanie: jeżeli kto ma umrzeć, wtedy jeden z aniołów wymienia jego imię i nazwisko.

W obrazach tych stosunek człowieka do Boga jest patryarchalnym stosunkiem służby do pana i odwrotnie.

Dusza-służebnica (w „Błogosławionej“), otrzymawszy skrzydelka ptaszka, nad czoło mały, świecący krążek i jasną z niebieskich wstążek przepaskę, wchodzi do nieba, jak najmitka w progi życzliwych jej gospodarzy: nasamprzód pokłoni się, a potem ucałuje koniuszek sukni świętych patronek i pod ich opieką przechodzi niebieskimi przybytkami, spotykając co krok świętych, naturalnie tak, jak ich widziała na obrazach w kościele lub w domu, ze wszystkimi ich godłami, z aureolą ponad głową.

Odwrotnie: istoty, spotykane w niebie — chlebobawcy — wielce są dla niej życzliwe. Ledwie zdołała nadmienić coś

o sierocie, którą pozostawiła na świecie, a już zlecieli aniołowie na ziemię, jeden z rajskimi jabłuszkami do jej dziecka, drugi z kroplą wody krynicznej do czyśca, zwilżyć usta jej matki, trzeci nad rzekę do pasącego owce jej kuma, aby nauczyć go rozpoznawania różnych ziół, dla leczenia bliźnich, inny znowu spuszcza się do jej brata, aby mu dodać sił do zniesienia męczarni gdzieś na dalekiem, zapewne sybirskiem, wygnaniu.

W niebie tem, jak w kościele, dźwięk organów łączy się ze śpiewami ludu, rozbrzmiewają anielskie głosy i melodje, a pieśń, która się naokół rozlewa, to znane duszyczce z tamtego jeszcze świata pozdrowienie: „Zdrowaś Marjo! Zdrowaś Marjo Panno, Pan z Tobą!...” (NB. Nabożeństwo majowe).

W tym patryarchalnym stosunku Boga-gospodarza do człeka-służebnika leży podniesienie ciężkiej pracy chłopskiej na wyżyny przewspaniałej cnoty, godnej największej nagrody: w pobliżu Boga, którego jednak dusza z powodu wielkiej jasności widzieć nie może (pokora chłopca wobec „jasnego pana“), a tylko go czuje,

„Na wyrabianej srebrzystej tacy,
Leży kłos złoty rolnika pracy“, —

leży, obok innych cnót kardynalnych i ich godeł, obok „nawróconej lezki grzesznika“ (brylantowa gwiazda), obok „waleczności rycerskiej“ („puklerza-miesiąca“, który „zasłaniał biednych pasterzy i dla miłości żywego Boga bronił samego wroga od wroga“), obok „ciążącego jak młyński kamień ze złota“ grosza wdowiego, obok korony bożej „z okrutnych cierni“, ponad którą anieli niosą krzyż Pański,

„...co raniony ogarnia wieki,

Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może“.

Oglądanie tych niebiańskich symbolów, a raczej alegoryj, jest nagrodą za to, co ma być początkiem i końcem życia, za dobroć serca (prof. St. Tarnowski słusznie zauważa, że jedną z cech głównych Lenartowicza była „dobroć, przerażająca się nawet w miękkość zbyteczną“):

„Maleńkie serce jakby z koralu;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie
I ta, co ziemskie życie ozłaca
Nieustająca, spokojna praca“.

Dalszy ciąg związku nieba z ziemią i personifikacja sił przyrody tkwi w postaciach mitologii chrześcijańskiej.

Ta nieustająca praca kończy się dla człowieka dopiero w niebie: tutaj może on sobie, jeżeli chce, po rajskim biegać ogrodzie, albo wylegiwać pod złotą jabłonią, albo w srebrnej łodzi pływać po niebieskiem jeziorze, wybrawszy sobie wioślarzy do woli — o jasnych skrzydłach, różanej twarzy. Opatrzność boża sama słoneczny chleb dla człowieka piecze, a potrzeba mu sukni na przyodziewko, tak mu zaraz aniołowie srebrną albo złotą tkają lamę.

W niebie jest całe gospodarstwo, a poszczególne prace wykonują święci. Praca ta ukazuje się w skutkach swoich na ziemi.

Święta Urszula strzyże w niebie owieczki, które nad ziemią po firmamencie pasą się w kształcie obłoków. „A gdy na całej nieba przestrzeni w krąg się zaciemni i zazieleni“, święci ko-

sarze siekają kosami złotymi niebieskie siano. Kosa od czasu do czasu natrafia na kamień i wówczas na ziemi zjawia się błyskawica. A skoro posieką i sianem potrząsą, wówczas, jeżeli to jest rano, niebo nad ziemią błękitnieje, a jeśli wieczór, to gwiazdy zaświecają ogniste.

Po zakończeniu swej roboty święci zostawiają czasem swój sierp, który jest księżycem.

Gdy ziemię śnieg pokryje, wtedy na niebie święta Łucja dnia przysparza, aby ludziom było jaśniej, a gdy już tyle złotych rozrzuci promieni, że słońce w kościele pada na chrzcielnicę, zjawia się Agnieszka święta i na wywiady pierwszego na ziemię wypuszcza skowronka. Nie wróci on śpiewak wiosenny, to jest to hasłem dla innych ptasząt, że spadają gromadnie nad sioło, by zwiastować lato.

Święty Grzegorz rozkazuje złocistym swym pastorałem Wiśle, aby lody zrzuciła ze siebie, a święty Wit zbożom, aby się piętkowały. Milknie też na jego skinienie ptactwo śpiewające („Święty Wit słowik cyt“), natomiast w pełnym lecie szeleszczą dojrzałe owsy, brzęczą jęczmiony, grają komary i pszczoły.

Święty Wawrzyniec strąca dziewczętom orzechy z leszczyny, a święty Bartłomiej ostrzy w niebiesiech siekierę, a na znak ten padają po lesie drzewa stare, święci zaś Szymon i Juda sprowadzają na świat przymrozki i grudy. W ślad za nimi atoli spieszy święty Marcin na białym koniu i kawałami srebrnego płaszcza otula zziębniętą nędzę ludzką.

„Tak to po niebie praca wciąż snowa,
Jak z ust pocziwych serdeczne słowa“.

(„Święta Praca“).

Żyją więc święci i dusze zbawione, według relacji „Błogo-

sławionej“, tak samo podług kalendarza, jak dobrzy gospodarze na ziemi.

Szczęśliwy ten, kto się w tę górną dostanie krainę, natomiast gore duszom, które grzechy zawiodą do Czyśćca, a jeszcze straszniejsze, bo nieustające, męczarnie czekają tych, za którymi zawarły się bramy piekła.

W malowidle tych przybytków płaczu i niedoli zlewają się wyobrażenia gminne z reminiscencjami dantejskimi.

Czyściec to wielka pustka — jedna z pustyń dantejskich, — żadna nie wyrośnie trawka, gdzie ciągly jęczy wicher, od którego zimna biedne drżą dusze, krwawiąc sobie nogi po twardej grudzie. Do dusz tych schodzi czasem na ich prośby anioł boży z pociechą, z koroną Chrystusową, z której krople krwi spływają. Widok jednak tego symbolu męczeństwa w większe jeszcze wprawia skazańców cierpienia: jest to żal, że w doczesnej podróży swojej sprawiali występkami boleść Ukrzyżowanemu. Dusze doznają pewnej ulgi, odmawiając modlitwę: „Zdrowaś Marjo“, przenika je wtedy ciepły promyczek, łagodząc przejmujące zimno.

Ale jest to, na wzór kręgów Dantowych, jedna tylko stacja. W następnej, razem z „Zachwyconą“, widzimy stromą, ponurą skalę, a na niej rzędem siedzące dusze, spoglądające na puste żywota swego pole, po którym snują się występki przeciwko czystości i inne marne uciechy. Widok ich napętnia pokutujących uczuciem niesłychanego wstydu, zasłonić jednak oczu nie mogą, ponieważ ręce mają kryształowe.

Inne dusze wołały: „miłości ludzi i łaski nieba“, zaś inne, dzieci niechrzczone, domagały się jękiem chrztu dla zmazania pierwotnego grzechu. Z niemi najłatwiejsza jest sprawa: wiara ludu uczy, że upiory takie, zjawiające się w postaci skrzących nad drogami, wystarczy przeżegnać, a od razu przemieniają się w aniołki.

Uczyniła to i „Zachwycona“ i dzieci uleciały w prześlicznym obrazie do nieba:

„Prześliczne duszki, od puchu letsze,
Wzlatują w górę i nad mą głową
Wiszą plecionką złotą, różową,
Im wyżej lecą, tem nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze...
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków.
I lekką odzież barwy fijołków,
Wreszcie znikają, jak krople rosy
I nic już niema, tylko niebiosy“.

„Przez tych dzieci kryształne ciała“ zobaczyła „Zachwycona“ raz jeszcze niebo w czyścću — głęboko odczuta, a prostą przenośnią uwydatniona myśl o wielkości „maluczkich“ — i potem po drodze przez „jakieś zgnile, cuchnące łąki“, po liljach białych, które pięknie wprawdzie wyrosły, ale w których kielichy „Szatan nalał swej trucizny“, przeszła do Piekła, gdzie znowu reminiscencje z „Boskiej Komedji“, silniejsze, niż w obrazach Czyścća, łączą się z naiwną wiarą ludu.

Na wstępie przywitała „Zachwyconą“ jakaś rodzina, przedstawiająca obłudę: członkowie jej płakali razem, okazowali wzajemnie współczucie swej nędzy, a jedni drugich kłuli pod serce. Tak, jak ludzie, na stacji tej piekielnej wszystko jest kłamliwe: zwiedzająca wyciągnęła rękę po kwiat złocisty, który rósł u jej stopy, ale kwiat ten podniósł, jak żmija, łeb do góry i zaczął syczeć...

Szatan dwojaką ma postać: czasem, jak ów czarny duch, a czasem jak anioł; raz ma obrzydliwy lot nietoperza i cały świat ogarnia, niby siecią pajęczą, swem piekielnem tchnie-

niem, a innym znowu razem, jakby „okryty zorzą, udaje mądrość i piękność bożą“ („Lucyfer“).

Ale po tych alegorjach chrześcijańsko-dantejskich następują obrazy, żyjące w pieśniach i podaniach ludu. Zaśmiało się raz piekło, gdy „pani zabiła pana i w ogródku go schowała“, innym razem, gdy śpiewanie zgłuchło w kościółku, a po raz trzeci, gdy w sercach ludzi zagasła miłość ku ziemi.

I dalej widzimy na madejowym łożu ryżobrodego zdrajcę (analogon ryżego Judasza jako symbolu zdrady), oblanego wodą śmiertelną, opasanego węzem o zlocistym ogonie (zapewne aluzja do złota, które wziął zdrajca nad zdrajcami, Iskarjota). Z pod tego łoża dobywają się płomienne języki, wielkie jak drzewa, a pod nimi siedzą ci którzy zatruli młode, niewinne życie; obok nich twarze ludzi fałszywych, oszczerce ze spiekłami, po pas wiszącymi językami, które „drgają węzowem, czarnem żądłem“ (znowu alegorje dantejskie).

Evangeliczna dobroć poety napiętnowała zdradę, rzuciła ją na łoże madejowe, zlitowała się zaś nad samym zdrajcą, Judaszem, który u Danta znosi katusze w ostatnim kręgu Piekła, w jednej z trzech paszcz Lucyfera, na którego jednak u Lenartowicza spojrział Chrystus wzrokiem bolesnym; Chrystus, co piekło zwyciężył cierpieniem, żadnych nie zadał mu męczarni, tylko na pamięć zbrodni (zbrodnia jest złem absolutnem, zbrodniarzom, jako ludziom z natury ułomnym, przebaczyć należy) pozostawił mu worek złota, zrośnięty z ręką...

We wszystkich sielsko-religijnych obrazkach Lenartowicza wybitne zajmuje miejsce — nie dekoracyjne, lecz istotne — kult Panny Marji.

Poza poezją swoją Lenartowicz kult ten pojmował głęboko, abstrakcyjnie, niezależnie od zwykłych przemijających koniunktur życiowych. Jako symbol nieskalanego piękna i har-

monji niebios przeczuwali ją starożytni filozofowie greccy: Pytagoras, Hipparch, Filolaos, Arystarch z Samos, oddając jej cześć w postaci „Veneris Uraniae“, będącej odpowiednikiem chrześcijańskiej „Gwiazdy porannej“ — „Stellae matutinae“, a czcili dlatego, ponieważ, jak mówi Goethe — „w najtajniejszej głębi dusz naszych przebywa pragnienie i żądza ofiarowania się dobrowolnego i z wdzięczności niejako parte natury naszej uczucie, tak, że nawet najupartsi sceptycy składają hołd Przyrodzie, zwąc ją matki imieniem“. „Stąd dla duszy chrześcijaństwa — mówi Lenartowicz — słodka a nieodzowna konieczność wysokiej czci dla Matki Chrystusa, początku duchowej generacji życia“. Przejęty boskiem uczuciem tem Dante składa jej hołd rzewny a wielki, przedstawiając ją w swym „Raju“ w kształcie róży mistycznej, świecącej wszelkimi cnót i zasług wdziękami, promiennej niewymowną, idealną chwałą.

„Goethe widzi ją w metamorfozie swej „Fausta“, gdy piękna Margareta wznosi się na wysokościach ku Marji, Matce Chrystusa. Pytagoras przeczuwa i czci ją pod imieniem „Venus Urania“, ponieważ bez tego wieczystego ideału niewiasty żadna idea nie może przybrać odpowiednich kształtów ni harmonizować z treścią wypadków“.

Tak pojmował Lenartowicz „Bogarodnicę Dziewicę“, jako, że tak powiem, człowiek prywatny; w wierszach jednak swoich, z chwilą, kiedy nadawał jej kształt plastyczny w sielance „Najświętsza Marja Panna Studzieniecka“, albo nawet w „Hymnie“, rozpoczynającym się od metafizycznego tłumaczenia genesis Marji Panny:

„Na początku było Słowo,
A Słowo idące od Boga,
W czystość ciała liljową,

Przyjęła Panna uboga
Przez Świętego Ducha wiew..."

tak samo tam, gdzie ją podnosi do symbolu cierpienia („Stabat Mater“), pojęcie metafizyczne, pytagorejskie, czy kopernikowskie

(„Felix ante sacras una puellulas
O aurora serenum
Velox luciferum vehe!
Virgo summa Maria,
Qua flavam religet comam“)

kostnieje, przybiera realne kształty istoty fizycznej. Bogarodzica zmienia się w dobrą Panią, w Jalmużnicę, w Pocięszycielkę i Lekarke, usuwającą niedolę ludzką, gaszącą pożary, uzdrawiającą ślepców i chromych, strzegącą dobytku ludu przed wylewem rzek; roztacza opiekę swoją nad całą ziemią, przybiera emblematy państwowe, staje się władczynią narodu, której hołdy składają i lud i rycerstwo („Zachwycenie“, „Najświętsza Marja Panna Studzieniecka“). Staje się pośredniczką pomiędzy niebem a ziemią, modlącą się do Syna swego za grzesznymi („Salve Regina“), staje się czynnikiem, który ma człowiekowi ułatwić konanie, zgasić w nim żal za słońcem, powietrzem i obłokami doczesnego życia („Stabat Mater“), a niepokalane jej poczęcie i wielka jej zbożność mają być źródłem przebaczenia winy Polsce i w chwilach zawieruchy, w chwilach nawałnicy nieszczęść stać się źródłem światła, w którym ma promieniować kościół („Hymn do Matki Boskiej“).

V.

Najmniej pociągający w każdej poezji pierwiastek, polityczny czy społeczny, prawie zawsze powodujący za sobą tendencyjność, nie razi w utworach Lenartowicza, ponieważ nie ma charakteru stroonniczego mędrkowania, ale integralnie związany jest z uczuciem.

Twórczość poetycka nie wyklucza żadnego tematu — kwestje polityczne i społeczne, wielkie odkrycia naukowe mogą być tak samo uwzględnione, jak n. p. miłość, idzie tylko o to, ażeby, nim się oczom naszym objawią w kształcie artystycznym, przeszły przez filtr uczucia. Wówczas też będzie nam obojętne, czy hasła, zasady i myśli, głoszone przez poetę, są utarte lub świeże.

Prof. Tarnowski może ma i słuszność, twierdząc, że myślowa strona poezji lenartowiczowskiej, o ile ujawnia się w hasłach politycznych i społecznych, nie ma cechy nowości; że patriotyzm i demokratyzm twórcy „Bitwy Racławickiej“, apologety „Borelowskiego“, „Blankenheima“, „Frankowskiego“ i in., wspólny był szerokim warstwom społeczeństwa, a wypowiedzany i krzewiony daleko silniej, daleko jaśniej i dobitniej przez innych, dziennikarzy, mowców, polityków, agitatorów społecznych.

Mimo to jednak tej strony twórczości Lenartowicza pomijać nie można, gdyż była ona integralną częstką jego serca, stała się w poezji jego wyrazem uczuciowym.

Miłość ziemi rodzinnej i miłość ludu oto sedno polityczności i społecznikowstwa naszego poety. Miłość ta wytwarzała w nim pojęcia, które nie różniły się od charakteru, znamionującego wielką poezję Mickiewicza, były tylko w inną, słabszą ujęte formę, choć i Lenartowicz zdobywał się na zapał i siłę niezwykłą.

Pomimo spokoju, jakim wogóle oddycha pieśń „mazowieckiego lirnika“, wychyla się z niej duch przedewszystkiem rewolucyjny, do paktowania z wrogiem nieskory, widzący czynniki zbawcze nie w zohydzanym przez Mickiewicza rozsądku dyplomatycznym (który „nie jest trybunałem na sądzenie spraw, dotyczących się wieków i pokoleń, który jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego“), lecz w bezgranicznym, bezwzględnym, nie oglądającym się na doraźne korzyści czy niekorzyści, poświęceniu.

Jeszcze w r. 1850, kiedy wychodźców naklaniano do proszenia cara o amnestję, wydobyl Lenartowicz z lutni swej ton („Wygnańce narodu do“), nie mający w sobie nic a nic z owego idyllicznego poszumu zbóż i lasów mazowieckich, ale będący raczej szczękiem kajdan, któremi potrząsa dumny, nieugięty niewolnik, świadom, że go w nie zakuła ręka niesprawiedliwości, nikczemna i podła, ale licząca się z końcem panowania swego, licząca się zaś z tego powodu, ponieważ sama wie, że złe, dlatego właśnie, że jest złem, zginąć musi.

W głębokim micie Zend-Avasti zwycięstwo Ahrimanowe jest tylko czasowem: Bóg słońca, pan wszelkiego dobra, Ahuramazda, otoczony chórem bojowników swoich, amszas-pantów, duchów światłości i odradzającego się życia, zatoczy w państwie mroków błyskawiczne swe koła i nad jestestwami zawładnie na wieki.

W tem też właśnie przekonaniu odezwał się wówczas Lenartowicz imieniem wygnańców polskich do narodu, wołając, że „jeszcze nie umarła“, że tułacze, wierząc w to, wytrwają w trudzie ojczystym i, wierni hasłu swojemu, przed wrogiem karku nie zegną, choćby ich „odepchnęły ludy znikczemnione“, a choćby nawet własni bracia za upór ten miotali na nich przekleństwa. Car niech sobie zniewala samychże nawet Polaków,

niech sobie zhołduje świat, niech na śmierć zgębi ojczyznę,
ludzie, wierzący w jej zmartwychwstanie, choć na nich plwać
będą, choć ich włóczyć będą przed „tyrany przedajne“, z tę-
sknym uśmiechem wypiją gorycze, a z czoła chrztu polskości
zetrzeć sobie nie pozwolą.

Wiedzą oni, że „umarł, kto się śmierci boi“ i że przeklęty
będzie ten,

„Kto łamie pałasz, kto opuszcza braci,
Kto się ubogiej swej matki zapiera,
Kto krwią ojczyźnie długu nie wypłaci,
Taki, słuchajcie! na wieki umiera“.

Nie moją rzeczą wchodzić, czy Lenartowicza wiersz był
„rozumny“, stwierdzam tylko, że jest w nim silny pier-
wiastek liryczny.

I po roku 1863 duch poety nie stracił płomienności uczucia;
i wówczas z duszy jego popłynęły słowa, pełne żalu i gniewu,
i wówczas tonem Jezajaszowym błogosławił umarłym, ubo-
lewał nad upadkiem ducha, wypowiadał nadzieję.

Wierzył, że na gnębicielei ojczyzny przyjdzie pomsta boża,
a wierze tej silny daje wyraz w poemacie „Petersburg w o-
gniū“.

„Jest jakaś ręka niewidzialna w wietrze, co nie ustawa,
dopokąd nie zetrze, cokolwiek przeciw prawdzie wznosi
czoło“ — rozpoczyna poeta swoje proroctwa. Ta ręka nie-
widzialna, ta siła sprawiedliwości, drzemiącej w obrębie
wszechświata, przenikająca jego atomy, podłożyła głównie
pod stolicę nadnewską, co „się wylęła jak zmija z błota“, i to

„Miasto przepychu, zgrozy, zbytków, złota,
Naśladujące Sodomę, Niniwę

I inne, które pożarł ogień boży,
To miasto więźni, miasto bachanalij,
Gdzie zbytek szalał Babilonu gorzej —
Słuchajcie! straszne to miasto się pali...”

I płomienne palce tej ręki straszliwej rozszałały się coraz to bardziej, ściskając się zarówno nad pałacami, jak i nad głowami motłochu. Tworzyły się bramy ognia, w kanały przecinające miasto, spadały konie i wozy, uciekające przed tym okropnym pożarem. Na Newie zaczęły płonąć zagłę okrętów, jak białe skrzydła olbrzymich ptaków, i odpadały w wodę spopielone. Słyszeć było naokół ryk i huk dzwonów. A wśród tego widywano przelatujące wojsko niewolników. Duch poety, „napiwszy się własnych łez słonych“, wił się, jak salamandra w łodzi po wzburzonej rzece, a przed oczami jego upadały w proch głowy starców siwobrodych, którzy obrazami świętych usiłowali od domów swoich odwrócić pożogę.

Około pomnika Piotra Wielkiego stanął car przerażony, nie wiedząc, dokąd się zwrócić, a przy nim symbol rewolucji społecznej, po wiekach zbudzony duch Spartaka przypartywał się spokojnie temu zniszczeniu, swobodnie oddychając w płomieniach. Pierś jego szeroka nie zna litości, a z oczu i uśmiechu śmierć mu wygląda. Duch ten

„W rękach kajdany trzymał jakby węzły,
Które mu w ciało do kości uwięzły.

.

Nozdrzami wciągał dym, jak powiew wonny
Gdy w dali ogniem czerwieniała woda,
Patrząc na cara, to na posąg konny,
Jakby urągał im słowem: „swoboda!”

Po tym groźnym obrazie przesunęły się przed oczami pieśniarza cienie polskie, podobne do złotych posągów, w dziwnie anielską odziane tęsknotę, roztopiając się w tem niebie „gniewnem, aż car przerażony począł ocierać by łzy krwawe z oczu“. Znikło i to widmo, pozostał tylko posąg Piotra, „co tak z bronzu świecił, jak gdyby konny szatan w ogniu leciał“.

Próżno wrzeszczano o ratunek od Moskwy — i ta stolica Iwana Groźnego od dwóch dni w płomieniach, a z nią kraj cały :

„Pożar na polu zboża, lasy kosi. —
Miasta i wioski płoną jak pochodnie,
Które zapala straszna pomsta nieba,
Ta zemsta boża, która ściga zbrodnie...“

Wierzył Lenartowicz w pomstę bożą, wierzył, że z tego „pożaru“ wyjdzie Polska odrodzona, a wyjdzie dlatego, ponieważ ma lud, którego bohaterstwu wystawił pomnik w „Bibliotece raclawickiej“.

Ta polityka uczucia, każąca mu przez usta „św. Franciszka z Paulo“ gromić królów za „krzywdzenie ludzi“, polityka, zlorzecząca despotom, kazała mu wierzyć w braterstwo ludów, a zwłaszcza w pojednanie narodów słowiańskich, których rozterki dawno powinny były zatonać w krwi, wylanej przez Polaków.

Słowiańszczyzna jest jak święte jej drzewo, jak lipa, której korę Niemiec obdziera, rąbie Wareg, a która jednak jest silną i każdego lata okrywa się kwiatem. Słowianie prze-trwali długie burze dziejowe : Polska stoi schylona nad grobem, mogiły sterczą na Polu Kosowem, w Czechach światosławnych, w wielkiej Morawie płynęła krew obfita, Pomorze Niemiec zmienił w swe warstaty — i czyżby już nic nie miało stać się

z tej lipy słowiańskiej, jak tylko krzyż i obcy warstat na naszej grzędzie? („Na lipę słowiańską“).

Nie! przyjdzie czas, że po świecie „zagędzie stara gęśl“, z lipy tej zrobiona, i że „świat się podziwi słowiańskiej kółdzie“.

Przyjdzie czas, że znowu nas wszystkich powiąże

„Ten, co ziemię Sławy
Powiązał wstęgami Dniepru i Mołdawy.
Górami ogrodził od dalekich światów,
Grzbietami Kerkonosz, śnieżystych Karpatów,
I ta myśl szczęśliwa, co z nieba przybywa,
Jak wietrzyk chwalony w upalone żniwa“.

Przyjdzie czas, że „bracia Czechowie, Serbowie, Rusacy, Morawcy i bracia od Bośni radośnie ku sobie poskoczą i do wspólnego zasiądą wiecu“. („Do braci rodu słowiańskiego“).

Idealizm i optymizm sielanek jest także zasadniczą cechą pieśni politycznych Lenartowicza.

Nie obdarzony zbyt górną, zbyt rozlewną, zbyt płomienną wyobraźnią, Lenartowicz brak ten okupywał szczerością uczucia.

SPIS RZECZY

Str.

O MICKIEWICZU

I. Pojęcia społeczno-polityczne Mickiewicza pd. „Kurjer Lwowski“ Nr. 183, 1890 r.	7
II. Pod znakiem Mickiewicza pd. „Kurjer Lwowski“ Nr. 1, 1898 r.	20
III. Przed pomnikiem Mickiewicza pd. „Słowo Polskie“ Nr. 510, 1904 r.	26

O T. LENARTOWICZU.

I. Fragment broszury Lirnik Mazowiecki z 1893 r. (Lwów, Nakł. Tow. im. Staszica)	35
II. Wieś mazowiecka a poezja Lenartowicza „Kurjer Lwowski“ Nr. 24, 1893 r.	76
III. Liryka T. Lenartowicza pd. „Pamiętnik literacki“ 1905 r.	81

1942
1943
1944

1942 INDEX

1942

1942 INDEX

- I. 1942 INDEX
- II. 1942 INDEX
- III. 1942 INDEX
- IV. 1942 INDEX
- V. 1942 INDEX

1942 INDEX

- I. 1942 INDEX
- II. 1942 INDEX
- III. 1942 INDEX
- IV. 1942 INDEX
- V. 1942 INDEX

Wydanie I. 1937
w Krakowie

DZIEŁA JANA KASPROWICZA

XX.

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM XX

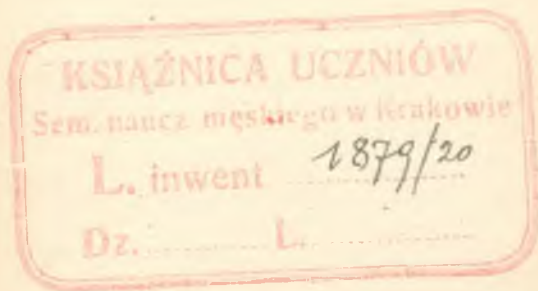
WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1930

JAN KASPROWICZ

PISMA PROZA

II

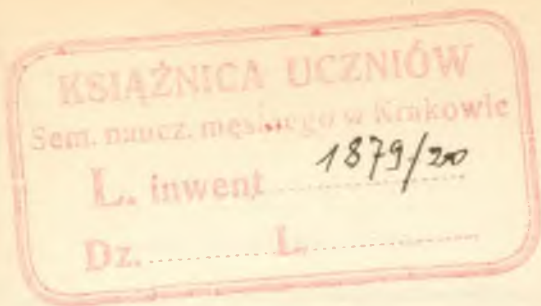


KRAKÓW

1930

1912

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE



O ASNYKU

I. EL... Y.

(Odczyt na wieczorku Asnyka).

Przypadł mi dzisiaj zaszczytny obowiązek w udziale, obowiązek złożenia hołdu pieśniarzowi, którego wielkie zasługi na polu poezji naszej same przez się takim są dlań hołdem, że go żadne słowo, choćby najgorętszych wielbicieli, zastąpić ani uzupełnić nie może.

Jeżeli jednak przemawiam dzisiaj, to w uroczystej chwili tej powoduje mną chęć przypomnienia najgłówniejszych pierwiastków Asnykowskiej liryki, które niewątpliwie znane są szanownym słuchaczom, ale które zwykłym porządkiem rzeczy chowają się w wirze zajęć i trosk codziennych na głęb duszy i osłonięte szarą mgłą powszedniego życia, zewnętrznych dopiero wymagają bodźców, aby stanąć przed nami w całym swym blasku, aby promienieć właściwą im tęczową barwnością.

Można bez obawy spotkania się z zaprzeczeniem twierdzić, że cała młodsza generacja ludzi wykształconych wsłuchiwała się i wsłuchuje w dźwięki pieśni, przypominających strofy prowansalskich truwerów, pieśni — jeżeli je przeniesiemy w sferę porównania z dziedziny sztuki plastycznej — posiadających linje Psychy, wyszłej z pod dłuta Praksytelesowego, pieśni, odurzających wonią jaśminu i konwalji, czarujących kwieciem wodnych lilij i róż białych.

A chociaż dusza tych tonów, wychodząc z koła melancholijnej zadumy, przybierała czasem postać szydery, uraga-

jącego publiczności, że z rąk jej wypadł sztandar wielki, że w sercu jej zagasł płomień, który stwarzał bohaterów i męczenników, że znamionami jej dzisiejszemi to niedowiarstwo i hipokryzja, tchórzliwość wobec budzących się haseł nowych, chłód lub mdły sentymentalizm na miejscu dawnego uczucia — chociaż dusza ta, upozowawszy się na chmurny posąg wieszczą, stojącego „z węzowemi różgami Eumenid“ w ręku przy grobie Agamemnowym, gromiła „gotowy paść liktorom w ramiona“ „blady cień Baru“, to publiczność, a przynajmniej oświecona jej część, przekonawszy się, że natchnień nowego poety nie można mierzyć zwyczajną rymopisów miarą, uchyliła przed nim czoła; to „Arystodemów wdowa żałobna“ zaliczyła go do najlepszych swych synów, do chlub i chwał swoich.

A zaliczyła go nie dla tego, że do poezji naszej, wspinającej się pod technieniem genjuszu wielkich mistrzów romanetyki na szczyty zawrotnie wysokie i stamtąd rozbrzmiewającej potęgą, zdolną rozsadzić nie łona ludzkie, lecz piersi tytanów, wprowadził nowe pierwiastki w postaci — jak mówi jeden z krytyków — „uczuć wiotkich, delikatnych, a kruchych“.

Nie dla tego, że obdarzony nadzwyczaj subtelnym, prawie wyrafinowanym zmysłem artystycznym, doprowadził formę wiersza do niebywalej przedtem kunsztowności, choć miał pod tym względem takich poprzedników jak Słowacki i Żaleski. Nie dla tego, że wrażliwa, a wiewna, promiennością przepojona jego dusza umiała, zboczywszy na chwilę do eleganckiego buduaru, ulatać na pola nasze, pomiędzy dzwonki i bławaty, niezabudki i fiołki, wsłuchiwać się w szmer wody, huczącej po kamieniach, błądzić wśród ozłoconych szczytów tatrzańskich, padać w ascetycznem uniesieniu pod stopy krzyża, lub pod odłamkami rzeźb greckich snuć marzenia

o miłości, mającej nową zwiastować wiosnę ziemi, „skażonej gniciem grobowym“. Nie dla tego że potrafiła się nurzać w mgławicach kosmicznych, jak blask słoneczny unosić się nad ciemnymi głębiami, wyprowadzać z nich wątek najzawilszych zagadnień i rozjaśniać je światłem swoim. Nie dla tego, że te wszystkie tak różnorodne akordy łączyła w dziwnie rozrzuconą melodję, podobną do szelestu wierzby, płaczącej na pustkowiu, do śpiewu czarnych świerków, które duszę tę, odpoczywającą na mchach jedwabnych do snu kołysały, w muzykę harmonijną, jak szmer siklawy, jak szum bająńskiej zatoki, a tylko czasem przerywaną zgrzytliwą kłatwą, z szkła wypełnionego falernem, tryskającą, lub rozpaczliwym wybuchem nowych boleści spragnionego Tantala.

Do chlub i chwał swoich zaliczyła go dla tego, że jakkolwiek w twórczości poety był okres, w którym dusza jego skarżyła się na własne z czysto egotycznych, niejednokrotnie dość małych źródeł wypływające bole, to przecież niebawem otrząsła się z tego zakochania się w sobie i mając niejako przyrodzoną skłonność do refleksji, jęła wchłaniać pierwiastki, stanowiące istotę najszlachetniejszych dążeń i pragnień ludzkości, zastanawiać się nad niemi i wcielać je w kształty swej spokojnej, a głębokiej, pomimo tu i ówdzie widocznych wahań, stanowczej wyobraźni.

Zaliczyła go przedewszystkiem z tej dla nas i dla naszej poezji tak doniosłej przyczyny, że dusza jego wychowana w tradycjach Adamów, Juljuszów i Zygmunów, rozwijająca pierwsze swe pączki w chwili, kiedy społeczeństwo na zew, zerwawszy się znowu do bohaterskiego lotu, spadło w kałużę krwi własnej i na podstawie naturalnego prawa ekscytacji i depresji poczęło nasamprzód tracić wiarę w możliwość dźwignięcia się z upadku, a potem, ochłonawszy z przestachu, szukać nowych dróg odrodzenia — że więc dusza jego do

pierwotnych. młodzieńczych wróciła natchnień i przesłuchując się pulsom narodu, odtwarzała jego rozpacz i jego nadzieje.

Zaliczyła go dlatego, że równocześnie dusza ta wskazywała narodowi i środki, których jąć się należy, ażeby z „bladego cienia Baru“ stać się potęgą „sen Grachów w czyn zamieniającą“, ażeby mianowicie odpowiedni zapewnić udział w życiu społecznem temu „najmłodszemu w siermiędze“, co idąc razem z dwoma innymi braćmi na górę z kryształu, by „z rąk czarodzieja złego „uśpione wyrwać bóstwo, nie zginie w płomieniach jak tancer, nie padnie zwyciężony, lecz „oprze się pokus i czarów potędze i pnąc się zwolna, mimo strażę gniewne z snu zakłętego obudzi królową“.

Ten przykład Asnyka który w rzeźbiony ręką Celliniego złocisty puchar formy poetyckiej umiał wlewać myśli i uczucia, nie z egotycznych zrodzone podnieceń, ale będące iskrami czy to wielkiego ogniska ludzkości, czy też odbiciem życiowych blasków rodzinnego społeczeństwa, ma wielkie znaczenie zwłaszcza w naszych czasach, gdzie źle zrozumiane hasło „sztuka dla sztuki“ stwarza kokieteryjnie zapatrzonych w siebie narcyzów poezji, Endymionów, „leczących w zachwyty nieskończoność“, których treścią nie jest życie z jego rozkoszami i bólem, z jego pragnieniami i przebojem, tylko widmo „rzuconej w błękity bladej Seleny“. A widmo to, choć kochanka swego „nową co noc odświeża młodością“, nie umie w młodość tę wlać siły czuwania, tylko mami pozorem życia, bo w wiecznie uśpionym haszyszowe jedynie, nieuchwytnie, mgławie rozbudza marzenia.

Że i El...y przebywał okres takiego Endymionizmu, że i on tęsknił za pocałunkiem księżycowej fantasmagorji, „któryby mu czas zamknął“, czas promieniami dnia oświeconej pracy na zachwaszczonym zagonie społecznego bytu, a uniósł go na skrzydłach rojeń w sferę, z realnemi warunkami życia

nic nie mającą wspólnego, że i El...y fazę tę przechodził, nie jest to dowodem, ażeby leżała słuszność w odrywaniu poezji od zadań, wyposażonych w krew i kości ludzkie.

Po krótkim zboczeniu z drogi, którą najwięksi kroczyli mistrze, na której Dante i Szekspir, i Byron i Shelley i Goethe i Mickiewicz i Słowacki i Krasiński zbierali materiał dla wzniesienia sobie wspaniałego w przyszłości pomnika, przyszedł Asnyk do przekonania, że poeta nie tylko ma prawo być obywatелеm czy ludzkością czy swego kraju, ale że jest to pierwszym jego obowiązkiem i że tylko te wytwory jego ducha posiadać będą moc trwania, w których odzwierciadlają się myśli i uczucia ogółu, a jego własne cierpienia i nadzieje o tyle, o ile spowodowane są cierpieniami i nadziejami społeczeństwa.

Przyszedł do przekonania, że wprowadzając do poezji swojej te powszechnem szczęściem promienne, lub powszechną boleścią spochmurniałe żywioły, ujmij jej nie czyni, lecz owszem wiecie ją z ładnego może, ale od perfum dusznego buduaru, w miejsce dla niej właściwsze, bo pod sklepienia przestronnej, na potężnych kolumnach opartej świątyni, w której uroczysta, podnosząca serca, krzepiąca ducha panuje atmosfera.

Przyszedł do przekonania, że choć myśl społeczna czy filozoficzna może ciężkością swoją obarczyć lotne skrzydła liryki, może przeszkodzić jej w takim rozplynięciu się w mgły rozmarzenia, iż przed ludzkim okiem zginie wyrazistość jej kształtów, to przecież „nad cichą serca spowiedź“ trwałszemi będą wyrazy o tym Heraklesie, który „będzie zwycięzcą i przy gromów błysku Prometeusza z więzów oswobodzi“, bo tamte pisane są na listku róży, wędnącym już przy zerwaniu, a te ryte są w spiżu.

Przyszedł do przekonania, że nad owe dźwięki canzonetty, wzywającej znużonego wędrowca, ażeby zapomniał o mitrach

dawno zwiędłych i w cieniu krzewów, pod innemi wyrosłych niebiosami do spokojnego snu się ułożył, donioślejszym choć tak strasznym jest ów okrzyk:

„Wróćcie mi zatem, nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynyj złowrogi
I niezgaszone pragnień pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi — lecz niechaj wybucha!“

Donioślejszy, bo łagodna melodia canzonetty urodziła się z nadmogilnych majaków, a rozpaczny dysonans Tantala powstał jak wiew burzliwy z wiecznie niesytej, do świeżych zamarłością życia wstrząsnąć mających czynów rozręsknionej siły!

Przyszedeł do przekonania, że owe błogosławieństwa, zlewające się na tych, którym otworzą się oczy, „pełne blasku i pieśnyczoty“, że owe zazdrośczenie kwiatom, iż mogą „składać życzeń utajonych wiele“ i śnić o szczęściu, „zanim z tęsknoty uwiądną serdecznej“, że zakochanych z liljami wodnemi rozhowory, owe, smutne nawoływania „Gdzie ona?“ — że wszystkie te głosy i półgłosy marzącego serca niczem są wobec śpiewu o tej myśli, której „ani miecz, ani ogień nie zdoła powstrzymać w biegu“, o tym „płomieniu prawdy“, o tej „wiedzy jasnej pochodni“, której szukać, którą nieść każe młodym, o tym ludzie wreszcie, na którego zdrowie wznosi kielich, napelniony najwybrańszem winem swych uczuć.

Tamte mają woń fiołków, a te żywiczny zapach limb, wyrosłych na dumnych, niebosięgłych graniach; tamte mają dźwięki roztkliwionej fujarki, na której w noc lipcową przy

księżycu blasku wygrywa samotny pasterz w ogrodach Delilla, a te brzmią prawie że potężnym Kłangorem surm wojennych, pobudzających miliony krwistych, życia pełnych rycerzy do walki o najdroższe dobra ludzkości.

II.

Ale wychodząc poza granice tej *evolution du moi*, która w Mussecie i Heinem tak świetnych znalazła wyznawców, czyż poeta pozbył się na zawsze w lirycie swej duszy tych drgań własnego „ja“ na widok zwykłych dotkliwości życiowych, dających się temu „ja“ we znaki? — Nie mówię o jasnych stronach tej doli powszedniej, bo ta mało bardzo miejsca zajmuje w przepelnionej skargą i żalem pieśni Asnykowskiej. —

Nie!... „Odrzącił od siebie daleko samolubną boleść,“ a natomiast „wszystkie nędzy ludzkie i rozpacz“ zamknął w swem sercu i im poświęcił tony swej lutni, mimo to jednak osobisty motyw wraca od czasu do czasu w jego lirycznych wylewach, a wraca nieraz z taką siłą, że poeta upada „zmęczony na ziemię, odkrywając rany, które krył“. Motyw ten wraca atoli czystszy, powiedziałbym — szerszy, aniżeli to było w utworach z epoki, w której El...y, zacząwszy sceptycznie spoglądać na wielkie wysiłki świata, prawie się dostrajał do wymagań płytkiej, żadnych gwałtowniejszych wstrząśnień nie znoszącej publiczności.

To dostrajanie się zjednało mu też liczne koło czytelników, a jeszcze liczniejsze grono czytelniczek, uczyniło imię jego popularnem i dziś jeszcze — śmiało twierdzić można — przeważna ich część bardziej jest obeznana z jego ulotnymi, zachwyty i cierpienia miłośne opiewającami lub — co prawda, w sposób bardzo wdzięczny — przedrzeźniającami wierszy-

kami, aniżeli z temi imponująco głębokimi utworami o zakroju filozoficznym czy narodowo-społecznym, których pozazdrościć nam może każde piśmiennictwo, a które są istotną treścią wielkich zasług Asnyka, istotną przyczyną, że imię jego błyszczeć będzie obok najświetniejszych gwiazd na horyzoncie umysłowości naszej.

W egotycznych wylewach muzy El...y'ego pierwsze miejsce — pod względem liczby poświęconych jej utworów — należy się miłości. A jakąż jest ta miłość, ta, jak mówi któryś z poetów, największa potęga na świecie?

Przedewszystkiem nie jest ona u El...y'ego potęgą.

Niema w niej tego ogromu uszlachetniającej siły, która sprawiła, że Dante, w mistycznej ekstazie podniósłszy Beatrixę swoją do wyżyn wspaniałego pojęcia etycznego, nadał jej charakter symbolu nadziemskiej świętości, mającej prawo spoglądać w jasność bożą na równi z aniołami i Marją.

Niema w niej, rzekłbym, tej dziwnie przejmującej, Dante'mu podobnej pobożności uczucia, która idealnem technieniem wypełnia głębię nieskomplikowanych pieśni Zygmunta Krasińskiego. Nie ma tęsknoty za tym aniołem, któryby mu „czasem zaśpiewał o kochance“, coby „stojąc na grobie jego pogrzebanych snów, rzucił schyloną pochodnią swoją kilka iskier na przyszłości fale i blaskiem chwały ozłocił jego żale“.

Niema w niej nareszcie tego pierwiastka naiwno-szczerej zmysłowości, spotykanej w niektórych sonetach Mickiewicza.

Pomimo pozorów bólu z powodu utraconej kochanki, rozsiąanych w ślicznych pod względem kunsztu pisarskiego poematyczkach, miłość ta sprawia przeważnie wrażenie, jakby graniczyła nieomal z flirtem. Zmysłowość tych cacek nie wypływa z głębi istotnego uczucia; miłość ta nie jest pragnieniem, które dwoje ludzi łączy na śmierć lub życie nie dla pieszczot, ale dla wspólnego dążenia do idealniejszych celów bytu, jak

to widzimy choćby u Shelley'a. Jest to bawienie się namiętnością, posiadającą nawet pewien odcień lubieżności.

Pod oknem kochanki wyrasta krzak róży i przeszkadza poecie zaglądać — do buduaru zapewne, a tylko drażni jego ciekawość i pobudza wyobraźnię. Kwiecie róży przypomina mu karminowe usteczka ukochanej, a właściwie pożądaney. A gdy księżyc oświeci srebrem listki krzaku, to zdaje się „marzycielowi“, jakgdyby widział senne lica swej damy. I oto powstaje w nim chęć całowania jej „włosów jedwabnych“ chęć zdeptania tej róży. Ale jak dobrze wychowanego, uczucia swoje na wodzy trzymającego salonowca, od tej ryzykownej imprezy powstrzymuje go obawa, ażeby przypadkiem Dulcinea śmiałości takiej za złe mu nie wzięła.

Przypominam treść wierszyka, ponieważ oddaje znakomicie charakter erotyków Asnykowskich.

Pomimo zapewnień poety, że „Eros zawstydzi się błądy przed jego pragnień pożarem“, pomimo twierdzeń, wypowiedzianych w myśl Anakreonta, że w pocałunku „roztopi ducha dzielność“, pomimo rady, udzielonej młodzieńcowi, ażeby „zamiast w mglistych czystych snów przeźroczu kąpać duszę bogobojnie“ starał się o względy dziewczyny, śmiało patrzył jej w oczy, ścisnął jej dłoń i całował jej usta, nie podobna w miłości tej dopatrzyć się czegoś więcej ponad konwencjonalizm zmysłowy, nie podobna przyznać jej mocy elementarnego wybuchu.

Zamiast dyszeć uczuciem, jest ona przeważnie czułościową: nachyla się w księżycowym nastroju nad liljami wodnemi, zrywa gałązki jaśminu; oplakując rozłączenie, staje nad trumną dziewicy z słowami sentymentalnego filozofowania.

Jest naiwną, ale naiwność jej nie posiada również tak wybitnych cech pierwotności, jak u Lenartowicza, a nawet Za-

leskiego. Do naiwności tej przyplątuje się zbyt wyszukany, zbyt „poetycki” sposób myślenia, jak choćby w ślicznej zresztą „Przebudzonej”, która pragnie „słodko marzyć, patrząc się w oczy”, ale równocześnie chciałaby „całą jasność i piękność ziemi zabrać na własność sercami swemi i skryć w błękitie wszystko radosne”.

A już przestaje być naiwnością tam, gdzie poza niewinnymi słówkami kryją się przeblyski zwyczajnego pożądania — jak chociażby w owej „Róży”.

Miłość więc w lirykach El...y’ego, choć stworzyła kilka jak „chóry anielskie” cudownych dźwięków, kilka, jak „tęsknota”, melancholijnych powiewów, choć na odmalowanie zmysłowego uroku swego znalazła tyle tęczyowych barw, ile miała unosząca się nad ziemią starożytna bogini Cheldejczyków, to przecież nie wielka, płomienna namiętność duszy poety, to raczej, ogółem wzięwszy, salonowa miłośćka, na której dnie może się i znajduje odrobina istotnego uczucia, ale uczucie to nie posiada dostatecznej mocy do wypełnienia sobą każdej żyły, do poruszenia, do rozgrania każdej fibry w człowieku.

Miłość taka ani nie podnosi, ani nie łamie. Miłość taka sprawia, że „przejęty” nią potrafi wpiąć sobie kwiat niezabudki w butonierkę fraka i tak dawniejszą kochankę swoją prowadzić, jako družba, do ołtarza z innym. Jest to „sen miłości”, który pierzcha zbyt prędko, ażeby niezatarte w sercu pozostawić ślady. Miłość taka wywołuje kilka słodkich chwil w życiu, gdy wzajemna, a uśmiech lekkiej ironji lub sarkazmu, gdy druga strona oszukała się na niej, gdy względy salonowe czy przyrodzona płytkość ducha nie pozwolą jej odpowiedzieć życzeniom starającego się o nią.

Poeta szukał miłości tej w buduarze, wśród dam, z „czarownym wykwitem uśmiechu, z zażawionemi oczyma pie-

szczących pieska“ („Spóźniona odpowiedź“), nie dziw więc, iż przyszło — zapewne bardzo wcześnie — do tego, że „dla dam“ miał, zamiast uczuć — karmelki.

Rzecz dziwna, a może w tych warunkach nie dziwna, że pieśniarz, pod względem zdolności wnikania w przyrodę, w tajemniczego, a potężnego jej ducha, prawie że nie ustępujący, jak to wykazał w wrażeniach tatrzańskich, lub w sonetach „Nad głębiami“, Shelley’owi, którego „Chmurę“ tak cudownie przyswoił literaturze naszej, nie umiał w erotykach, pomimo przeciwnie świadczących pozorów, zlać miłości swojej z miłością wszechświata, nie umiał stworzyć tego panteistycznego skojarzenia uczuć swj jaźni z uczuciem powszechności, co zdaniem — jeżeli się nie mylę — Tarde’a — jest ostatniem słowem poezji.

„Najpiękniejszych piosnek nauczyla go dziewczyna“ — zapewnia El...y w jednym miejscu — „bo mistrzem mu były, jej harmonijne usteczka“. My byśmy powiedzieli, że poeta przecenił wpływ tych usteczek. Najpiękniejszych, najczarowniejszych, najwznioślejszych pieśni, źródło niezgasłej jego chwały, nauczyla go Przyroda, nauczyla go myśl, zrodzona z duszy walczącej ludzkości, nauczyla go cierpienie ziemi ojczystej.

Egotyczne uczucie, podobne w erotykach do kwiatu, wyhodowanego w atmosferze cieplarnianej, posiada natomiast woń i barwę prawdy w szeregu innych utworów, które nie tyle dla ich pysznego artystycznego kształtu, ile dla pierwotnej szczeroty ich treści do najpiękniejszych zaliczyć wypada.

Żale za utraconą wiarą dziecięcą, na miejscu której w „duży zburzonym kościele“ została straszna pustka i samotność, wypłakuje poeta „pod stopami krzyża“. Serce jego napelnia się pokorą i błogą ufnością, że jako jeden z cierpiących nie będzie odepchnięty od zakrwawionych ramion Chrystuso-

wych. Macierzyńskie ciepło domowego ogniska błogosławi rozplywając się w słodkich wspomnieniach chwil młodocianych, w rodzinnem przeżytych mieście; a w elegijnym „Powrocie do domu“ klęka z niewysłowioną żalobą przy drogiej mogile — z żalobą i boleścią tak głęboką, tak serdeczną, że pod jej ciśnieniem łza uwieźla pod powieką, jęk nie miał mocy wydobyć się z piersi. „Echa kołyski“ zabijają w nim prostotą i szczerością swoją pogardę i nienawiść ludzi, którą w nim gorzkie wyrobiło życie, każą mu wierzyć w prawdę, cnotę i piękno, jako niewygasające nigdy w ognisku ludzkości dobroczynne, zbawcze płomienie. Miniona młodość, a z nią wizja szczerzej, aniżeli buduarowe damy, istoty, szczerzej, bo nie budzącej w nim sceptycznego podrywiania, staje mu przed oczy na widok astr jesiennych, księżycem oblanych, a melancholijna tęsknota do drobnostki — do jednego serca, jednych ust, dwojga oczu i rąk białych dwojga, owiewa nas jak oddech z nieszczęśliwej, a szlachetnej piersi, w sonecie, który należałby może do erotyków, ale który ze względu na odmienną, istotnem uczuciem napojoną treść zasługuje na wyłączenie go z kategorii sentymentalnych, pseudo-naiwnych lub ironicznych, niezdrowej narkozy pełnych wynurzeń.

„Ach! jak mi smutno!“ woła w innym wierszu, w którym również czuć, że łono poety prawdziwa rozdziera boleść, a ton łagodnej rezygnacji, pogodzenia się z losem, przemawia nie z tych pesymistycznych, bajronicznych zapewnień, że „nie ma boleści, co by go trwożyła, bo dzisiaj nawet w własny ból nie wierzy“, — ale z owej chęci, aby się zejść z życiem szlachetnem i młodem, co „jak bluszcz swoją latorośl, przeciska do słonecznego światła — przez zwałiska“. Rezygnacja ta przemawia z owych, altruistycznej mocy pełnych, serce człowieka uszlachetniających wyrazów że „zdrój czystych

uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą“. Przemawia z owej melodyjnej wreszcie apostrofy: „Ucisz się serce! — swoich strat już nie oplakuj stroskane; ale wschodzący pozdrów świat i jego jutrznie różane. Błogosław nowym życia dniom, temu, co wschodzi i rośnie, świeżym nadziejom, świeżym snom, świeżej młodości i wiośnie“.

III.

Przez szkła egotyzmu patrzył Asnyk w wcześniejszych okresach twórczości swojej także na przyrodę, wybierając sobie te szczegóły z jej życia, któreby się najlepiej nadawały do zestawienia ich z jego chwilowem usposobieniem. Szukał więc „kwiatu paproci“, który, zakwitając na jedną chwilę, będzie dlań symbolem młodości, co krótkotrwałymi ideałami swemi otaczający ją świat rozjaśnia.

Chodził pomiędzy stokrótki, a pospolitość ich wydała mu się dzięki temu samemu pryzmatowi w cudne ubrana kolory.

Melancholijne westchnienia, wijące się około wspomnień studenckich, łączył z powojem, co się piał około okna jakiejś wdzięcznej sąsiadki. W cichej nocy miesięcznej płynąc po jeziorze, odgadywał marzenia lilij wodnych i zlewając z niemi swoje i kochanki swojej tajemnicze lęki — obawy, jaki będzie los ich dwojga po śmierci, pocieszał ją i siebie uroczą muzyką słów:

„Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz, rozmawiamy z sobą,
Takie lilje znów po nas wykwitną,
Naszych losów, owiane żalobą,
I w niebiosą patrząc się pogodnie,
Będą o nas marzyć lilje wodne“.

Niekiedy używał tworów przyrody jako środków do celów mniej eterycznych, mniej powiewnych — i wtedy twory te, jakgdyby traciły charakter symbolów, a przeradzały się, mimo świeżości, barwy i woni, które im poeta nadać usiłuje, w suchą, bezbarwną, bezwonną alegorję: bławatkiem posługiwał się dla uzmysłowienia naiwności dziewczęcia, a widok fiołków, ukrytych w trawie, wprost odrywał wyobraźnię jego od przyrody, służąc mu tylko do porównania go z oczami ukochaney, które mu się naturalnie wydały śliczniejsze od kwiatu.

Mimo wszystko, mimo wielkiego uroku, jaki na mnie wywiera cykl „Kwiaty“, powiedziałbym, że w tym okresie widnieje pewna chorobliwość w traktowaniu motywów przyrody, otaczanej przeważnie jakby mgłą sentymentalizmu, albo będącej zewnętrznym jeno środkiem artystycznym do zobrazowania chwilowych uczuć poety.

W jednym tylko wierszu z tego okresu spotykamy się z idealniejszym, szczerzem, głębszem, bardziej wewnętrznem obcowaniem z naturą, mianowicie w „Dzwonkach“, gdzie nastrój zbliża się do nastroju w niektórych obrazach tatrzańskich. Jest w tym poemaciku mimo aluzji miłosnych — stopienie ducha jednostki z duchem wszechświata. Jest akord, przypominający myśl cyklu sonetów „Nad głębiami“, akord o niezniszczalności wszelkiej treści bytów, a więc i człowieka, który nie umiera, a tylko w zmienionych kształtach żyje dalej wśród ogólnego ruchu nieskończoności.

Na widok dzwonek czuł poeta, jak „niszcząca i razem twórcza władza“ — nieśmiertelna potęga boża, roztopia go w ogromie światów, jak mu „dla ducha toruje drogę“: i widzi siebie w każdej drobinie i „wszędzie myśl swą dawną znajduje, a jedną cząstką ponad grobami wybiega na świat kwiatów oczami“.

Myśl ta, spotęgowana jeszcze, powraca w wspaniałej „Nocy pod Wysoką“.

Atoli i w obrazach tatrzańskich — należących bezsprzecznie zarówno pod względem poetyckiego malowidła, jak i poetyckiego nastroju do najcudowniejszych emanacji siły twórczej nie tylko w piśmiennictwie naszym, lecz wogóle w literaturze powszechnej, nie zawsze duch przyrody wolny jest od zewnętrznych łańcuchów, nakładanych nań przez poetę. I tutaj od czasu do czasu widzimy sprzęgnięcie tego ducha z obrazami, nie wynikającymi ani z zewnętrznego otoczenia, ani z zespolenia ich z czysto wewnętrzną treścią duszy ludzkiej. W tak pięknym, majestatycznej grozy pełnym malowidle, jak „Morskie Oko“, harmonję potężnych granitów, odzianych płaszczami borów, błyszczących w słońcu lub poświacie księżycowej, harmonję głębi wodnej, wichrów, przełatujących nad nią, dalekiego szumu potoków, psuje wprowadzenie bóstw mitologicznych, których walki, stoczone w zamierzchłej przeszłości, znalazły zobrazowanie swoje w tym wielkim poemacie natury, w tej potężnej Mahabharacie czy Eddzie zielonego jeziora. Aluzje do jakichś ewolucyj kosmicznych byłyby tu — tak mnie się przynajmniej wydaje — bardziej na miejscu, olbrzymie wrażenie, jakie utwór ten wywiera, do groźniejszych jeszcze wzrosłoby rozmiarów. Ale ostatecznie są to drobnostki, znikające wobec innych czarownych szczegółów tych obrazów.

Nasuwa się mimowoli pytanie, jakiej metody używa El...y w traktowaniu natury? Jest to jednoczenie impresjonistycznego malowania z nastrojem w ten sposób, że poeta odtworza nasamprzód barwami swemi otaczający go świat zewnętrzny. Niebotyczne szczyty, różnorodnymi mieniące się kolory, stosownie do pory dnia, w której je widzi oko artysty, ciemne, w mgły zasnute lasy, siklawy szumiące, limby, wy-

rosłe na skał urwiskach, wiatr, królujący na sinych krawędziach złomów — oto najgłówniejsze motywy jego obrazów.

Wprowadziwszy człowieka tym sposobem w odtworzony przez siebie świat zewnętrzny, zaczyna poeta oddziaływać na niego swoim nastrojem. A nastrój ten w treści swej różnego jest rodzaju. Widok tych wspaniałych, tych rozlicznych szczegółów, w jeden wielki zlewających się obraz, budzi w poecie zachwyt dla wieczystej myśli twórczej, wywołuje w duszy nieokreślone tęsknoty, każe tej duszy „gonić sen piękności“, roznieca chęć wzlatywania ponad chmury codziennego życia, uderza w struny dumy, unoszącej się nad rzesze poziome, zajęte powszednią walką o chleb, obudza lęk przed nieznaną mocą, przed „tajnem“, „nieujętem“, albo wreszcie, wolny od wszystkiego, co ziemskie, „wolny“ choć prawom powszechnym podległy, duch jego „ulata w sfery gwiazdziste, nurza się w źródle wiecznie żywym, wiąże się i zlewa i brata z całą harmonją zaziemskiego świata“. Kto chce napoić wzrok swej duszy barwami i blaskami obrazu, a właściwie szeregu obrazów, jak w kalejdoskopie przesuwających się przed oczami, ten niechaj sobie przeczyta „Kościeliska“, a kto razem z poetą chce uspokoić swą duszę, chce zanurzyć ją w powszechnej ciszy, kto swój spokój chce zlać z spokojem natury, ten niech zagłębi się w precudownej symfonji „Nocy pod Wysocką“.

To głębokie zajęcie się przyrodą sprowadziło go na tory filozoficznych rozmyślań nad treścią zagadnień ogólnoludzkich, których tak potężny wyraz znajdujemy w cyklu „Nad głębiami“.

Poeta, który widział „prądy powietrznych orkanów i w błyskawicach bijące pioruny, wstrząśnienia lądów, wybuchy wulkanów i zórz północnych zakrwawione łuny“ — poeta, który widział wszystkie żywioły tej ziemi, jak się nawzajem

potrącają w biegu, jak wybuchają ogniami złotemi i w nowych zjawisk powstają szeregu, jak się spychają i cisną i wiążą“ — poeta ten przyznaje się, że „napróżno wyciągał dłonie, aby wszystkie te siły ułoić na przyrody łonie“, próżno chciał „każdą wydzielić z wszechświata, ażeby przed nim stanęła skrzydlata i, w niewzruszone ujęta granice, wypowiadała bytu tajemnice“. Więc też, chcąc „za nimi dotrzeć do tej głębi, gdzie wir pierwotnych żywiołów się kłębi“, począł „zwolna ziemskich ciał budowę na jej cząsteczki rozbić i składać“.

A do jakiego doszedł tej pracy rezultatu? Oto do syntezy najgłówniejszych prądów filozofji naszej epoki, do wyluszczenia prawd następujących: Duch ludzki, jak to poeta przekonał się i na samym sobie, daremnie zatapia się w bezdenne otchłanie wszechświata; za słabym świeci on promieniem, aby mógł je rozjaśnić.

Im bardziej rośnie blask wiedzy, to mroki kosmiczne stają się coraz to większe, coraz to głębsze.

W tej nocy wieczystej czuwa tylko bezustannie Duch świata i wysnuwa z siebie nic przyszłych istnień.

Drobną cząsteczką tych bytów i my jesteśmy, poddani mocy wspólnych sił, rządzących i światem i ludźmi.

Nie ma nieśmiertelności formy, jest tylko nieśmiertelność treści.

Przeszłość nie wraca w dawnej postaci, jednak nie umiera, zmienia tylko miejsce, czas i nazwisko — jednym słowem świeże przybiera kształty.

Wszystko, co jest, w jeden wspólny spływa ocean; wszystkie byty łączy on wzajemną od siebie zależnością, dzięki której ludzie i narody odpowiadają „każdy za wszystkich, wszyscy za każdego“.

Ludzkość powinna dążyć do poznania prawdy przez miłość,

a nie na drodze krwawych wybuchów, gdyż miłość jedynie odbudowuje to, co złość zburzyła.

Tak złe, jak dobre wspólną jest wszystkich zdobyczą; wszyscy uczestniczą w ciężkim dorobku wieków, wszyscy znoszą następstwa i dobrego i złego.

Człowiek jako jednostka marnym, bezsilnym jest atomem i dopiero w związku z wszechświatem rozszerza granice swego bytu, nad którym władnie śmierć. Ta atoli nie jest zabójcą, a tylko twórcykiem nowych kształtów.

Śmierć to „postępu chorąży“, co „świat na nowe prowadzi tory, wschodzącym kielkom usuwa zapory i z rzeszą istot w nieskończoność dąży“. Śmierć to prąd życia, który „naprzód i wyżej“ porywa z głębi bezwiedne atomy.

Wszystko łamie konieczność — smutnym jest bezsilny koniec żywota, a właściwie jego przeżywających się kształtów, ale większy smutek sprawia widok człowieka, czy społeczeństwa, gdy się pozbywają swej siły duchowej.

Prawdy powyżej streszczone, nie są dla umysłów, filozoficzne posiadających wykształcenie, nowością; Asnyk potrafił atoli, jak nikt z współczesnych pieśniarzy, ująć je w całość harmonijną i całość tę opromienić blaskiem głębokiej a porywającej wyobraźni. — „Nad głębiami“ to jeden wielki łańcuch refleksji, która, w dawnych utworach El...y'ego czasem oschła i, mimo lotnych strof co do ich zewnętrznego kształtu, poniekąd ciężka, stała się tutaj prawdziwie poetyczną, w górę rwącą potęgą.

Dla rozmaitych krytyków naszych, majaczących o bezpośredniości uczucia, jako o niezbędnym warunku „prawdziwej“ liryki, jest cykl sonetów tych nowym dowodem, że wszelkie formułki, stawiane poezji, mogą być dobre dla tych właśnie krytyków, ale nie dla poezji. Liryka bezpośrednia, czy „przecedzona przez filtr“ refleksji, pozo-

stanie zawsze liryką, jeżeli będzie wypływem istotnego natchnienia.

W końcu myśl poety opuszcza wyżyny spekulacji i przemieniona w uczucie, ogarniające miłością człowieczeństwo, schodzi na pole życia jednego z odłamów tego człowieczeństwa, drogiego sercu poety narodu naszego.

Cykl kończy się apostrofą do Polski, która dopóty nie zginie, dopóki żyć w niej będzie „myśl swobody, wola i godność i męstwo człowiecze“.

Dziś jej byt polityczny w mogile, z której wstanie ojczyzna, choć nie taką, jaką była dawniej.

„Musi ona zatracić nie jeden rys miły i wdzięk, w dawniejszym uwielbiany czasie“. Musi ona „nową postać wziąć i nowe siły i nowych wieków oręż mieć w zapasie“... „Przystrojona w królewski diadem“ musi „do życia wkroczyć życia bramą“, musi być inną, choć będzie tą samą“.

Oto w najogólniejszych konturach system filozoficzny, społeczny i narodowy El...y'ego.

IV.

Należałoby tutaj — zwłaszcza stronę społeczno-narodową uzupełnić bliższymi szczegółami. Ze względu jednak na jej wielkie znaczenie aktualne kwestja ta wymagałaby osobnego studjum.

Przypominam więc tylko jeszcze kilka najgłówniejszych rysów.

Przeciwko ludziom wogóle, jak i przeciw własnemu społeczeństwu zwracało się niejednokrotnie spragnione ich dobra serce poety. Razily go chłód, jałowość otoczenia, pod którego wpływem tracił nawet wiarę w ukochane przez siebie ideały braterstwa i swobody, w tę swoją „czarodziejską baśń tęczo-

wą“. Wiek XIX był dlań nauczycielem zgrozy i nicości, szyderczo patrzącym na ofiary idealniejszych uniesień i pragnień; pod brzemieniem nędzy moralnej tego „wieku bez jutra, wieku bez przyszłości“, chciałaby nawet zamilknąć lutnia poety.

Własnej ojczyźnie, „frymarczącej krwią Messalinie“ ciska w oczy zarzut odstępstwa od dążeń szlachealnych; krwawy rok 63, w którym sam brał udział, wywołuje w nim uczucie rozpacz i poczucie niemocy. Satyra, zgrzyt ironji i szyderstwa rozpierają się w niejedynej z jego utworów.

Atoli z biegiem czasu dusza jego do pogodnej przychodzi równowagi, tęskni, przejęta wielką miłością i ludzkością i własnego narodu, za jutrznią, któraby rozlała światło swoje po ziemi, „nowego życia spragnionej“. W zgodzie z postępami prądami nowoczesnymi wskazuje ziemi tej potrzebę zdobycia jak największej sumy wiedzy, każe dążyć do prawdy i piękna, każe czcić w przeszłości to, co było w niej dobrego.

Otoczywszy aureolą ideje, które wywołały ruch styczniowy, stawia nam przed oczami wizję ojczyzny w groźnie odmalowanej postaci króla Lira i jako na wybawiciela z dzisiejszego upadku wskazuje na niezwyciężoną potęgę ludu. I za to należy mu się cześć największa!

II. ADAM ASNYK

(Wspomnienie pośmiertne).

Umarł największy współczesny pieśniarz polski, a jedno z wielkich poetów świata, jeden z tych ludzi, którzy od razu dominujące w społeczeństwie zajęli stanowisko i stanowisku temu całym swym życiem następnym odpowiedzieli godnie i wspaniale,

Kiedy przed kilkoma zaledwie miesiącami w uroczysty obchodzono sposób trzydziestą rocznicę twórczej działalności El...y'ego, nie przypuszczano, że tak prędko zniknie nam z oczu ta postać tak charakterystyczna, że tak prędko odbiegnie nas dusza podniosła i czysta, że tak prędko zamilkną struny lutni, do ostatnich niemal dni z nieosłabioną rozbrzmiewające potęgą. Uciszyło się na wieki serce, które zawsze było z temi, „co chcą polepszyć ziemski los i przynieść szczęście tej ziemi“. Zagasł wzrok umiejący przez mgły i tumany dzisiejszego życia, pełnego zwątpień i braku wiary w ideały ludzkości dostrzegać blaski nowej jutrzni, promieniste fale nowych zórz. Nie zobaczymy już kapłana, który w proroczym natchnieniu, „błogosławił nowym życia dniom; nie ujrzymy już wędrowca, co krocząc drogą cierpieniem zasłaną, wśród tłumu zgębnionych „pełnych skarg i łez“, „pozdrawiał pokoleń przyszłych ród“, nowe dla niego wykreślając tory. Nie ujrzymy już kochanka poezji, wiernego natchnieniem, „coby w życia źródłu ukazywały nową piękną stronę, któreby naprzód biegły, w każdym boju pokrzepiać serca słabe i zmęczone“. Poszedł od nas siewca „kwiatów pełnych woni“, siewca, co, choć nieraz miewał chwile gorzkości względem otaczającej go obojętności tłumów, miał przecież tę pewność, że posiew jego nie pójdzie na marne, że zostawi myśl po sobie i że tę myśl, po „śmierci kochać go będzie chłodna milcząca rzesza“.

Nie zawsze jednak rzesza ta była dla niego obojętną; a jeżeli już dzisiaj zaledwie w kilka dni po jego zgonie, wielkie widzimy dowody miłości, otaczającej jego trumnę, składającej zwłoki jego w grobie zasłużonych obok najlepszych w narodzie, to miłość ta towarzyszyła mu niejednokrotnie i za życia, bywała hołdem, oddawanym nie tylko pieśniarzowi ale i prawdziwemu obywatelowi. Imię Adama Asnyka, sądząc

po kilku wydaniach jego utworów popularnem było w znacznej części naszego społeczeństwa, jakkolwiek rozgłos swój nie zawsze zawdzięczało tym wiekopomnym kreacjom jego ducha, które go stawiają w rzędzie najpierwszych w umysłowym pochodzie świata. Z narodów obcych najlepiej znali go Czesi, a obok nich niemalą posiadał on sławę wśród Niemców.

Urodzony w Kaliszu (24. października 1838), miał lat dwadzieścia, kiedy w Warszawie przygotowywały się krwawe wypadki styczniowe, mające na politycznem i umysłowem życiu naszym tak niezatarte dotychczas wycisnąć piętno. O ile rozbudzony młodzieniec, bawiący wówczas na studiach lekarskich w stolicy Polski, brał udział w przygotowywaniach powstania, wyjaśni to historyk jego życia: nie ulega jednak wątpliwości, że Asnyk pozawierał stosunki z najgorętszą młodzieżą, że dążenia młodzieży, którą margrabia Wielopolski celem ostudzenia jej zapalów pakować chciał w szeregi moskiewskie, nie były mu obcemi. Jak zapewnia jeden z wielbicieli zgasłego poety p. Ant. Kleczkowski, należący do najbliższego jego otoczenia, uczestniczył ówczesny uczeń warszawskiej akademji medyko-chirurgicznej w głośnych demonstracjach kościelnych, za co przez kilka dni przesiedział w areszcie. Bezpośrednio przed wybuchem wielkiego płomienia nie było go jednak w Warszawie, bawił w Niemczech na wszechnicy heidelberskiej. Tutaj w gronie znajomych i przyjaciół nie przestawał śledzić, co się dzieje w kraju, zwłaszcza, że już tutaj przestała go nęcić medycyna, a gorąco zajmować go jęły wszystkie objawy życia — społeczno-politycznego, objawy, które w Polsce, a specjalnie w zaborze rosyjskim przybierały charakter rozpalonych ognisk nowych haseł, nowych prądów, zmierzających do wyswobodzenia uciemzonego narodu. Ażeby otrzymać krwawy chrzest prawdziwego syna ojczyzny, pospieszył Asnyk na wieść o rozpoczęciu

walki orężnej do Królestwa, a piękna musiała być pamięć po nim w Warszawie jeżeli dwudziestopięcioletniego młodzieńca powołano odrazu w skład rządu narodowego (za dyktatury Trauguta).

Rok 1863, tak oplwany przez ludzi „trzeźwych“, musiał w umysłowości wrażliwego poety potężne wyryć ślady. Można śmiało powiedzieć, że zadecydował on o całym kierunku pracy twórczej, bo choć nastąpiły później czasy, gdzie Asnyk wyrывał się z wiru wyobrażeń, uczuć i dążeń, wywołanych powstaniem styczniowym, i zatapiał się czy to w własnym „ja“, czy też w zagadnieniach ogólnoludzkich, to przecież myśl jego, jakby pod wpływem jakiejś siły magicznej, wciąż się ku niemu zwracała czy to z wyrzutem i rozpaczą czy też z protestem przeciw historykom i politykom, nie wahającym się, zamiast dozwolonej krytyki, najhaniebniejsze na rok ten rzucać oszczerstwa.

I dla niego rok 63 był rokiem nieszczęścia, którego „krwawych czasów nie zatarty ruchliwe fale czasu“, pomimo że od chwili bohaterskiego perjodu, ćwierć upłynęło wieku. I dla niego rok ten „cięży nad nami i z przyszłości narodu przez lat szeregi kroczy, widmo blade, wlokąc za sobą, jak całun zagładę“. I dla niego rok ten jest pełnym grzechów, za które „Polskę z mieczem w dłoni z szat obnażono jak jawnogrzesznicę“ i „z idei ją chciano odrzeć od ostatka, jakby to nie była ich własna matka“. I dla niego po ruchu styczniowym pozostały nam w spadku: „grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha, bunt tych, co widząc mdlejące już ciało, śmieli doradzać samobójstwo ducha i więzy, które mocniej się nam wpiły i lzy palące... i wstyd... i mogiły...“ Pomimo to jednak wie on, że rok ten był „duchową potrzebą narodu, był uprawnionym orężnym protestem przeciw niesłychanej krzywdzie dziejowej wyrządzonej Polsce. Wie on, że rok ten

był dzieckiem epoki, która „ku zmartwychwstaniu stale naprzód biegła“, która „w lada koniuszym lub dworskim lokaju“ nie upatrywała zbawcy ojczyzny, epoki, w której „Polska nie umiała przybierać postaci gadu, co się u stóp czolga“, woląc raczej, aby synowie jej ginęli w kopalniach sybirskich, aby jej dzieci najkrwawsze ponosiły ofiary, aniżeli zniżyć się do „wchodzenia w konszachty z wrogiem, do stawiania złotych mostów pojednania, do nazywania zdrajców ojczyzny mężami stanu“. Wie on, że epoka ta mimo niejednej klęski, wspanialszą była od doby dzisiejszej, tej z obliczem „nieubłaganem, lodowatym, chmurnym“, tej, której „religja tchnąca grozą, drapieżniejszej siły jest apoteozą“. Ta wiara w wyższość czasu minionego, czasu romantycznych wzlotów, nie tylko w dziedzinie poezji ale i w życiu społecznym i politycznym narodu, musiała napędląć serce poety goryczą, zwracającą się przeciw tym, którzy epokę tę plugawią, lub na miejscu żywotnych wówczas hasła prometejskich stawiają marne obliczenia i kombinacje handlarskie: „nie możemy bez goryczy patrzeć, jak chcieli ślad przeszłości zatrzeć — mówi poeta do tych „nowych ludzi“, którzy wchodzą „z prądem dziejowym w przymierza, biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza“.

Tak się zapatrywał śp. Adam Asnyk na powstanie styczniowe i na jego sędziów w dwadzieścia pięć lat po rozegraniu się tej ostatniej krwawej tragedji porozbiorowych dziejów naszych, z tem zapatrywaniem zeszedł też do grobu, choć myśl o idei bohaterskich poświęceń nie odводziła go bynajmniej od tej drobnej mrówczej pracy, niezbędnej dla cywilizacyjnego rozwoju narodu, będącego koniecznym dalszego życia warunkiem: wszakżesz umarł prezesem Towarzystwa Szkoły Ludowej, której losami aż do ostatniej chwili serdecznie się zajmował.

Po upadku powstania styczniowego, zmuszony uciekać z ziemi, napojonej krwią najszlachetniejszej części narodu, Asnyk nie wrócił od razu do Heidelbergu, aby przerwane kończył studja, ale czas jakiś spędził w podróży po Niemczech, Szwajcarji i Włoszech. Tutaj też powstała zapewne przeważna część utworów, zawartych w pierwszym jego tomie, a nacechowanych bezbrzeżnym smutkiem, melancholją, a nawet rozpaczą z powodu zajęć ostatnich.

Płynąc po zatoce w Baja, ma przed sobą niedaleką przeszłość, z której wraz z innymi wyrwał się „Niobidami“, ażeby u starego dziejowego przystanąć cmentarza, popod fryzem odartym z żaloby „ciężące pochylić już głowy“, aby „z własnego wracając pogrzebu“, schronić się pod skrzydła bladej Hekaty i w Erebie, za brzegami Acherontu spotkać się z błądzącymi cieniami braci. Napróżno dusza poety zbacza w dziedzinę zagadnień estetycznych, napróżno zatapia się w fali myśli ogólnoludzkich, filozoficznych i społecznych, pytając się razem z Juljanem Apostatą, jaki będzie los świata zgromadzonego pod znakiem Chrystusowym, — czy w imię tego czarnego krzyża świat się nie splami krwi strugą i wiara, co dziś niebo przybliży, ciemności nie będzie sługą. Napróżno poeta szuka ukojenia w ekstazie ascetycznej, duszę swoją zamykając w Zbawicielu. Napróżno snuje pieśń uwielbień dla babilońskiej Aszery, patronki zmysłowych wzlotów. Napróżno pogrąży się w rozmyślaniach przed odłamek Psychy praksytelesowej, w rozmyślaniach o różanym Olimpie, o czci dla cielesnych rozkwitów, o harmonji myśli, „wszędzie władającej i bryły w jasny wkładającej porządek“, o „dwóch dźwiękach złotych, chwale i wolności“, o „boskim płomieniu wybuchającym z Golgoty“, o „pogasłych tęczach“, o „tętentcie barbarzyńców“, który skłócił pogodę starożytnego świata; napróżno, apostrofując „kamienną siostrę“, pociesza się, że

„mirty zakwitną, powrócą motyle“, że „miłość przyjdzie zwiastować jej o wiosnie“, — serce otrzymawszy ciężką ranę wskutek zawiedzionych nadziei narodowych, ciągle się krwawi, a wezbrana boleść znajduje upust przedewszystkiem w mistycznego uroku pełnych, melancholijną grozą owianych obrazach „Snu grobów“. Opowiada tutaj poeta słowami o kolorycie Danta i Słowackiego, o swojej wędrowce w „posępnej nocy krainę“, gdzie władnie jedno „nie“, wielkie, uroczyste, „co się nie błyska nawet i nie chmurzy“, a wędrowkę swoją przeplata złorzeczeniami przeciw „bezglowym karłom“ i „prochom podłym“, przeciw ludziom, którzy „śród szyderstw słusznego wrzasku, do swych poziomów wszystko zniżyć pragną“.

Taki w najogólniejszych zarysach jest nastrój poety w pierwszej dobie jego twórczości, nastrój smutny, nieraz przepojony rozpaczą, a w kwestjach społeczeństwo obchodzących, poza ogólnie wyrażonemi uczuciami, nie formułujący pragnień i dążeń piewcy w sposób, właściwy późniejszym jego poezjom.

Skończywszy — po odbytych powyżej wzmiankowanych podróżach — studja w Heidelbergu, przyjechał Asnyk z tytułem doktora filozofji do Lwowa (1865), gdzie po erze germanizacyjnej, centralistycznej swobodniejsze zaczęło zakwitać życie. Aspiracje narodowe miały jakie takie pole rozwoju i bądź co bądź po bitwie pod Sadową, doznawały pewnego zadowolenia. Poetę przestał jednak zajmować otaczający go świat zewnętrzny, zawody styczniowe zjadły jego siły, uczyniły go obojętnym na sprawy publiczne, talent, wyczerpawszy się w kierunku, który bólem mózg wysusza i ostatecznie ubezwładnia serce, zbyt żywo czujące, zwrócił się ku szukaniu nowych dróg i zawiódł pieśniarza do małego domku własnego „ja“, do kapliczki uczuć mniej górnych, uczuć, z których powstają cacka artystyczne, ale nie dzieła

o przewodczej mocy, zrodzonej z cierpień i radości ogółu, z jego nadziei, z jego pragnień, z jego rozczarowań, z jego wzlotów i upadków. Opiewanie miłostek czy miłości w wierszykach niewątpliwie wdzięcznych, śliczną posiadających formę, zaprawionych bądź to pewnym odcieniem sentymentalizmu bądź też heinowską ironią, oto główny dorobek z tej drugiej doby twórczości El...y'ego.

Niebawem jednak duch poety do pierwotnych powrócił natchnień, na strunach jego lutni zabrzmiała znowu pieśń, mająca w sobie zarodki tych sił, z których ojczyzna czy ludzkość buduje sobie gmach lepszej, doskonalszej przyszłości. W śpiewaku, na chwilę oszołomionym haszyszem uczuć, na których temat wysnuto już tyle tkliwych i ekliwych dźwięków, obudził się potężny Herakles wyruszający na oswobodzenie płomienistego Prometeja. Miejsce „cichej spowiedzi“ serca zajęło tytaniczne pragnienie poetyckich wybuchów, choćby przy ich ogniu serce spalić się miało z boleści. „Endymionizm“ zluźowany został przez prometeizm; szukanie wrażeń pomiędzy niezabudkami i bławatkami zeszło z drogi potężnej chęci wyruszenia na bój, ażeby „śpiące wyswobodzić bóstwo, aby moc życia tchnąć w „zakłęta królownę“, marzenia o miłosnych pieszczotach przygłuszyły czy to z gorącego serca płynące wyrzuty, miotane na „frymarczącą Messalinę“ na „cień bladego Baru“, który się powinien przekształcić w potęgę „sen Grachów“ w czyn „zamieniającą“ czy też wielką wiarą i nadzieją uskrzydłone pieśni o wszechmocy wciąż naprzód dążącej myśli ludzkiej, o tej „wiedzy jasnej pochodni, którą nieść powinni młodzi“, i o ludzie, który ma się stać urzeczywistnieniem snów wielkich proroków, który ma się stać wyswobodzicielem uciemnionej ojczyzny.

Ale odtrąciwszy samolubną boleść od siebie, pozbywszy się sceptycyzmu w osądzaniu podniosłych dążeń ludzkości,

dążeń którym wiek nasz dał i daje wyraz zbiorowy w ruchach ludowych, nie od razu stanął poeta czysty i nowym a właściwie zmartwychwstałym w jego sercu ideałom bezwzględnie się poddający, cierpienia osobiste i w tej epoce twórczości, znalazły swój wyraz, ale wyraz szlachetniejszy, podnioslejszy. Bolesć z powodu zawiedzionej miłości, tęsknota do opuszczonego ogniska rodzinnego, żal za utraconą wiarą dziecięcą stanowią niejeden motyw jego pieśni, nie zabijają w nim atoli przeświadczenia, o niezniszczalności szlachetnych pierwiastków, zawartych w świecie, co najwyżej przybierają melancholijny wyraz rezygnacji.

Altruizm tak się rozgościł w duszy poety, że nie było już siły, któraby mogła z niej wyprzeć miłość do ludzi i miłość przyrody, a do świątyni jego wnętrza wprowadzić znowu bóstwa nienawiści lub sytego zobojętnienia. Nie przeklinał już poeta, lecz błogosławił: rozkazując sercu, aby się uciszyło, błogosławił „nowym życia dniom“; gdy opuszczało go szczęście, nie zlorzeczył, ale jak prawdziwy przyjaciel ludzkości, znajdował pociechę w myśli że źródł czystych uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą“.

A kiedy od czasu do czasu wracała gorycz do niego, wypływająca z obserwacji stosunków życiowych swego społeczeństwa, stosunków, które radby był ukształtować w duchu swych marzeń idealnych, wówczas tulił się do piersi Przyrody, dla takich umysłów, jak śp. Asnyk, zawsze w sobie macierzyńskie mającej ukojenie. Jako pieśniarz przyrody, stanął zmarły w rzędzie pierwszorzędných genjuszów świata. Zdawało się i jemu, że obrazów natury używał jako środków do budzenia czy podtrzymywania uczuć podniosłych, wogóle jednak umiał on nietylko patrzeć na nią okiem malarza, stwarzając taki stubarwny kalejdoskop obrazów jak np. „Kościełiska“, ale w jej tajemnice potrafił zagłębiać sondę myśliciela,

potrafił obcować z nią jak kochanek, potrafił z tych obserwacji i tych zagłębiań i obcować stwarzać nastrój poetycki, z jakim niezbyt często spotykamy się w utworach największych poetów świata. Któż nie zna tak majestatycznego obrazu jak „Morskie Oko“? Któż nie zachwycił się wspaniałą „Nocą pod Wysoką“, tą symfonią ciszy, tym potężnym hymnem na cześć myśli twórczej, ulatującej w „sfery gwiazdziste“, nurzającej się w źródle wiecznie żywym, wiążącej się, zlewającej i bratającej się z całą harmonią zaziemskiego świata — zdala od wrzasku i wiru powszednich o najzwyklejsze potrzeby prowadzonych przebojów, zdala od dążeń i pragnień poziomych.

Wszystkie te utwory powstały w epoce zamieszkania w Krakowie, dokąd podążył poeta jeszcze w r. 1870, opuściwszy prozaiczny, dla rozwoju poezji przysłowiowo niepodatny, a nawet zabójczy grunt naszego kochanego Lwowa. W stolicy podwawelskiej pozostał też poeta do końca swego ciernistego żywota, tutaj pochował ojca (1885), tutaj zamieszkał też w domku na ulicy Łobzowskiej, pozostałym mu z znacznego mienia ojcowskiego, które jednak dzięki różnym niepowodzeniom stopniało do takich rozmiarów, że wielki poeta zmuszony był szukać zarobku dziennikarskiego. Przez długie lata — rozpoczynając karierę dziennikarską już we Lwowie, był Asnyk redaktorem „Nowej Reformy“; przywiązywała go do pisma wspólność przekonań i chęć służenia na tej drodze potrzebom społeczeństwa.

W Krakowie też mieszkając, zawiedziony podobno w pierwszej, silnej miłości, ożenił się z panną Kaczorowską, którą poznał był w Zakopanem. Niestety i w małżeństwie przesładowały go losy, zaledwie bowiem rok po ślubie utracił ukochaną młodą żonę, która zmarła pozostawiając mu syna, dziś słuchacza filozofji. Pobył w grodzie krakowskim prze-

rywał podróżami do Włoch, do Afryki i Indyj Wschodnich, oraz wyjazdami do Zakopanego i Lwowa, zostawszy przez krakowski odłam stronnictwa demokratycznego wybrany posłem do sejmu.

Praca obywatelska zarówno jako członka partji politycznej jakoteż prezesa Towarzystwa Szkoły Ludowej, nie wytrąciła mu lutni z ręki, nie osłabiła polotu jego wyobraźni. Utwory jego z ostatniej doby tym samym tchną czarem i siłą co i dawniejsze, a „Nad Głębiami“, cykl sonetów, w których poeta zawarł w przepysznych słowach swoje poglądy filozoficzne, jest jednym z najcudniejszych kwiatów poezji refleksyjnej.

Poza liryką zostawił zmarły kilka rozpraw literackich oraz szereg dramatów, pomiędzy któremi ze stanowiska poetyckiego pierwsze zajmuje miejsce pięcioaktowa tragedia „Kejstut“, będąca równocześnie politycznym manifestem duszy poety wymierzonym przeciw „Wallenrodyzmowi“.

O poezji Asnyka, przepysznej pod względem formy, można powiedzieć to, co zmarły powiedział o poezji wogóle, że — trawestując jego słowa — porzuciła ona zużyte narzędzie, odmieniła swoje koryto, i w nowych myślach, uczuciach i czynie naprzód z wezbranym prądem życia płynie i z dawnych marzeń potargane nici — przerobiła w ciszy na strój inny, świeży w którym znów serca stęsknione zachwyca nowych kochanków i nowych rycerzy.

Na ziemi, na której łany rozlewał się płomień boży, goszczący w sercu wielkiego poety, padł dzisiaj cień żałoby i smutku: wieść o śmierci Adama Asnyka przejęła boleścią wszystkich, co umieją myśleć prawdziwie i czuć prawdziwie.

SŁOWACKI

„Przed grobem niczego nie żądał, zato za grobem o wszystko się upomniał“ — i bez najmniejszych już dzisiaj zastrzeżeń postawiony został obok takiego, jak Mickiewicz, geniusza. Niewielkie miał powodzenie za życia, sam był nakładcą swych poezyj, na których, zwłaszcza w pierwszych latach jego działalności poznawało się drobne tylko grono umysłów wybranych. Zaledwie jednak zmęczone zamknął oczy, niesprawiedliwa krytyka, w ślad za Mickiewiczem nazywająca pieśni jego świątynią bez Boga, umilkła, a miejsce jej zajął niemal powszechny triumfalny głos uwielbienia.

Zgodzono się na zdanie autora „Irydjona“, ogłoszone jeszcze kilka lat przed śmiercią Juljusza, że nikt „tak fantastycznie nie pisał, że wygląda na króla, kiedy zacznie rozkazywać mowie polskiej, że w czarnoksiężstwie stylu stanął on tak wysoko, że nikt wyższym od niego, a równym rzadko kto“. Zgodzono się, że „z przedwczesną śmiercią Słowackiego społeczeństwo niepowetowaną poniosło stratę“, że „w krainę cichą odszedł jeden z największych geniuszy Polski i Europy, artysta, który z szorstkiej mowy naszej utworzył dziwnie metaliczne, szklane, muzyczne narzędzie“.

Niebawem kult pieśniarza Balladyny dosięgnął zenitu; nie wahano się dowodzić, że jest on „co do twórczości płodniejszy, co do wyobraźni bogatszy, świetniejszy i polotniejszy i co do rodzaju tworów swych wielostronniejszy od Mickiewicza“, nie wahano się twierdzić, że nie Mickiewicz, lecz Słowacki dopiero „odrodził poezję i samego ducha narodu“, że

on im „otworzył nowe, nieprzeczuwane dotychczas horyzonty“.

Demokratyzujące i rewolucjonizujące się społeczeństwo, a zwłaszcza zaś młode jego pokolenie, podnosiło strofy z grobu Agamemnona do znaczenia hasła, nakazującego zrywać z niewolniczą, do wolnych polotów niezdolną przeszłością. W szalonych, zgryźliwych, piekących apostrofach do „autora trzech psalmów“ widziano program działania praktycznego, w płomiennych tyradach i przysięgach spiskującego Kordjana wskazówkę, jakiej względem wrogów należy trzymać się polityki.

Zapał ten z czasem nieco się oziębził, nikt jednak nie zdołał i nie zdoła ściągnąć wartości Słowackiego poniżej istotnego jej poziomu, a streszczającego się w tem, że „Mickiewicz, on i Krasiński wzajemnie się uzupełniając, stanowią dopiero razem wzięci skończony wyraz naszej wielkiej poezji“, naszej nieśmiertelnej duszy narodowej.

Obdarzony niezmiernie żywą, ognistą, kapryśną wyobraźnią twórczą, którą podsycaly dość szczęśliwe z początku warunki bytu, Słowacki już jako dwudziesto i jednoletni młodzieniec, zagrzmiał rewolucyjnym „Hymnem do Bogarodzicy“, wspaniałą „Odą do wolności“ i namiętym, rozłukanym „Kulikiem“.

Przed oczami zabłysnęła mu zorza wolności, do uszu jego przypłynął dźwięk dzwonu, obwieszczający jej narodziny. I wołał na rycerzy, aby podnieśli głos, któryby wstrząsnął wieżycami Moskwy, ażeby wzruszył granitami Newy i spłoszył dwugłowego orła, trzymającego w szponach okowy niewoli. I ptak ten z przestachu uleciał nad krzyże świątyń i nie mając mocy patrzeć na wolnością jaśniejące narody, uleciał w cienie północy.

I huczał dalej ten płomienisty młodzieniec, że głos potomności obwini tych, którzy zardzewiały czczą korony, że zba-

wienie spoczywa tylko w ufności w własne siły, że pod mieczem ufających bojowników zachwieją się losy dumnych mocarzy, że padną do niedawna jeszcze „niebotyczne sosny królów“, którzy prawo ludu lekkomyślnie podeptali.

Uwielbiający Wallenroda, a niebawem dotarłszy do jego pierwowzorów, do pieśni albiońskiego wieszczą, który na kilka lat przed temi pierwszemi debjutami naszego pieśniarza znalazł śmierć bohaterską pod Missolonghi, Słowacki odrazu, w pierwszych już tomikach, zaznaczył dobitnie stosunek swój do świata i jego urządzeń. Stosunek ten zmieniał się później w szczegółach, w zasadzie atoli pozostał tym samym, zatrzymał charakter, ujawniony w *Mindowym*, i w *Marji Stuart*, i w *Arabie* i *Mnichu* i *Hugonie*, *Bieleckim*, *Żmiji* i *Lambrze*. Najglówniejszemi charakteru tego cechami była niepohamowana chęć walki z filisterją i wszelkiego rodzaju niewolą, wyrażającą się czyto w dogmacie religijnym czy w więzach towarzyskich, czy w kajdanach zaborczej polityki.

Nie było wówczas Zarathustry Nietschego, który z kultu silnych jednostek stworzył jedną z ewangelij społecznych, często bardzo wygodnych dla natur egoistycznych, tyrańskich, a Słowacki zasadę tego kultu — mając pod pewnym względem poprzednika w *Byronie*, uczynił treścią swego poglądu na świat, uczynił treścią przeważnej części swych poetyckich utworów. Miał pogardę dla bezmyślnego, leniwego tłumu, natomiast wielbił bohaterów, czcil umysły potężne, nieokiełznane, depczące w pochodzie swoim wszystko, co mogłoby im stanąć na przeszkodzie, choćby to były największe według naszych wyobrażeń prawa, wierzył, że tylko takie umysły świat przekształcają, że tylko tacy bezwzględni, przed krwią a nawet zbrodnią nie cofający się bojownicy porywają ludzkość i wiodą ją do krainy światłości, do krainy, gdzie ludzkość ta dosięga szczytu swego rozwoju.

Sam siebie uważał, za jedną z takich natur niemal demonicznych i „stąd to jego odosabnianie się od ludzi“, stąd to szukanie samotności, stąd wreszcie to jego późniejsze zatopienie się w głębokich mrokach mistycyzmu.

Niewątpliwie, poeta ogromnego talentu, a takie posiadający wyobrażenia o świecie i wyobrażeniom tym natchniony dający wyraz w swej pieśni mógłby wyrzucić wpływ niezmiernie szkodliwy, mógłby stać się apologetą wszelkiego występku, jeżeli tylko ten występki jest emanacją duszy, silniejszej od przeciętnego tłumu.

Atoli od zboczenia na taką niebezpieczną, ze stanowiska dobra społecznego wprost zbrodniczą drogę ratowało Słowackiego to, że był synem narodu uciemzonego, i do tego narodu, który niemal w oczach poety dawał dowody bohaterkich, nadludzkich wysiłków.

Nie jest to paradoksem. Kult jednostki zmienił się w najdojrzalszych utworach Juliusza w kult dusz silnych, szlachetnych, w kult Kordjanów, Anhellich i Królów-duchów, w kult tych, którzy umieją nadludzko cierpieć i nadludzko walczyć dla tego, ażeby świat był zbawiony, ażeby, jak mówi, nie był opasły i — po filistersku — zdrowy.

Rewolucyjność — nie ta, której potężna muzyka, opiewająca rwanie pęt narodowej niewoli, brzmiała w natchnionym „Hymnie do Bogarodzicy“, ale to wylamywanie się jednostki z korbów moralności społecznej, nie znalazło w społeczeństwie oddźwięku.

Odczuł to Słowacki, a znajdując jeszcze bodziec w wewnętrznej potrzebie współzawodniczenia z autorem trzeciej części Dziadów, rzucił „w otchłań milczącą“ swego Kordjana. Podobną się poemat bezimienny, przypisywany Mickiewiczowi, poemat, w którym bajronizm ustąpił miejsca rewolucyjnemu

patryjotyzmowi, odpowiadającemu zupełnie nastrojowi, jaki naówczas panował w naszym społeczeństwie.

Dusza poety zaczęła się krystalizować pod urokiem przyrody szwajcarskiej; w dolinie Grindelwaldu, u stóp wspaniałego, wiecznymi lodami pokrytego Wetterhornu, w Wengernalp naprzeciw niebotycznej, białej Jungfrau, nad brzegami czarującego jeziora Czterech Kantonów, śledził Słowacki „harmonję która wszystko łączy, nalewa jednym kolorem; zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem i dźwiękami natury“. Szarpiąca analiza ustąpiła miejsca kojącej syntezie i powstała pieśń, o której powiedział Krasiński, że „nic podobnego niema w żadnym obcym języku i że trzeba być bezczelnym, by brać się do pisania wierszy po przeczytaniu wierszy Juljusza“.

I rzeczywiście pod względem malowniczego odtwarzania obrazów przyrody stoi na równi z poematem „W Szwajcarji“ chyba tylko Shelleyowski „Alastor“, a pod względem subtelności uczuć wspaniały „Epipsychidion“ tego samego pieśniarza.

Ale przedtem jeszcze, przed Szwajcarją, powstał utwór dowodzący, że nasze hasła o poezji symbolicznej niesą nowemi, że my wszyscy, twierdzący, iż sztuka wówczas tylko będzie miała znamiona prawdziwego życia, jeśli będziemy umieli dać jej głębię perspektywy symbolicznej, że my wszyscy do pierwotnego powracamy źródła, z którego pełnemi haustami czerpali Krasiński i Słowacki.

Krasiński był Słowackiemu wzorem, był mistrzem, którego uczeń prześcignąć nie zdołał, wprowadzając niejednokrotnie zamiast symbolów, pierwiastki allegoryczne.

Kordjan i Anhelli, utwory napozór tak odmienne — zwłaszcza co do formy, mimo to związane są ze sobą bliskiem bardzo pokrewieństwem: matką ich rzeczywistość, której

muza Słowackiego tak niechętnie się dotykała, nie chcąc budzić swych w słonecznych promieniach wykąpanych skrzydeł — rzeczywistość cierpienia i walk narodu naszego.

Ale jeżeli w Kordjanie słyhać groźną klątwę na zdrajców i ciemężycieli, to Anhelli wędrujący w blaskach zorzy północnej po nieprzebytych, śnieżystych obszarach symbolicznego Sybiru, jest upostaciowaniem męczeńskiej ciszy, męczeńskiej niemal rezygnacji, a równocześnie dźwigającym ciężkie brzemie zwątpienia co do przyszłości narodu oraz ściganem eumenidami pytań, gdzie szukać środków i jakich, aby naród ten zbawić.

Nie zadawała go ani graf Skir, przedstawiciel kontuszowej szlachty, ani brat Grachów, żołnierz Skartabella, podnoszący komunistyczny program podziału ziemi, „wolności chłopów i równości szlachty z żydami i cyganami“ do wyżyn jedynie zbawczego narodowego hasła, nie widzi też szczęścia milionów w modlitwie księdza Bonifata, każącego iść i ginąć w spokoju a ciszy, jak szli i ginęli pierwsi chrześcijaństwa męczennicy.

Nie widzi szczęścia — ale przecież zasadniczo stoi może najbliżej tego księdza, kiedy wbrew temu, czem tak donośnie grzmiał w Kordjanie, zdaje się szukać odkupienia w spokojności, w zerwaniu z walką orężną, w poddaniu się losowi.

I tutaj doszukalibyśmy się może pierwszych drgań mistycyzmu, który w kilka lat później pochłonął tego poetę o śmiałym, niezależnym poglądzie na świat, tego jednym słowem człowieka swobodnego, pełnego samowiedzy bojownika za najszlachetniejsze dobra ludzkości.

Ale teoria „spokojnej ofiary“, wyrażona w symboliczno-allegorycznym Anhellim, nie miała trwałych podstaw w płomiennej duszy Słowackiego.

W tym samym okresie „fantastycznie nastrojona“ lutnia jego uderzyła w ton, wywołujący rumieniec wstydu na twarzy

ludzi, spokojnie dźwigających łańcuch niewoli. Rewolucyjny ten, pod względem poetyckim na najwyższe szczyble wspinający się manifest, wydobyty z piersi poety, którego losem było „na grobowcach siadać i szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych i senne królestwa posiadać, nieme mieć harfy i słuchaczy głuchych, albo umarłych“, — rewolucyjny ten manifest podobny jest do szalonego wichru, niszczącego wszystko to, co jest zmurszałe i słabe. Poeta rzuca rękawicę narodowi swemu, że cierpliwie znosi kajdany, głosi, że Polska ma w sobie pierwiastki szlachetne, zdolne zamienić ją w „jeden wielki posąg, tak hartowny, że w gromach nie pęknie“, ale pierwiastki te przygłuszone są niewolą, „duszę anielską więzi rubaszny czerep“, duszę, „ludzoną błyskotkami“ i dzięki tym błyskotkom zamienioną w pokorną służebnicę ciemieżców. Nie dziw, że poemat, kończący się namiętne wezwaniem: „Szczeknij z boleści i przeklinaj syna“ — znalazła obok namiętnych wielbicieli, zażartych także przeciwników. Dla jednych była to orgja szalonego gniewu człowieka „miotającego się bez pamięci na wspólną matkę naszą, której syn winien ręce całować, choćby nawet grzeszną była“. Dla drugich myślących zbyt po profesorsku, odznacza się utwór ten „brakiem prawdy w wyrażeniu, idei i uczuciu“. Dla innych znowu był „wypływem niepohamowanej pychy, którą poecie już przebaczone, ale która nie przestanie napępiać nas smutkiem“. Wreszcie głos ludzi, umiejących wnikać w tajniki duszy twórczej, orzekł — i słusznie — że „tak wspaniałej i głębokiej skargi na upadek ojczyzny nie pisał żaden z poetów naszych“.

Realniejsze, powiedziałbym, praktyczniejsze i dla mniej wytresowanych mózgów przystępniejsze kształty przybrał protest przeciwko spokojnej ofierze Anhellego w wspomnianym już wierszu do autora trzech psalmów, Zygmunta Kra-

sińskiego. Utwór ten należy do gatunku poezji politycznej i przesiąknięty jest duchem rewolucyjnej demokracji.

Walczy tu poeta z zarzutami, czynionemi ludowi, proroctwa o buncie nazywa majaczeniem, w chorym mózgu karmazyna wywołaniem karmazynowemi firankami, i z tą samą prawie mocą słowa, co w grobie Agamemnona, aczkolwiek więcej retoryczną, niż poetyczną, wyznaje, iż „zawsze miał tę pokorę, że żadnego nie kłął ruchu“, z tą samą potęgą wyrzuca Krasieńskiemu, iż „naród hasła czeka, a krzyk pierwszy z ust człowieka był okropnym krzykiem strachu“.

Przemawiał tutaj nie melancholijny tułacz po stepach sybirskich, ale natura — powiedziałbym — maratowska, będąca ucieleśnieniem gromu przeciwko spokojnemu zginaniu karku pod jarzmo społecznej, czy politycznej niewoli. Huczał tutaj bojownik nowych form życia, w dzisiejszych, powszechnie panujących pojęciach prawie że demagog, dla którego szlachta „szkodliwą jest nawałą, formą przeznaczoną na zniszczenie“, na ustąpienie miejsca innym świeższemu, zdrowszemu czynnikom społecznym.

„Formuła“ — mówi Słowacki — kuta od lat tysiąca, gniecie dotychczas, aczkolwiek jest spróchniała“ i dlatego trzeba użyć gwałtu na nią. Ten gwałt wsocjologii naszego poety zupełnie był uprawniony według niego myśl boża schodzi nie tylko z aniołami, „czasem Bóg ją we krwi rodzi, czasem zsyla przez mongoly“.

Protest ten, napisany w czasie, gdy Słowacki stał się zwolennikiem Towiańskiego i pogrążył się w mistycyzmie, mógłby na pierwszy rzut oka wywołać zdziwienie, gdyby wyobrażenia w nim zawarte nie stały w rzeczy samej w bardzo bliskim pokrewieństwie z jego historjozofją, tak, jak się ona ujawniła najwspanialej w Królu-Duchu.

Że tragiczne wypadki w r. 1846, straszna, obcą ręką wywołana rzeź galicyjska, wstrząsnęły poetą, jest to kwestją

bardzo zrozumiałą i potworną byłby on miał duszę, gdyby tak nie było. Buntu chłopą tarnowskiego przeciw szlachcie nie mógł Słowacki uważać za naturalny opór przeciw teorii spokojnej ofiary, za opór, który stanowi też zasadniczą myśl *Lilli Wenedy*. Wyszedszy z hipotezy o najeździe obcych plemion na spokojne szczepy tubylcze, przeciwstawił najeźdźcemu Lechowi i jego ludom spokojny, dobry, łagodny naród Wenedów, ginący właśnie dlatego, że był spokojnym i łagodnym, że — analogicznie do rad, jakie w Anhellim daje wygnańcom książdz Bonifat, szedł na śmierć dobrowolnie, bez oporu, że stracił wiarę w swą przyszłość, że umie tylko śpiewać i marzyć, a nie umie walczyć, nie umie krwi przelewać.

Nie trzeba atoli sądzić, że Słowacki, skazując w „*Lilli Wenedzie*“ cały naród na wymarcie, dał nam obok protestu przeciwko ofierze spokojnej także pieśń rozpaczliwego zwątpienia w przyszłość. Jest w tem, skazanem na wymarcie plemieniu antyteza *Lilli Wenedy*, płomienna, do strasznej burzy podobna *Róża Weneda*, która, zamiast spokojnej lutni, dzierży krwawą pochodnię — pochodnię siły, hartu i nieugiętej dumy. „Kto konając, uwierzy we mnie — mówi ta wróżka tytaniczna — tego ja zemszczę lepiej od ognia i wojny, lepiej, niżeli sto tysięcy wroga, lepiej od Boga!“

„*Lilla Weneda*“ jest ogniwem łańcucha dramatów legendowych, wśród których najpierwsze miejsce zajmuje „*Balladyna*“ poemat, skrzący się wszystkimi ogniami najfantastyczniejszych, najcudowniejszych feeryj Szekspirowskich, a obok tego posiadający w sobie najwięcej może tragizmu. Utwór to, jeżeli weźmiemy jego stronę psychologiczną, zupełnie nowoczesny — możnaby powiedzieć, że jest to zaprzeczenie wolnej woli, jako czynnika decydującego w życiu ludzkim; logika psychiki jest tu prawie zupełnie wykluczona. Na jej miejscu stoją tajemnicze, nieznane człowiekowi, od

jego woli, od jego rozumu niezależne potęgi, miotające tą wolą i tym rozumem jak liściem, który wichur oderwał od drzewa nadbrzeżnego i unosi go na spienione fale rzeki ogromnej. „Ludzie — powiada Małeckie — rachują tutaj i działają, pajęczce zaś ich planów sieci wiatr co chwila wikła i rwie przypadek; gdy raz się potknęli, coraz dalej w otchłan bezdenną popycha ich logika wypadków, fatalne własnych czynów złych następstwa; dodajmy jeszcze demonizm, a niekiedy udział w sprawie dziejowej palca bożego — a otrzymamy sumę krzyżujących się czynników, których wzajemne oddziaływanie wywiązuje się w sposób niespodziewany i przechodzący granice pojęcia ludzkiego“.

Palec boży w kształcie pioruna zabijającego Balladyne, jest kawałkiem tej czerwonej nici mistycyzmu, przewijającej się we wszystkich dojrzałych utworach Słowackiego — mistycyzmu, który popchnął Słowackiego do zajęcia się hiszpańskim poetą Calderonem — mistycyzmu, który widzimy w „Śnie srebrnym Salomei“, a który najpotężniej ujawnił się w historjografji Króla-Ducha. Utwór pełen to wybranych piękności poetycznych, jakkolwiek moralność jego sprzeciwia się teorjom o prowadzeniu ludzkości do szczęścia za pomocą środków łagodnych, sprawiedliwych. Kult bohater-skiej jednostki dochodzi tutaj do gloryfikacji tyraństwa — nadczołowiek Zarathustry poznałby się tutaj w niejednym szczególe. Salwuje atoli Słowackiego fakt, zaznaczany w poemacie tym niejednokrotnie bardzo dobitnie, że uwielbienie dla bohaterów, dla ludzi wielkich i ich okrucieństw, uwarunkowane jest zawsze celem bardzo podniosłym: nie uwielbia ich Słowacki dla nich samych, ale dlatego, że oni zbawiają ludzkość i Polskę — choćby nawet uciekali się do środków barbarzyńskich, gwałtownych, do wyrzynania, jak Popiel z Króla-Ducha, choćby najbliższych.

Wyobraźnia Słowackiego, niezmiernie bogata, błyskotliwa, ale i głęboka, umiejąca odtwarzać i rzeczy realne — jak to widzimy np. w potężnym „Ojcu zadziwnionych“ — była mimo ogromnej swej siły niezawsze samodzielna, choć być nią nie potrzebowała. Poeta brał zwykle pomysły już gotowe, ale obrabiał je na swój sposób, dlatego też bynajmniej do talentów naśladowczych w ścisłym tego słowa znaczeniu zaliczyć go nie można, boć i Szekspir czerpał całą garścią z tematów już gotowych, ale również w opracowaniu nadawał im piętno własnej wyobraźni, własnego ducha.

Fantastyczność, bujność natury Słowackiego, natury, która obok Grabea i Goplany stworzyła czarujące: „Smutno mi Boże“, a która tak kapryśnemi płynie falami w Beniowskim, ta fantastyczność nie przeszkadzała mu, zwłaszcza pod koniec życia — zajmować się sprawami realnemi, jak np. myślą o wyswobodzeniu ludu polskiego z pod jarzma pańszczyźnianego, nie przeszkadzała w prześlicznym testamencie wołać do żywych aby przed narodem nieśli oświaty kaganiec.

Człowiek, który czując się bliskim skonu, z serdecznem powiedział uczuciem: „żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami, nikt mi, kto szlachetny, nie był obojętny“, człowiek ten zasługuje na to, abyśmy równo serdecznem uczuciem otaczali jego pamięć.

Syn cierpiącego i walczącego narodu, śpiewający, że „dla ojczyzny sterał swoje młode lata, a póki okręt walczył, siedział na maszcie, a gdy tonął, za okrętem poszedł pod wodę“, zasługuje na to, aby ojczyzna była mu wdzięczną.

Nauczyciel i piewca, który Jezajaszowym wołał głosem: „Niech żywi nie tracą nadziei, a gdy trzeba, niech na śmierć idą pokolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec“, zasługuje na to, aby ci żywi go słuchali.

O KONOPNICKIEJ

KONOPNICKA JAKO POETKA SPOŁECZNA

Chcąc mówić o Marji Konopnickiej, jako poetce społecznej, nie mam oczywiście zamiaru dotykać wartości artystycznej jej utworów, ograniczę się do wyłączenia z nich tego, co w pierwszym rzędzie zyskało jej sławę powszechną, co nazwisku jej wyrobiło popularność wśród mas najszerszych, popularność, pod względem której współzawodniczy z nią chyba jeden tylko Henryk Sienkiewicz.

W ostatnich dniach, kiedy w sposób iście królewski czczono dwudziestą piątą rocznicę jej — że użyję wyrazu dziennikarskiego, który tak często obijał nam o uszy — rocznicy zaślubin z poezją, można było zauważyć dwa charakterystyczne fakty: z jednej strony obwołanie Pani Konopnickiej urzędową niejako poetką proletariatu, z drugiej zaś strony usunięcie się od uroczystości jubileuszowych sfery klerykalnej, reprezentowanej przez tutejszy „Przedświt“.

Otóż na samym wstępie wypada mi zaznaczyć, że Konopnicka nie może być nazwana poetką proletariatu, jeżeli ostatni ten wyraz rozważać będziemy ze stanowiska utartego dziś znaczenia polityczno-społecznego, i że dalej wspomniane warstwy klerykalne nie miały najmniejszego powodu do tego rodzaju milczącej bardzo wygodnej demonstracji, ponieważ w mimo pewnych nawet błuźnierstw nie ma ani jednej strony, któraby zasadniczo rozbieżny stanowiła czynnik z pojęciami chrześcijaństwa. Przeciwnie: poezja p. Konopnickiej ma duszę wielce religijną — i na każdym prawie kroku daje ona dowody pewnego

nawet czysto katolickiego sposobu zapatrywania się na sprawy najwyższe, albowiem w pierwszych zwłaszcza poezjach, bo w późniejszych spotykamy się z szlachetnym panteizmem — przypisuje ona bóstwu atrybuty niemal ludzkie, atrybuty samodzielnym królów, od których woli zależy uregulowanie nieznosnych, niesprawiedliwych stosunków społecznych, a którzy tego niewiadomo z jakiej przyczyny uczynić nie chcą.

Niema ani jednego przykrego objawu w życiu, któryby nie nasuwał jej myśli o Stworzycielu, Rządcy i Sędzi świata: fakt, że ludzkość nie umiała dotychczas wyrzucić z łańcucha swego bytu ogniwa wojny, stwarza w poetyckiej wyobraźni jej płomienny obraz Boga w postaci gromu, burzy i błyskawicy i nasuwa jej pytania, które katolikowi powierzchownemu mogą wydawać się buntowniczymi, które jednak w rzeczywistości nie są niczem innym, jak tylko bólem naiwnie wierzącego dziecka, że Ojciec, którego dziecko to kocha nie troszczy się po ludzku o swoje stworzenie, że prawdzie głośnego nie daje krzyku, że obojętnie patrzy na to, jak z trudem i mazurem zdobywamy sobie wiedzę, że wickom orlich nie daje skrzydeł w dążeniu ku dalekiemu ideałowi, że pozwala, aby ludzkość w pochodzie swoim ustawała i traciła swe plony, że mdlejącej z pragnienia światła nie każe pić blasków słonecznych, że w zmierzchy dziejowe kroczy po omacku „krwawiąc piersi i głowę“.

A po tych i po podobnych wyrzutach następuje zwykle pośrednio, lub bezpośrednio wypowiedziana prośba błagalna, ażeby przecież ten Stworzyciel, Rządca, Sędzia i Ojciec zlitował się nad dolą świata, ażeby ludzkości zanurzającej się w głębinach dozwolił wyjść z pożadanymi skarbami, ażeby ludzkości pragnącej szybkość ku słońcu rozpiął skrzydła.

Prośby te wypowiada poetka niejednokrotnie w formie wykrzyknika, w formie nieokreślonego westchnienia, ale

właśnie te wykrzykniki, te westchnienia właśnie wskazują na to, że bunt jej duszy nie wypływa z bezdenne go pesymizmu, który uznając, że wszystko złem być musi nie szuka pośrednictwa żadnych wyższych instancji, bo nie wierzy w ich moc, w ich siłę, bo nie wierzy w nie sama — bunt p. Konopnickiej wypływa z wiary w te instancje, p. Konopnicka nie jest pesymistką.

Nie mamy prawa naturalnie doszukiwania się pobudek, dlaczego przeważny nastrój poezji Konopnickiej ma charakter społeczny: widocznie taki już jest nastrój jej duszy, jeżeli byśmy jednak pragnęli odpowiedzieć sobie choć w przybliżeniu dlaczego społeczny nastrój ten ma taki właśnie kierunek, taką właśnie barwę, to zdaje mi się, nikt nam nie odmówi prawa szukania źródeł pierwszych jej emocyj w czasie, w którym przyrodzone skrzydła jej do tak rozległego i tak niejednokrotnie wysokiego rozwinęły się lotu.

Epoka, w której p. Konopnicka dojrzewała, odznacza się wielką nienawiścią do poezji. Po pogromie roku 63, kiedy na społeczeństwo nasze padły nowe klęski, najszlachetniejsze skądinąd umysły skłonne były do szukania przyczyny tych klęsek w przewadze uczucia nad trzeźwym rozsądkiem, a że widocznem ucieleśnieniem tego uczucia w umysłowym życiu narodu jest sztuka, a przedewszystkiem poezja, dlatego też wszystko złe, które nas spotkało zwaiano na nią, tem bardziej, że nasza polska poezja romantyczna była najsilniejszym, najpotężniejszym ucieleśnieniem uczuć i pragnień narodowych. W prasie zwłaszcza warszawskiej tak zwanej postępowej roilo się od brutalnych na poezję napaści; każdy objaw ducha, odbiegający od literackiej gloryfikacji inżynierów, właścicieli kantorów bankierskich, porządnych, pracowitych dzierżawców, identyfikowano z czułem śpiewaniem o makolągwach i gilach, a już kiedy pozytywiści spopularyzowawszy na gruncie naszym jakąkolwiek teorię naukową i jakkolwiek wywarlszy

wpływ na swoich czytelników, chcieli wyrazić triumf z powodu „wytrzeźwiania“ się społeczeństwa, to wyrażali go w wykrzyku, że „poezja zdradziecka wytrzeźwionych umysłów oczadza już nie będzie!“

W tej barbarzyńskiej na poezję wyprawie zapomnieli jednak o drobnostce — mianowicie o tem, że poezja jest integralną częstką duszy zbiorowej, że na chwilę można ją wygnać z przybytku ludzkiego, ale ubić jej nie można. To też poezja powróciła.

Prawda, że w pierwszych chwilach odczuto potrzebę zamykania w rytm i rym pewnych hasel użytkowych, prawda, że nawet taki twórca z Bożej łaski, jak Asnyk, miał chwile w których odbiegał od snu grobów, od marzeń w zatokach bajouńskich, a natomiast analogicznie do owych osławionych wierszy o kielni i młocie ćwierkał o doniosłości postępu — że trzeba z żywymi naprzód iść, atoli niebawem poezja zrzuciła ze siebie fartuszek służebnicy, odwinęła napowrót zakasane rękawy praczki i przybrawszy się znowu w majestatyczny płaszcz, którego ludzie tak zwani trzeźwi, oplwać nie mogą, stała się znowu tem, czem jest, wspaniałą, cudotwórczą królową.

Mieszaniną służebnicy i królowej były pierwsze poezje p. Konopnickiej. Obudził się w niej talent wielki, rwąc ją do lotów podniebnych, a równocześnie przesiąkała mimowoli atmosferą otoczenia. Miała w duszy swej zawiązki szczerej, nieszczęściami narodu głęboko dotkniętej obywatelki — bo każdy prawdziwy poeta jest obywatelem — szukała dróg, któreby naród z nieszczęść tych wywiodły i drogi te znalazłszy w ludzie pracującym, lud ten uczyniła istotnym bohaterem swej pieśni.

Równocześnie jednak — i w tem szukać należy pewnych pierwiastków służebniczych — usiłowała rozlewne morze swych wielkich uczuć społecznych zamykać w ramy formuł i for-

mulek społecznych. Na szczęście jednak formułki te okazują się przy głębszem wniknięciu w jej twórczość, zwykłą, naturalną zupełnie daniną dla prądów czasu, zwykłemi ostatecznie dość rzadkimi, dość wąskimi przyczepkami, ażebyśmy nie mieli prawa mówić niemal wyłącznie nie o chłodnych, wyrozumowanych, do pewnych ściśle określanych systemów zmierzających zasadach, zaczerpniętych z pierwszego lepszego podręcznika nauk socjologicznych, ale o wielkich uczuciach społecznych.

Fakt, że p. Konopnicka nie była na obchodzie, urządzonym dla niej przez tutejszą partję robotniczą, nie może rzucić cienia na jej odczuwanie gorzkiej doli ludu pracującego, nie może podać w wątpliwość prawdy, że pomiędzy twórcami współczesnymi ona odczuwaniu temu najrozleglejszy, najwszechstronniejszy dała wyraz, i że wyraz ten najbardziej jest zbliżony do ducha przyszłości, obwieszczającej nam emancypację tego ludu. Rewolucjonistka w duszy, ma jednak lęk przed wichrem mocnym, który ma przyjść i wstrząsnąć światem i widząc krzywdy wyrządzane ludowi przez możnych, nie posiada jednak odwagi wypowiedzieć słowa, że i nienawiść dla krzywdzicieli może w pewnych chwilach mieć uprawnienie — przeciwnie, samotna idąc wśród nocy ducha nienawiści przeklętym nazywa — a w walce ściśle określonych stronnictw politycznych, zachowawczych, czy radykalnych widzi równocześnie ducha wolności i ducha zdrady i dlatego hasła nie szuka jak mówi ani po prawicy, ani po lewicy świata.

Z tego jednakowoż nie wynika, ażeby nie widziała zbliżającego się gromu pomsty, aby nie widziała, że z łez niewolników, i z krwi ich i potu wieki utworzą, jak z kropelek wody ogromną, czarną chmurę piorunową, która pożarem ogarnie narody — z tego nie wynika, aby nie słyszała odgłosu dalekiego grzmotu — aby słysząc go nie wołała: To przyszłość idzie!

NASZ LUD

Gdyby wyrazy „prawdziwa biesiada literacka“ nie należały do tak bardzo już zużytych, tak często nadużywanych frazesów, to byłyby one może najodpowiedniejszymi do określenia wrażeń, jakie liczna publiczność wyniosła z onegdajszego odczytu p. Konopnickiej.

Jeżeli już samo nazwisko znakomitej poetki posiadało urok przyciągający, to cóż dopiero powiedzieć o tak niezmiernie aktualnym temacie jak „nasz lud“ i to zwłaszcza dzisiaj gdzie lud stał się niemal punktem środkowym naszego życia publicznego. Głębokie współczucie, którem p. Konopnicka otaczała i otacza w przepięknych poetyckich utworach swoich prostego chłopca, tego oracza i siewcę przyszłości, powszechnie jest znane — to współczucie zaliczano też do najgłówniejszych czynników, wysuwające ją na jedno z naczelných miejsc w naszej poezji.

Zarzucono p. Konopnickiej idealizowanie ludu, twierdzono niejednokrotnie, że malując duszę chłopską i wyciągając z tej duszy horoskopy przyszłości całego narodu, posługuje się poetka zbyt słonecznymi barwami, zbyt wielkim daje się powodować optymizmem: onegdajszy odczyt mógł być najupartszych przekonać sceptyków, że prelegentka patrzy na lud nasz trzeźwemi oczyma, co więcej, że zapatrywania jej na masy ludowe — co do ich stanu dzisiejszego — są może nawet zbyt mało wlewające otuchy. Spróbujmy zapatrywania te w najgłówniejszych treściach zarysach.

Powiedziała p. Konopnicka w ciągu odczytu swego, że dawniejsi historycy czy kronikarze rozpoczynali rzecz swą od początku świata; dla zachowania ciągłości zacznijmy i my streszczenie nasze ab ovo.

Otóż na wstępie wywodów swoich — nawiasem powie-

dziawszy — w przepyszej wygłoszonych formie, zaznaczyła prelegentka, że gdy uczeni innych narodów skierowywali badania swe nad ludem ku fizycznej stronie przedmiotu, to u nas, przy małym stosunkowo zainteresowaniu się zagadnieniami społecznymi, pozostawiam stronę tę na uboczu, zajmując się wyłącznie duszą ludu, jego umysłowością i jego charakterem. Pomimo to jednak, a może w części dlatego właśnie lud pozostał u nas czemś nieznanem, czemś obcem. W ogólności stosunek nasz do ludu wciąż jeszcze świadczy o wielkim rozłamie tego, co powinno być szarmonizowane, o przepaści, dzielącej dwie różne od siebie części społeczeństwa, części, które jednolitą stanowić powinny całość. Rozłam ten, różnica ta istnieje nie tylko w sferze interesów ekonomicznych ale i w dziedzinie zjawisk moralnych i umysłowych; rozłam ten tak się uzewnętrznia w społecznym życiu naszym, że możnaby go nazwać stanem wzajemnego przeszkadzania sobie.

Szukając przyczyn tego rozłamu, a idąc dalej — bierności, nieruchomości i obojętności dla jutra, znamionującej zdaniem prelegentki masy ludowe, nakreśliła p. Konopnicka w treściwy, a piękny sposób obraz momentów dziejowych, które wywołały przepaść dzielącą lud od nieludu. Przyczyn tych pełno jest nie tylko w naszym stuleciu i w wieku poprzednim, sięgając korzeniami swymi w daleką przeszłość, jakkolwiek im bardziej cofamy się myślą wstecz, tem większą znajdujemy społeczeństwa jednolitość, będącą charakterystycznym piętnem w życiu pierwotnych szczepów i ludów słowiańskich. Ludy te i szczepy nie znały tego rozłamu, jaki dzisiaj na nieszczęście narodu naszego istnieje między nami.

W krótkim streszczeniu sprawozdawczem niepodobiestwem byłoby wiązać za panią Konopnicką ogniwo za ogniwo tego wielkiego łańcucha historycznego jaki roztoczyła przed nami prelegentka, zresztą daleko ważniejszą dla nas doko-

nana przez nią charakterystyką dzisiejszego ludu naszego. Zaznaczyć tylko wypada, że czynniki historyczne składały się w pierwotnem państwie polskiem na ujednostalenie społeczeństwa: weszło ono za Bolesławów na drogę zbawiennego postępu i potrzeba mu było tylko „chcieć dopomóc, albo przynajmniej nie chcieć mu przeszkadzać“ aby dojść do rezultatów odmiennych, aniżeli te, które w niekorzystny dla nas sposób ujawniają się w dobie współczesnej. Ustawodawstwo Olbrachtowe wydzielające przepelnioną miarę przywilejów stanowi rycerskiemu, przykuwające lud do ziemi, złamało naród, a ta jego część, „która nie chciała położyć granicy swojej przewadze ani się zespolić z masą ludu dla dobra kraju, lud ten odepchnęła, a potem zdeptała“.

Logiką faktów z zewnętrzną stroną tego rozłamu postępowała także i wewnętrzna, psychiczna strona dziejów. Szlachta zaczęła się coraz to bardziej wyodrębniać nie tylko pod względem takich zewnętrznych objawów jak strój i język, ale także pod względem obyczajów i umysłowości. Zarzucano wszystko, co było znamię ludu, a przybierano to, co mogło odróżnić pana od sługi. Wolna od przymusowej pracy, posiadająca zbytek środków materialnych, mogła szlachta oddać się swobodnie kształceniu swej duszy, nabywaniu tych choćby towarzyskich przymiotów, które ludowi z natury jego służebności, z natury nałożonego nań jarzma, musiały stać się niedostępnymi. Podczas gdy formy panów stawały się coraz gładszemi, lud zamknięty przymusem w ciasnem kole swych współtowarzyszy niedoli, zachował i wykształcił swoje cechy pierwotne: dawał folgę gwałtowności swych uczuć, rubaszością zabarwiał swe obyczaje, w sferę towarzyskich stosunków z równymi sobie sługami wprowadzał zmysłowość. Tam u góry rozwijała się coraz większa dwor-skość, tu u dołu, kwitło w całej pełni pierwotne prostactwo,

którego złagodnieniu sprzeciwiały się istniejące, niezmiernie dla ludu uciążliwe warunki.

Ciężkie te warunki nie zabiły jednak w ludzie uczucia, niedola przytłumiła je, wpychała je w głąb duszy, skąd niejednokrotnie wybuchały — jak pięknie powiedziała prelegentka — pieśnią i łzami. Ale uczucia te przybierały także — jak zaznaczono wyżej — formy gwałtowne: lud łamał obowiązki swoje, dopuszczał się nawet zbrodni; ale to samo powiedzieć trzeba i o szlachcie, której dzięki szczęśliwszym warunkom przecież łatwiej było „trzymać łokcie przy sobie“. Nie można więc powiedzieć, ażeby moralność jej była wyższą od moralności ludu — wogóle szlachta w przeszłości polski nie wyszła z pod pendzla p. Konopnickiej, opierającej się na dokumentach historycznych, w barwach zbyt różowych. W stosunkach z chłopem szlachcie był twardy, nieużyty, szorstki, surowy, pelen egoizmu, zarówno o podniesienie ekonomicznej doli ludu jak i jego poziomowi moralnego niewiele się starający. Nie dziw więc, że chłop, takiego mając nad sobą pana, nie mógł wyrobić się w obywatela; nie dziw, że pod obuchem takich stosunków deptał prawo, nie mając otwartej drogi do jego zwalczania, uciekał się do środków niemoralnych, jak podstęp, chytrość, oszustwo i jawny gwałt. Nie dziw więc, że na tak ponurem tle dziejowem nie mogło i malowidło chłopca dzisiejszego wypaść zbyt dodatnio, pomimo całej sympatji, jaka onegdajszy przenikała odczyt. Czy jednak barwy użyte przez p. Konopnicką na sportretowanie współczesnej masy ludowej nie są zbyt ciemne? Powiedziała prelegentka, że lud w masie swojej jest bierny, nieruchomy, obojętny na jutro, niedbały, leniwy, usiłując wady te uniewinnić warunkami dziejowemi. Przez wieki harował chłop na cudzej glebie, więc naturalnie brakło mu bodźca do wyrobienia w sobie pracowitości i dbałości; lenistwo

weszło mu w krew; pracuje on dzisiaj tylko tyle, aby najniezbędniejsze zaspokoić potrzeby.

Przez wieki zmuszony słuchać pańskich tylko rozkazów, własnej nie mający woli, przesiąkł biernością; znamionuje go brak inicjatywy, którą posiada szlachta, a która, jak tyle innych przymiotów historycznego również jest początku. Charakteryzując umysłowość ludu, zaznaczyła prelegentka, iż umysłowość ta różni się od intelektu warstw przed nim stojących, przede wszystkim brakiem zdolności do abstrakcji, do kształtowania pojęć, do uogólniania — mózg chłopski operuje głównie faktami, nie ideami.

Nie wchodząc w istotę punktu ostatniego, który może jest słuszny, sprawozdawca chciałby, co do moralnej strony duszy ludu skromną uczynić uwagę. P. Konopnicka oświadczyła na wstępie, że zna tylko lud w Koronie, że natomiast lud galicyjski jest jej obcym. Zdaje się, że prelegentka nie widziała także chłopą poznańskiego. W przeciwnym bowiem razie byłaby się przekonała, że generalizując wady naszego ludu nie zupełną miała rację: Lud poznański dawno już się wyzbył tych wszystkich przywar, o jakich mówiła p. Konopnicka jako o spuściźnie wieków. Nie jest on bynajmniej biernym, nie jest bynajmniej leniwym. Chłop poznański poszukiwany jest w Niemczech jako znakomity robotnik, a u siebie w domu jest wzorem znakomitego gospodarza. Że mu nie brak inicjatywy, na to dowód choćby w tłumnych jego pielgrzymkach za pracą — do Brandeburgji, do Westfalji, prowincyj nadreńskich etc. Co więcej, brak lenistwa i bierności objawia się także w jego pracy na polu narodowym. Dziś Wielkopolska stoi chłopem: przeważna część ludności wiejskiej posiada wielkie poczucie obywatelskie i obowiązki narodowe spełnia z gorliwością, której pozazdrościć by mógł niejeden z tzw. warstw przodujących.

A i chłop galicyjski wykazał w ostatnich latach niezmiernie dużo energii, niezmiernie dużo siły woli w obronie swych praw politycznych, nie mówiąc już o znanej ekonomicznej zapobiegliwości naszych „Mazurów“. Lud w Poznańskim doszedł własną pracą do znacznego dobrobytu, a lud zachodniogalicyjski wstępuje w jego ślady. Nie zaznaczyła tego prelegentka i dlatego, sądząc po wadach i przywarach, które miała i po części jeszcze ma, ale których w pospiesznem pozbywa się tempie, po wadach, które scharakteryzowała p. Konopnicka w sposób tak dosadny, możnaby niewiele na przyszłość mieć otuchy. A przecież, patrząc na dzisiejsze przejawy życia naszego, otuchę tę w całość posiadamy pełni.

O co tylko idzie? o to, że widząc u ludu przejawy innego życia, niż dotychczasowe powinniśmy w myśl wspaniałych haseł, któremi nabrzmiała jest przepiękna poezja p. Konopnickiej, w myśl ducha, jaki przenikał i odczyt onegdajszy, pracować z wyteżeniem wszystkich sił nad uogólnieniem i ujednolicieniem tych objawów, aby szeregiem czynów narodowych zasypać przepaść, która jednakże nie jest już na szczęście tak głęboką, jakby się na pierwszy rzut oka wydawać mogło.

„Czerpmy — mówiąc słowami onegdajszej prelekcji — ze skarbnicy wiedzy, uwielbiajmy i twórzmy piękno — ale przedewszystkiem szukajmy wielkości duszy w masach społecznych. Będzie to szczytne i płodne zadanie“ — a zadanie — dodajemy to od siebie — wdzięczne, bo w ludzie naszym bogaty, szlachetny — mimo wiekowej niewoli nie zniweczony do szczytów — znajduje się materiał.

Nie potrzeba dodawać, że odczyt wypowiedziany został w ślicznej formie, a publiczność zebrała się w tak mnogiej liczbie, jak tego od bardzo już dawna nie mieliśmy sposobności oglądać. Jest to dowodem, jaki urok wywiera imię znakomitej poetki.

KAROL BRZozowski

Czoło, owinięte białym turbanem, strojnym w kitę piór czaplich, na kaftanie pas purpurowy, za pasem kindżał, w ręku dubeltówka — oto jak wyglądał trzydziestokiloletni wówczas poeta, kiedy, nawałsawszy się dosyć po cywilizowanych krajach zachodu, schronił się w dziewicze lasy Anatolji i tutaj, uganiając się za zwierzyną, wzbudzał podziw i trwogę u Turków. Z pod zawoju „migaly ocz błyskawice“, a z czarnych, ogorzałych lic widać było, że to człowiek, który oddawna nie miał dachu nad sobą, że burka służyła mu za namiot, mech i murawa za pościel. Pomimo to czuł się szczęśliwym i dumnym, a junacka zuchwałość przebijala się w płomien-nych słowach:

„Jak okiem sięgniesz wzdłuż, wpoprzek wszędy,
Od mórz obojga za grzbiet Allendy
Mówią, że jest to kraj Padyszacha;
Ale mnie Turek wita ze strachem!
Drwię z Padyszacha, z jego Allacha,
Ja, Czarny Łowiec, tu Padyszachem!“

Tak ongi „grzmiał pieśnią“ nad wschodnie dywany przenoszący kobierce „z konwalij, bzów i tulipanów“, nad cudne kąpiele w Tolmabakczy, dwieście stóp wody, z łoskotem spadającej do wanny, w granitowych wyżłobionej skalach. Tak szumiał „Kara-Andzi“ i wygrażał się bisurmanom, że, aby jasno mu było w drodze, Aki-Kaway podpali i luną skutarskie obleje bramy. Tak huczał tułacz niedobrowolny i dzikimi rytmami zwał z siebie „żelazną górę“ tęsknoty, „krocie

bomb kłótwami sypał“, „z głupiej lzy obcierał ślepie“, „sadził piorunami“ i dodawał sobie wesołości i otuchy, dowodząc, że nad sławioną janczarkę, muzykę padyszacha, miłsze mu jest granie ogarów, huk rusznic i odgłos trąbki myśliwskiej, a nad „sultańskie z ryżów biesiady“ wspanialszą wieczerza z dzika, upieczonego na kłodach bukowych, uczta spożywana w Ossjanowskim nastroju, „przy starych pieśniach i dębów gwarze“.

Dziś postaci Karola Brzozowskiego inna odpowiada nazwa, wyrzeczona również z dzierżaw, zamieszkanych przez wyznawców proroka: „Kara-Andzi“ zmienił się w „Ak-Babę“, *Czarny Łowiec* w „Białego Ojca“.

Przygarbił się nieco ten starzec, ósmy dźwigający krzyżyk; głową chwieje, jak świerk odwieczny, smagany wichurą; długą, siwiuteńką brodę chowa pod brunatną, chłopską siermięgę, w której często spotykam go na ulicach naszego Lwowa. Ale z pod brwi krzaczastych błyszczy para oczu niewygasłym płomieniem młodzieńczym, a gdy mówi o zadaniach poezji, to z werwą domaga się od niej tej siły i tego hartu, co zasadniczą zawsze był cechą jego własnej duszy twórczej:

Ma w sobie Brzozowski coś z niestrawionej żywotności Tycjana. Wielki artysta ten powiedział w dziewięćdziesiątym którymś roku życia, że dopiero teraz, niemal w przeddzień śmierci, poznał, jak właściwie malować należy: i Brzozowski przepiękne rzeczy tworzył w leciech podeszłych. Znajduje się przede mną rękopis przekładu Salomonowej „Pieśni nad pieśniami“, a pod ostatnią strofą widzę rok 1870. W Mezopotamji, w Teredżach nad Tybrem, zbliżał się poeta do pięćdziesiątki, gdy porwany zmysłowym urokiem tego najpotężniejszego, najognistszego z hymnów miłosnych, zabrał się do przybrania go w suknię mowy ojczystej.

Transkrypcja dyszy wschodnim żarem oryginału, pełnym

zapachu nardu i galbanu, i gdyby nie kilka drobnych skaz w formie, skaz, nawiasem powiedziawszy, łatwo dających się usunąć, mielibyśmy dzieło wyborne.

A dwanaście lat przedtem śpiewał, jak młodzieniec, któremu pierwsza uśmiecha się miłość:

„Czem się dzieje, moje słońce!
Że spokojne serce moje,
A na pierś mą spływające
Drżą twych włosów złote zwoje.
Bo podbita twą jasnością,
Dusza ma wybiegła z łona,
Drży zachwytem i miłością,
U twych włosów zawieszona.“

Ta płomiennność i świeżość uczucia przenika i dramatyczne utwory Brzozowskiego.

Karol Brzozowski, syn oficera wojsk Napoleońskich, urodził się w Warszawie r. 1821. Uczył się w szkołach pijarskich we Włocławku, a następnie w Sejnach, Suwałkach i Marymoncie i od wczesnej już pory, jak większa część poetów, zaczynał, pod wpływem ballad Mickiewicza, składać wiersze, wyrabiające mu sławę pośród kolegów. Zamilowanie do literatury rozbudził w nim prof. Andrzej Lange, a stosunki z ludem wydały pierwszy rzetelny, uwagi godny plon, który stał się źródłem natchnienia dla takiego choćby pisarza, jak Lucjan Siemieński.

Ze strzelbą na plecach włóczył się młody wychowaniec szkoły agronomicznej po nieprzebytych puszczach litewskich — ojciec otrzymał rządową posadę leśniczego — i z puszczych tych, z nad wybrzeży Niemna — wyniósł zbiór pieśni ludowych przetłumaczył je na język polski i wydał w r. 1844 u Żupańskiego w Poznaniu.

Mieszkając w Dreźnie tłumaczy „Osmanidę“ dubrownickiego Gundulicza, pisze poezje, których ilość wraz ze stworzonymi poprzednio wystarczyłaby na cztery tomy. Niestety, jak później, tak i teraz z utworami swymi obchodzi się z karygodną lekkomyślnością.

Wybierając się w podróż za granice Niemiec, do Szwajcarii i Paryża, powierza rękopis gospodyni drezdeńskiej, a ta rzuca go do ognia i gubi pracę, do której, poeta wielką przywiązywał wagę. Zdawało mu się, że przekład „Osmanidy“ zachowa jego imię w potomności przez kilka przynajmniej pokoleń, a wiara ta uprawnioną była tem bardziej, ponieważ opierała się na zdaniu takiego znawcy, jak Mickiewicz. On to zachęcił młodego pieśniarza, aby wytrwał w zamiarze dokończenia dzieła, notując na marginesie przesłanego mu rękopisu następujące słowa: „Jak zajął mnie przekład, najlepszym dowodem są uwagi, które nad nim porobiłem. Gundulicz znalazł kogoś, co go zrozumiał. A więc naprzód!“

Nauka udzielona mu tak niefortunnie przez bojaźliwą gosposię, poszła jednak w las: Brzozowski nigdy nie nauczył się szanować płodów swej muzy. Raz je wyrzuciwszy z siebie i przesławszy jakiemuś pismu w kraju, najchętniej *Dziennikowi Literackiemu* we Lwowie, przestał zupełnie troszczyć się o ich przyszłość.

Nigdy poezyj swoich nie zebrał razem i ztąd to pochodzi, że mimo wielkiego talentu zbyt mało znany jest ziomkom.

Nigdy też „Kara-Andzi“ nie poprawiał swoich utworów, pisząc je w lesie, na łące, przy zakładaniu drutów telegraficznych, którymi, jak „garnek stłuczony, odrutował całą Turcję“, kreślił je zaś ołówkiem na świstkach, na mankietach, na kołnierzykach. Po jarach Anatolji, po wertepach Kurdystanu, po falach Eufratu i Tygru, trudno było nosić ze sobą libry papieru i wygodne przybory do pisania. Zresztą na gładzenie

i kopjowanie autor „Parku-Bożego“ nie miał nie tylko czasu, ale i cierpliwości. W poezjach jego widać też niejedną usterkę, którą trzeba położyć na karb tej gorączki twórczej, tego tułaczego pośpiechu.

Najpłodniejszym był zdaje się, Brzozowski około roku 1853 do 1858, w tym bowiem okresie najczęściej spotkać można rzeczy jego w wspomnianym już tygodniku literackim i w innych (np. w dodatku miesięcznym do *Czasu*), w tym okresie powstał też większych rozmiarów poemat epicko-liryczny, przepyszna „Noc strzelców w Anatolji“, której w pierwszym rzędzie zawdzięcza Brzozowski swą sławę.

Wspaniałe opisy przyrody współzawodniczą tutaj z humoru pełną gawędą szlachecką i z liryką, przemawiającą do serca mową uczuć, których sile trudno się oprzeć bez wzruszenia, a nawet łzy w oku.

Zaraz z początku co za obraz:

„Ponad Anatolji skały,
Księżyc w pełni skronie wzniosł;
Czarne cienie olbrzymiały, —
Tu gród jakby cudem wzrósł,
Przewrócony na murawy;
Tu dziwaczne drżą podstawy
Dębów, ramienistych buków;
Tu wysmukły cyprys dumny
Długiej ciałem legł kolumny,
Pośród wielkich, śmiałych łuków; —
A tam dalej, patrz! na łące
Jak w nieładzie się rozsiada,
Rozpościera się gromada
Wielkoludów. Patrz, tysiące
Zadumane i milczące;

Turbanami kryte głowy,
Widok niemy a surowy.
Czy Allacha wierna rzesza
Zwiedzić Mekki gród pośpiesza?

.
Nie Allacha wierna rzesza
Zwiedzić Mekki gród pośpiesza,
I nad rzeką, tu, pod lasem,
Rozłożyła się popasem.
To, co księżyc tak zabawia,
Zamki, grody pyszne stawia
I kamienie ze cmentarzów,
Porozrzucił na murawę.,
Groźną nadał im postawę:
Wyglądają na mocarzów.
Lecz ot księżyc się zamierzcha,
Patrz, jak dumna rzesza pierzcha;
Padyszachów znikły cienie
I napowrót masz kamienie.
Nagle ogień buchnął w płomień,
Ludzie siedzą przy płomieniu;
Na twarz padł czerwony promień,
Rozlał się po ich odzieniu,
Po kindżałach spłynął błyskiem,
Światłem nagie skały drasnął,
W wodzie układał się ogniskiem
I na czarnym lesie zasnął...”

A takie przekomarzanie się Kurpia ze Żmujdzinami, którzy znalazłszy za rzeką Wieloną jakiś przedmiot ze skóry, ani rusz, nie mogli zrozumieć jego przeznaczenia: jeden z nich mówił, że to jest komża, drugi, że to jest torba podróżna,

inny znowu, i to ksiądz, przetarłszy oczy i napatrzywszy się do sytu, zawyrokował, że to futerał na siekiere, a żaden z nich ani się domyślił — najzwyczajszego w świecie buta. Ale dziwić się temu nie można, bo wszakci najmańdrzejszy z Litwinów, Władysław Jagiełło, przybywszy do Krakowa, gdzie „mieszczanie i kmiotkowie w butach z podkówkami pono już rzucają matki łono, butów nigdy kłaść nie umiał“.

Te swojskie żarty, te anegdoty, zaprawione niewinnym sarkazmem, dziwne, na tle potężnej, dzikiej, górskiej przyrody, wywołują wrażenie.

Kiedy niekiedy przypomina się szczek szabli zawadjackiej szlachty zagonowej w nieśmiertelnym „Panu Tadeuszu“.

Wschód, który w r. 1853 przyjął go do siebie na całe lat trzydzieści — wywołał go tam za poradą Mickiewicza generał Wysocki — nadał poezji Brzozowskiego szczególne piętno, nigdy jednak nie pozbawił jej tej barwy rodzimej, która przemawia do nas swem ciepłem.

Czytasz jakiś obraz gorący, zdaje ci się, że masz przed sobą któregoś z arabskich pieśniarzy-farysów, czujesz, że to pejzaż nie z nad Niemna, ani Wisły ani Gopła, że brak mu falujących łąnów zboża, że zbywa mu na murawach, obsianych młeczem, zarosłych krwawnikiem i babką, a wtem naraz myśl twoja staje przy ustępie, zawierającym bezbrzeżną tęsknotę do tego właśnie zboża. Innym znowu razem duch poety, nasyciwszy się blaskami słońca, fantastycznością kształtów gór, widokami błuszców, pnących się naokoło buków i dębów ogromnych, zatapia się w głębiach mistycznych, widzi przechadzającego się „Starca-Ogrodnika“, który coraz to nowe sadi drzewa, coraz to nowe sieje kwiaty i pilnuje, aby „Park-Boży“ jaśniał zawsze tą chwałą jego głoszącą pięknnością. A innym razem przed oczyma pieśniarza

cały ten świat dziki i uroczy zmienia się w jakiś pełen grozy obraz dantejski.

Wchodzi do czarnej parowy, do której, jak do piekła wielkiego, posępnego Florentczyka, nigdy promienne nie zajrzało słońce, widzi głązy, mechami porośłe, naokoło nich odrażające grzyby, po ścianach salamandry, a nad niemi émy rozkołysane. Krople wody w mierzonych pluszczą przestankach; w szarej mgie siedzą i leżą potworne kamienie, zasypane liściem wilgotnym. Nagle szum jakiś się zerwie, i dwie wielkie, ogniste źrenice zatapiają się w nieustraszonego myśliwca, a ten, zdumiały wpatruje się w tę paszczę ze splotami Meduzy nad czołem, i potem — gdy дума mężka zabrania mu się cofnąć, mierzy i w paszczę grzmotem wypala. „Ze strasznym łoskotem pieczara grom ten oddała mu echem, a szatan podziwem zawtórzył i śmiechem...” „I — mówi poeta dalej: —

...wybuchnęły z pieczary straszydła,
Bijąc i klaszcząc w potworne swe skrzydła,
I przeleciały mi szumiąc nad głową
Jak chmura, z chłostą pędząca gradową.
Po strzale cała pieczara się dymi —
I cisza; w głębi gdzieś skrzydło owada
Dzwoni lub z pluskiem kropla wody spada:
U stóp mych puchacz skrwawiony olbrzymi...”

Od takich obrazów roi się w utworach Brzozowskiego.

Z Mezopotamji, z Kurdystanu, z Anatolji, z Bułgarji, z pod stóp gór Rodopy, posyłał poeta utwory swoje perjodycznym pismom polskim. Oprócz kilku większych rozmiarami, jak „Lew ogniasty“ opisujący walki ludów kaukaskich, taki przykład księgi Hioba, o którym Wincenty Pol powiedział ongi, że „aby tak przetłómaczyć, trzeba być tułaczem, poetą i pisać

na pustyni“, oprócz „Deli Petki“, „Snu w Bałkanach“ i innych, powstały w okresie włóczęgi po wschodzie drobne, przepiękne utwory liryczne, odznaczające się nietylko szczerem uczuciem, lecz i formą doborową. Pod tym względem możnaby śmiało nazwać Asnyka uczniem Brzozowskiego. Sonety, oktawy, a przede wszystkim wschodnie gazele, mają wdzięk takiej świeżości i tak różnobarwnymi odznaczają się kombinacjami rytmu i rymu, że uchodziłyby mogły za utwory najlepszych naszych współczesnych wybrednisiów poetyckich.

Czytam np. taki urywek:

„Ach spłyn do mnie, spłyn z obłoku,
Córo krasy i uroku,
Gwiazdo moich snów!
Spłyn z obłoku i obliczem
Czarodziejskiem, tajemniczem
Mnie zabłyśnij znów.
O spłyn tu do mego łona
Wymarzona, niewcielona!
Szatę bóstwa zwiej:
Myśli moich, snów kochanko!
Odziej się choć drzewa tkanką
Choć traw szatę wdziej!

Nie potrzebuję czytać drugi raz, aby mi w duszy nie zadźwięczał utwór innego poety, który przyszedł po Brzozowskim — lotna, wdzięczna, iskrząca się djamentami „Aszera“ El...y'ego.

Albo taka perła poezji miłosnej:

„Kiedy ma dusza leci ku tobie,
Nie puszczaj twej na spotkanie:
Mogą się spotkać w pół drogi obie —

A wiesz, co potem się stanie?
Ot w pocałunkach, szeptach, pieszczocie,
Zdolne utonąć wiek cały —
Nie myśląc, że tam, biedne, w tęsknocie
Po nich się ciała zostały“.

Prześliczną jest „Mimoza“, ogromnie wdzięczna „Ośle-
piona ptaszka“ której we wspomnieniu

„szumi wonny gaj,
Zielone sosen śmieją się namioty:
Wietrzyk pieśniami gra miłości raj,
I ptaszka daje i bierze pieszczoty.

I oto w srebrny uderzyła głos,
A coraz wdzięczniej, donioślej, weselej!
Drżą zda się na nim wszystkie perły ros,
Wiosny się na nim kołyszą anieli..

Ptaszka prześpiewa i noc tak i dzień,
Aż pan jej duszę z skrzydełek odczepi:
Lecz nie tak lekko uleci jak cień,
Dusza bezbożna, co ptaszkę oślepi...”

Chciałoby się przytoczyć niejeden jeszcze wiersz zapomniany, lub spoczywający dotychczas w poźółklej tece, którą mam przed sobą; widzę jednak że przekroczyłem już granicę zakreślonej z góry sylwetki jubileuszowej.

Duch Brzozowskiego prawie nigdy nie spoczął, to też liczba utworów jego jest dość znaczna. Samych dramatów znamy aż siedem, a większych rzeczy epicznych lub też epiczno-lirycznych będzie blisko tuzin. Oryginalny w życiu, oryginalnym był „Biały ojciec“ i wówczas, gdy tworzył.

Interesujący obrazek tych „bólów brzemiennych“ daje nam T. T. Jez: „Zwykle jest on (Brzozowski) bardzo koleżeński i wesół, lubiący gawędkę i umiejący rozpowiadać rozmaite prawdziwe i prawdopodobne anegdoty, ale niekiedy chmurnieje, zamyka się w sobie, i ani z nim się dogadać. Proś go o co, to właśnie zrobi to, o co nie prosisz. Czasami położy się i przeleży... dwa miesiące. Czasami przez dwa miesiące nie dotknie strzelby i ani spojrzy na nią. Takie paroksyzmy są jego brzemiennością. Nosi on podówczas w głowie płód, który albo poroni albo też wynosi i porodzi; wówczas potrzeba obchodzić go zdaleka, a najlepiej zostawić go samemu sobie — niech fermentuje“.

A dalej: „Brzozowski wtedy nieprzytomnym się stawał; w izbie osobnej zalegiwał, spał lub też na wznak leżał, w sufit się wpatrywał; niekiedy na świstkach coś ołówkiem kreślił. To „coś“ były to strofy, oktawy i sekstyny. Pisał je od ręki prawej do lewej, pismem, które jeno w zwierciedle odczytać było można...“ Jeden z takich dokumentów, kreślonych od ręki prawej do lewej („Noc strzelców w Anatolji“), znajduje się w bibliotece Pawlikowskich we Lwowie.

Z dramatów największe budzi zajęcie „Malek“, po raz pierwszy przedstawiony we Lwowie w r. 1883.

Tragedja pięcioaktowa, której pierwsze trzy akty wykończył poeta jeszcze w r. 1849, ale których rękopis swoim zwyciężcem zagubił. Odnaleziono go w osiem lat później i przesłano go Brzozowskiemu z Rzymu. Cóż z tego!... poeta zgubił go ponownie i dopiero wracając ze Wschodu około 1880 roku, odnalazł go w Konstantynopolu i wykończył we Lwowie. Treść zaczerpnięta z niezbyt dawnych walk Tatarów krymskich, a do najbardziej wzruszających motywów należy początek aktu piątego, kiedy dziewczica Majuma, napół obłąkana po stracie płomienistego Omara, z zieloną gałęzią w rękę,

śpiewa o wianku, który zawiesi lubemu na szyi, a później znalazłszy krzesiwo, uderza nim o krzemień i potem na widok skier, rzuca go o ziemię wołając:

„Wytrysnął szatan! Tyś gryzł jego czoło,
Zgiń ty, przepadnij! w czarnej nocy zgaśnij!“,
A potem czule do przybranej matki Selimy:
„Nie słuchaj matko! zaśnij matko, zaśnij!...“

„Joannę Napolitańską“ drukowało niezbyt dawno *Ate-neum*; do tego pisma odsyłam ciekawych.

Z innych dramatów wymienić należy przedewszystkiem „Eryka XIV“, „Bojomira“ (niedok.), „Karola Levittoux“, „Formozę“ (przekład), „Do tarczy o pannę“ i „Oblężenie m. Lwowa“, rzecz z powodzeniem grywaną w teatrze Skarb-kowskim.

Wspomniałem już o przekładzie „Osmanidy“, „Pieśni nad pieśniami“ i „Hioba“. Obok tych tłumaczył Brzozowski Herwegha, Schillera, Goethego, Uhlanda, Huga, Koernera (Zrinyi), Lenau'a (Jan Żyzka) i wielu innych, zwłaszcza arabskich i perskich poetów.

Mimo lat blisko osiemdziesięciu zachował „Ak-Baba“ niezwykłą pogodę umysłu. Jest dowcipny, z humorem np. deklamuje piosnki ludowe (nawet tłuste), a zadowolenie z losu maluje wybornie jeden z ostatnich jego wierszy, napisany niedawno, a który tutaj w całości (po raz pierwszy w druku) przytaczam:

„Pan łaskawie prządlł dni moje,
Krzyża nie dał nad me siły;
Wonie, śpiewy, żywe zdroje
Znój i troskę mą koily.

I jak lilji kwiat bogaty,
Choć nie przędła sukni sobie,
I mnie pan ubierał w szaty
K'woli ziemskich dni ozdobie.

I jak ptaszka, co nie sieje,
A ziarenka jej nie zbraknie,
Nigdy nie rzekł: „Panie! dnieje,
A od wczoraj ciało łaknie!“

A gdy drogą szedłem smętną,
Ja gołąbkę miałem białą,
To jej w sercu mojem tętno
Krwi stygnącej ciepło dało.

Nie zostawiam nic po sobie
I zabieram same długi,
Wdzięczność, wielki Panie, Tobie,
Wdzięczność nieudarnej sługi.

Chylę się jak kłos dojrzały,
Na żniwiarza czekam cichy,
Może zdmuchniesz, jak puch biały,
Lekkie ziarno — lecz nie pychy...”

Pychy nie miał nigdy i nie ma ten starzec szlachetny, ale
ma duszę prawdziwego pieśniarza.

O WŁADYSŁAWIE ŚLEWIŃSKIM

Drogi Panie Władysławie!

Pozwól Pan, że obyczajem praktykowanym zagranicą, pierwszą wystawę dzieł Twoich we Lwowie, gdzie przepędziłem tyle lat życia, kilkoma powitam słowy.

Mam zupełną świadomość, że Panu rekomendacje nie potrzebne, tem mniej od człowieka, stojącego zdala od cechu zawodowych znawców sztuki, nie biorącego udziału w bezpłodnych sporach o manierę i szkoły, nie uznającego żadnych innych prawideł „estetyki“, prócz oka i duszy artysty.

Jeżeli jednak odważyłem się prosić Pana, abyś nazwisko moje umieścił na czele swego katalogu, do ubiegania się o ten zaszczyt popchnęła mnie potrzeba serca: pragnąłem publicznie wyrazić Ci hołd jako prawemu twórcy, który, wierząc, iż „sztuka czy piękno“ — przepisuję tu Pańskie wyrazy — „to przykazanie boże czy prawo natury“, od przykazania tego w dotychczasowej działalności ani na krok nie odstąpił, nie dając się skusić uznanym gustom i towarzyszącemu im powodzeniu zewnętrznemu.

Poznaliśmy się przed kilkoma zaledwie miesiącami, na wsi, w obliczu majestatycznych olbrzymów tatrzańskich: ale i ten krótki przeciąg czasu, przeżyty na rozmowach z Panem i na dyskretnem podpatrywaniu pracy Pańskiej, wystarczył, ażeby dawne przekonanie moje, że jedynem prawidłem „estetyki“ — nie lubię tej nomenklatury — to oko i dusza artysty, jeszcze się bardziej we mnie utrwaliło, ażebym śmiało i otwarcie mógł wyznać, iż takie oko i duszę znalazłem w Panu.

Dwa te czynniki nie idą u Pana obok siebie: są ludzie malujący, obdarzeni okiem, które im pozwala znakomicie chwycić kształty przedmiotów i, przy takiej technice, z tak zwaną prawdą — u nas „prawda“ nie przestaje się jeszcze równać ścisłości fotograficznej — przenosić je na płótno; nie brak też pomiędzy nimi organizacyj subtelniejszych, o duszy wrażliwej, wyczuwającej nastroj, rozlany w Przyrodzie, tem źródle popędów twórczych, że jednak nie posiadają oka, któreby umiało należycie ogarnąć formy, rozeznaczyć się w charakterze światła i cienia, przeto ich obrazy, pozbawione rysunku, nie dadzą nam wrażenia harmonji, niezbędnej dla „prawdy“ każdego dzieła sztuki.

U Pana oko i dusza stały się jednym organem, a może jaśniej, gdy powiem, że oko Pańskie nie tylko widzi, ale równocześnie i czuje, a dusza nie tylko czuje, ale i widzi, i to bystro i ściśle. Dzięki temu obrazy Pańskie przedziwną do mnie przemawiają harmonją.

Przyznam się, że kiedyś po raz pierwszy stanął przed nimi, odstręczyły mnie tą charakterystyczną grubą linią konturu, będącą chyba niepodzielną własnością Pana; równocześnie jednak nie przestawały, jak gdyby chytrze, przynęcać źrenicy i wkrótce tak ją do siebie przykuły, że już potem odwrócić się od nich nie mogła. Pamięta Pan, com Panu kiedyś w tej sprawie powiedział: Że mianowicie, kto się dobrze Pańskim przyjrzał malowidłom, ten nie wiele znajdzie u nas innych, któreby go istotnie zainteresować mogły.

Gdybym tak nie znał Pana, jak, pochlebiam sobie, że znam, byłbym skłonny przypuścić, iż do takiego prymitywu rysunkowego, popycha Pana rozmyślna chęć uderzenia widza, jak gdyby kulakiem w tym celu, aby raczył się zająć ręką, która mu cios ten wymierzyła, i, przypatrzwszy się lepiej, prze-

konął się, że w tych liniach nie tylko nieskalany jest rysunek, ale że w ich ramach zawarta jest treść niezmiernie głęboka.

Oczywiście nie mam na myśli treści zewnętrznej, anegdotycznej, którą Pan, używający wyłącznie języka malarskiego, linii i koloru, będący wrogiem wszelkiej w malarstwie „literatury“, sprawiedliwie gardzisz; mówię o treści wewnętrznej, o tej prawdziwej, szczerzej poezji (prawdziwa poezja z literaturą nie posiada nic wspólnego), o tym intensywnym nastroju, przedzą smutku, melancholji czy tęsknicy okrywającym Pańskie krajobrazy morskie, a i nasze, śniegiem pokryte, zczerniałymi chałupami posiane, turniami Murania, Lodowego, Kosistej i Giewonta gwałtownie od widnokręgów odcięte pola poronińskie, które, z kępami jakby rozmgławionej olszyny, czujące oko i widząca dusza Pańska zaczyna przenosić na płótno.

A Pańskie kwiaty, te maki, te anemony, te słoneczniki! To nie doskonale fotografie rzeczy, które żyły, ale zgasły z chwilą, gdy się znalazły na kliszy, to odrębne, wiecznie żyjące indywidualizmy, zadziwiające nie tylko techniką (u nas i to zadziwia), ale przede wszystkim melancholijna muzyka Pańskiej duszy, grająca linią i barwą, dzięki oku, co nie tylko widzi, ale i czuje, dzięki duszy, co nie tylko czuje, ale i widzi, w doskonałą zlaną harmonję, w rzeczywistość — choć „tylko“ malowaną — prawdę życia, — choć „tylko“ wyobrazonego“.

Drogi Panie! Pewnego razu siedziałem w Comedie française, na sztuce lichej, zajmującej się jednym z tych marnych problemów bieżącego życia, które przemijają, zanim druga choć trochę głębsza — naturalnie nie Labiche’a — raczy na nie zwrócić uwagę. Grano ramotę tę z właściwym aktorem francuskim patosem. Raził mnie rozdźwięk pomiędzy płaskim charakterem sztuki, a jej, jak mi się w pierwszej chwili zdawało, napuszystą interpretacją. A jednak w tym samym mo-

mencie zastanowiłem się mimowoli nad tem, że przecież komedja, grana na scenie nie jest rzeczywistością, a tylko jej odbiciem i że tę różnicę, jeżeli w farsach, to w istotnych dziełach natchnienia w jakikolwiek sposób zaznaczyć trzeba. Aktorowie francuscy czynią to z mniej lub więcej zręcznym patosem, aktorów naszych hołd, palony bezwzględnemu realizmowi, doprowadził do tego, że z desek wszelką wyrzucili poezję, że słuchać w ich nieodtworzeniu ale, że tak powiem, zeziemszczeniu n. p. Słowackiego prawdziwą jest męką.

Dlaczego Panu o tem wspominam? I co wywołało we mnie to przypomnienie? Kwestja portretu. Tego rodzaju płócien Pańskiego pendzla znam kilka — zaliczam do nich i tę przedziwną Pańską przyjaciółkę „Dąbkową“ z Czarnego Lasu („W kościele“) i tego Góralika-sierotkę, którego oglądałem w Pańskiej pracowni, a który, o ile wiem, pojechał do Wiednia.

Patrząc na nie, przychodzi mi na myśl, że gdybyś Pan był aktorem, nie „zziemszczył“ byś Słowackiego, że zapomocą słowa i ruchu, powiedzmy raczej, dźwięku i gestu kazałbyś Pan kreacjom jego żyć ich życiem poetyckiem, tak jak ono wyszło z muzycznej duszy wielkiego poety. Inaczej: Pan nie jesteś „realistą“ czy „naturalistą“ w znaczeniu utartem, nie jesteś Pan kopistą „oddającym“ przyrodę choćby nawet z pozorami duszy. Portrety Pańskie, odznaczające się zewnętrznem podobieństwem, nie są zewnętrzną rzeczywistością.

Malowane środkami tak samo, jak krajobrazy niezmiernie prostemi i czysto malarskiemi — bez mieszania się np. do środków rzeźbiarskich, bardzo często z tą samą grubą, ale rysunkowo niezmiernie prawidłową linią, czasami jak gdyby płaskie, portrety te nie starają się, aby widz miał złudzenie żywego człowieka, nie pragną — i to ze skutkiem — wywołać wrażenia danego życia indywidualnego.

Dzięki Pańskiej umiejętności — niech się Pan nie gniewa za to wyrażenie, ale w danym wypadku jest ono dla mnie równoznacznikiem Pańskich odczuwań — a więc dzięki Pańskiej umiejętności nadawania oczom pewnego wyrazu, pewnego układania figury, życie portretów tych przybiera cechy, leżące poza życiem indywidualnem.

Od czasu, kiedy w tak mydlkowaty sposób nadużyto u nas pojęcia o symbolu, wyraz ten może nam się obrzydzić, a przecież nie mamy innych środków słownych na określenie pewnego charakteru, pewnego dzieła sztuki, dlatego też muszę i ja powiedzieć, że portretowe Pańskie indywidua zmieniają się w symbole. Klasycznym tego przykładem jest dla mnie wspomniany powyżej sierotka. Chłopaczyna, niczem nie różniący się od innych swoich towarzyszy; takie same portki, taka sama koszula czy kapelusz, jak u syna choćby najbogatszego gazdy (górale swych dzieci na codzien nie stroją), ani jednego elementu, ani jednego ruchu, specjalnie wskazującego na losy chłopaka (n. p. płacz, torba żebracza, podarte ubranie), a przecież oczy i niesłychanie proste ułożenie postaci (na krześle, w pracowni, bez najmniejszej, sztucznej pozy) przemawiają do nas przejmującym językiem — Pańskiej duszy, która z wielkiem współczuciem, a spokojem powiada zapomocą barwy i linji: te biedne dziecięta na świecie!

Jak w pejzażu unikasz Pan wszelkiej fantastyczności, tak w portrecie wyrzuciłeś Pan za piec czy na śmietnisko wszelkie literackie szpargalki, wyrażające się w alegorycznych emblematkach, mających ilustrować chwilowy czy ogólny nastrój malowanego modelu.

Urywam, bo i tak widzę, że przekroczyłem miarę užyczonych mi kilku wierszy w Pańskim katalogu, ale pozwól mi Pan, przy końcu, wyrazić jeszcze jedno życzenie: iżby dusza Pańska, tak wewnętrznymi nićmi związana z Przyrodą i z falującym

morzem, z śniegiem poronińskim, z modlitwą „Dąbkowej“ z dziwnym blaskiem, lśniącym w kątach oczu Góralika, nie zraziła się do swoich, do których Pan po dwudziestu latach powróciłeś z gwaru paryskich bulwarów czy z nad wybrzeży ulubionej Bretanji, jeżeliby Cię swoi niezawsze należycie pojęli i ocenili Pańską sztukę.

MIKOŁAJA HUSSOWSKIEGO

„PIEŚŃ O ŻUBRZE“ i „PAN TADEUSZ“

Mam zamiar przedstawić dostojnemu Zgromadzeniu oczywiście w rysach jak najogólniejszych — poetę, o którym u nas do niedawna jeszcze głuche panowało milczenie, a o którym i dzisiaj jakie takie wiadomości ma tylko szczupła garstka badaczy, zajmujących się epoką naszej poezji humanistycznej. Przywiódł nam Mikołaja Hussowskiego przed oczy w naszych czasach i ogromną przez to wyświadczył piśmiennictwu naszemu usługę, jeżeli się nie mylę, pierwszy prof. Pelczar, ogłosiwszy przed laty dziewiętnastoma sumptem Akademji Krakowskiej tomik jego poezji, będący co do naszej „Pieśni“ powtórzeniem pierwotnej, z r. 1523 pochodzącej edycji Vietorowej i kopji tej edycji, puszczonej w świat przez cesarską Bibliotekę petersburską w roku 1855 na podstawie egzemplarza, który Bibliotece tej darował Litwin, ks. Józef. Małyszewicz.

Jak dalece jednak, mimo rozpraw i notatek Pelczara, Jezionickiego, Rejowicza, Dembitzera, Ćwiklińskiego i innych, nazwisko Hussoviana jest niepopularne, dowodzi fakt, że nawet taki sumienny, choć w sądach swoich niejednokrotnie zbyt ciasny Chmielowski, w swojej sześciotomowej, roku tysięcznego dziewięćsetnego sięgającej „Historji literatury“ ani najmniejszej o poecie tym nie uczynił wzmianki.

Ale i ci, którzy się z Hussowskim zapoznali i nie skąpią mu uznania, nie zdobyli się jednak na otwarte, zastrzeżeń pozbawione zdanie, że wśród wierszujących pisarzy pierwszego okresu humanistycznego autorowi „Pieśni o Żubrze“ pierwsze należy się miejsce, że pod względem wyobraźni, pod względem zdolności plastycznego przedstawiania zjawisk przewyższa

on wszystkich, że nawet taki szczerzy i prawdziwy liryk, jak Janicki, zmienia niejednokrotnie uczucie na czułość albo obraca się w granicach dydaktyki i że dzięki temu i pod tym względem, pod względem siły uczuciowego wyrazu, Hussowski w okresie tym nie ma współzawodnika.

Historycznie, albo raczej temporalnie — gdyż pojęcie historyczności zbyt jest rozległe — Mikołaj Hussowski stoi w jednym szeregu z Pawłem z Krosna, z Janem z Wiślicy, z Andrzejem Krzyckim, Dantyszkiem i z wspomnianym już, tak sympatycznym Klemensem Janickim. Pod względem wewnętrznych walorów twórczych nie ma on z nimi, na ogół wzięwszy, nic wspólnego — mam zawsze na myśli główne jego dzieło „Pieśń o Żubrze“, wyjąwszy wspólność języka, wspólność zewnętrzną. Jak tamci, tak i on, posługiwał się mową łacińską, która w dystychach jego brzmi może mniej gładko, aniżeli w rytmach takich wyszkolonych rymopisów, jak Krzycki lub Dantyszek, której jednakże na szalę tutaj kłaść nie można. Wymawianie go przecież jednym tchem z tą całą plejadą wierszujących humanistów — wyjątek można uczynić poniekąd z Janickim — wynika z pewnych nieporozumień co do patrzenia na istotę poezji, nieporozumień, z którymi spotykamy się niemal codziennie, a dalej z przesadnych, nieco szkolarskich wyobrażeń o zasługach klasycznego renesansu nie tylko u nas, ale i w reszcie Europy, zasługach nie na polu kulturalnym wogóle, bo tutaj były one istotnie wielkie, lecz specjalnie w dziedzinie twórczości poetyckiej.

Wychodząc z słusznego założenia, że poezja powinna być wyrazem życia, krytyka życie to, jako substrat wynurzeń twórczych, w karykaturalny niejednokrotnie ścieśnienia sposób, wtłaczając je w granice objawów zewnętrznych. Stąd też nasze podręczniki, kształcące pokolenia, uwzględniają przedewszyst-

kiem, zwłaszcza jeżeli idzie o czasy dawniejsze, te utwory poetyckie, które słabsze lub silniejsze rzucają światło na pewne wypadki polityczne, na pewne prądy społeczne czy religijne, na zwyczaje i obyczaje danej epoki. Ponieważ z tego rodzaju światłem spotykamy się w rozlicznych epitalamiach i epitafjach, w odach, laudach i epistolach Krzyckich i Dantyszków, więc im też szczególniejszą poświęcamy uwagę. Zapominamy przytem zbyt często, albo jeżeli nie zapominamy, to zaledwie półgębkiem wypowiadamy prawdę, że uczone te produkty tak zwanego renesansu, który rozwojowi poezji narodowej w Europie nieobliczalnie wyrządzał szkody, gdyż lekceważąc sobie nicokrzese na pierwszy rzut oka pierwiastki rodzime, to jedyne źródło prawdziwej twórczości, przeciwstawiał im gładkie, wyhodowane, pozorami żywego kwiatu i owocu rumieniające się, ale odrębności ducha narodowego wrogie walory rzymskie i greckie — otóż zapominamy, że produkty te mają na sobie nawet nie suchotnicze piętna zjawisk umierających, ale wprost już cechy trupiej martwoty.

Oślepieni blichtrzem kunsztmistrzowsta czysto formalnego, imponującego zwykle tylko parwenjuszom, zdołaliśmy, jak dotąd, jeżeli idzie o naszych autorów łacińskich, wysunąć na czoło przedewszystkiem ludzi, którzy, na ogół wzięwszy, nie tworzyli, ale umieli pisać jak Horacy, Owidy i Wirgiljusz, natomiast dziwnym, a właściwie po tem, co powiedziałem przed chwilą, nie dziwnym zbiegiem okoliczności, pominęliśmy takiego istotnego twórcę, jakim był Hussowski. Na nim też, a po części i na Janickim okazuje się niweczające, albo przynajmniej tamujące rozwój poezji rodzimej zło renesansu. Tego rodzaju talenty, jak Janicki, a przedewszystkiem Hussowski w swojej pieśni „O żubrze“, gdyby pisali po polsku, a nie szli za powszechną wówczas, przez renesans

wprowadzoną modą uciekania się do cudzoziemskiej łaciny, stałoby się naprawdę wielkiej miary nowoczesnymi poetami narodowymi.

Ale i mimo obcego języka, Hussowski posiada w tem głównem dziele swoim tyle właściwości czysto rodzimych, że w związku z szeregiem innych szczegółów, na które choć przelotną zwrócę uwagę, utwór ten można z całem przekonaniem wewnętrznem traktować jako poprzednika Mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“, z którym, poza niezbędną w każdym istotnym plodzie poetyckim zdolnością plastycznego przedstawiania zjawisk, łączą go przedewszystkiem ogromne pierwiastki liryczne, pierwiastki uczuciowe, wyrażające się umiłowaniem ojczystego kraju, przejęciem się jego losami, rozkoszowaniem się jego przyrodą, a szczególnie życiem litewskiego „matecznika“, tajemnicami puszczy białowieskiej.

Interesującą jest historia tego poematu: Mikołaj Hussowski, biedaczyna, niewiadomo nawet skąd rodem, podobno z Husowa w okolicach Łańcuta, a może — jak chce Wiszniewski — i z pod Krakowa, gdzie zdaje się, klasyczne otrzymał wychowanie, jakkolwiek w spisie uczniów Wszechnicy Jagiellońskiej znaleźć go ponoć nie można, dostał się na dwór biskupa płockiego, Erazma Ciołka, i z nim, zapewne jako jego sekretarz, zawitał do Rzymu. Tutaj to... „Najjaśniejsza Pani“... — mówi Hussowski w dedykacyjnym liście do Królowej Bony — „Papież Leon X, rozmawiając pewnego razu o polowaniach na Północy, wezwał wymownemi słowy Pana Erazma, Płockiego Biskupa, wówczas Waszej Królewskiej Mości pełnomocnika przy nim, iżby pokazał mu w Rzymie wypchane sianem zwierzę, które my nazywamy żubrem. Kiedy Pan Płocki uczynić to obiecał i do Radziwiłła, wojewody wileńskiego, jak najszczegółowszą, skóry zwierza do-

tyczącą wysłał relację, polecił mnie, domownikowi swemu, ażebym o istocie tego stworu i o polowaniu na niego cośkolwiek napisał, albowiem pragnął okaz ten przedstawić Papielowi nie tylko w rzeczywistości, ale i zapomocą słowa“...

„Zdarzyło się niedawno — parafrazuje czy uzupełnia Husowski w poemacie swoim powyższy ustęp przedmowy — „że wraz z mnogim ludem

Igrzyska byłem świadkiem, które sprawiał Rzym.
Gdy walczyć rozpoczęły rozjuszony byki,
Parując swoim cielskiem srogich beltów gąszcz,
Gdy gniew dżganych kolcami coraz to zażarciej
Do coraz częstszych razów sprawną czeladź rwał,
Gdym patrzył z podziwieniem, jak szaleje wściekłość,
Okłaskiem podniecana i udręką ran,
Północne ktoś z przyjaciół mych przypomniał puszcze:
Począłem opowiadać, słuchając ich prośb.
O różnych mówię łowach i o zwierza sile
Potężnej... Lecz zaszkodził mi tu język mój,
Gdyż trud mi nałożono, bym w pieśni powtórzył
Me słowa i to zaraz — taki rozkaz mam...”

Prawdą jest więc, że to, tysiąc kilkadziesiąt wierszy liczące, *Carmen de statura, feritate ac venatione bisontis* nie powstało z własnego natchnienia poety, ale że uwielbiający zresztą światłego chlebobawcę dworzanin zabrał się do wyśpiewania swej pieśni na skutek nakazu z zewnątrz. Atoli prawdą jest również, tak mnie się wydaje, niezaprzeczoną, że natchnienie to nie tylko przyszło w samą porę, ale że wzrastało, potęgowało się w miarę postępów poematu, w miarę, jak autor „nawykły przez północne przedzierać się puszcze, zaszywał się w bór sosnowy“, ze skutkiem złym czy dobrym — zbłą-

dzieć można w lesie“ —, w tym celu, iżby „w pieśni jego przekrutny ryczał zwierz i echem rozegranem“ pokazał, „jakie na pieśń tę złożyły się podzwźwięki“ —

Qualis Hyperboreo solitus sum currere saltu,
Pinea nunc etiam lustra subire paro.
Quolibet eventu — silvae suus imminet error —
Rugiat in versu bellua dira meo,
Et reboante sono, quae sunt modulamina nostri
Carminis ostendat conspicienda simul“...

Nie jestem na tyle filologiem, ażebym mógł ocenić wartość językową utworu; jednakże wczytując się w niego i tłumacząc go na język, w którym powinien być ujrzyć światło dzienne, to znaczy na język ojczysty, miałem nietylko wrażenie, iż związane z tematem uczucie rozsadza krępujące więzy cudzoziemskiej normy, ale że i obrazowanie, mimo tej normy, dochodzi do potęgi tak plastycznej, iż równej nie mamy w poezji humanistów naszych i że analogji jej szukać należy w Mickiewiczu i to w pokrewnych tematem ustępach „Pana Tadeusza“, zajmujących się życiem borów litewskich.

Raczie sobie państwo przypomnąć polowanie na niedźwiedzia w czwartej księdze „Pana Tadeusza“, kiedy to „z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź na kształt gromu, kiedy wśród straszących, goniących, rwących psów na tylnych stanął nogach, kiedy, spojrzawszy w koło, rykiem strasząc wrogów, przedniemi łapami — to drzewa rwał korzenie, to pniaki osmalone, to wrosłe kamienie, waląc nimi w psów i ludzi; kiedy wyłamawszy drzewo i kręcąc niem, jak maczugą na prawo i lewo, runął wprost na ostatnich strażników obławy, na Hrabiego i Tadeusza; kiedy, gdy dwaj ci niedoświadczeni łowcy chybili, skoczył a oni utkwiony weń oszczep czterema

chwycili ramionami, ażeby ujrzeć z przerażeniem, jak z wielkiego, czerwonego pyska błysnęły dwa rzędy kłów, jak łapa z pazurami już na łby się spuszcza“... Raczcie sobie przypomnąć dalszy ciąg tego mickiewiczowskiego obrazu:

„Pobledli, w tył skoczyli i gdzie rzednie puszcza
Zmykali; zwierz za nimi wspiał się znów do góry
I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy“ — a potem,
ponownym podniecon wystrzałem:
„wyskoczył w górę, jak kot przed chartami
I głową na dół runął i czterma łapami
Przewróciwszy się młynćem, cielska krwawe brzemię
Waląc tuż pod hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajądły“.

Otóż mając to arcydzieło obrazowania poetyckiego przed oczami, zechciejcie teraz przyjrzeć się jednemu z odpowiedników w utworze Hussowskiego.

Ale przedtem jeszcze sam majestatyczny wizerunek żubra:

„Najdzikszы stwór ten w puszczach litewskich się rodzi,
A cielskiem tak ogromnem odznaczać się zwykł
Że kiedy leż, konając zwyciężon, pochyli,
Trzech chłopów może pośród jego rogów sięgać.
Lecz kark jego olbrzymi zbyt mały się wyda,
Jeślibyś inne członki z nim porównać chciał.
Brodzisko sterczy, w strasznych zwieszając się kudłach;
Płomienne ślepią sięją przeraźliwy gniew;
Potworne włosie grzywy spływa po łopatkach,
Kolana kryjąc sobą, przód i całą pierś...
Od innych sroższy stworzeń, albo też im równy,

Dla czleka jest li groźny, gdy go zranił człek.
Z największą też czujnością strzeże swego życia —
Wystawić sobie większej nie mógłby już nikt.
Ślepiami strzela wokół, zerka na wsze strony,
Najdalsze też wysledzi krańce swoich dróg.
Powieki ludzkiej nagle spostrzeże on drgnięcie,
Chociażby człek swe ruchy na uwięzi miał.
Najmniejszy szmer za sobą pochwyci uszami,
Baczący, by na tyłach przezornie się strzec.
Częstokroć też poważnym przechadza się krokiem,
Jeżeli nie lśnią strzały, nie błyszczą się broń.
Zaś ona, długie w ciebie utkwiwszy spojrzenie,
Przystaje, tak ją umie więzić ludzki wzrok,
Lecz jeśli wiedzie z sobą, troskliwa, swe młode,
Szaleje, chrzęstem broni uderzona w mig:
Straszliwym wieści rykiem swą okrutną wściekłość
To znak jest, by nikt zbytnio nie zbliżał się k'niej“.

To nie jest opis, to jest obraz, godny pierwszorzędnego artysty. A teraz, ażeby nawiązać do przytoczonego przed chwilą malowidła Mickiewiczowskiego, zechciejcie państwo wysłuchać urywku z wspaniałych po prostu łowów na żubra:

„Nasamprzód poraniły go“ (żubra) „lekkie pociski —
Sterczały w skórze pręty posłanych mu strzał.
Rozwścieklon, strasznie sapiąc drżącemi nozdrzami,
Gromadę łowców zmierzył spojrzeniem i wraz
Zwrot nagły uczyniwszy, w gwałtownych podskokach
Co prędzej ją uciekać; jeźdźce za nim w ślad
Z okrzykiem przeraźliwym puścili się w pogoń:
Rozlegał głos się w okrag, odbity od chmur.

Lecz gdy w szalonym biegu dotarł zwierz do miejsca.
Gdzie drogę mu tamował stos zwalonych kłód
Zatrzymał go wrzask łowców: odparty przystanął
I zdawał się namyślać, którądyby zbiec.
W tem ranę mu świszczący zadaje znów pocisk,
Ażeby go rozpętał jeszcze większy gniew.
Widzący, jak mu cielsko przeszywa żelazo,
W szaleństwo wręcz popada rozjuszony żubr,
Myśliwych okrutnemi przybija oczami,
Wciąż bacząc, gdzie najczęściej skupia się ich tłum.
Nasamprzód, rażąc krwawo, kieruje swe ciosy
Ku sforze rozszczekanej, potem wpada w lud!...“ A potem
„W gwałtownych mknąc podskokach, śnać większy z postaci,
W tym biegu wyciągniętej, sapie, parska wkrag,
Wiatr grzywą mu potrząsa, na oba ją boki
Rozwiewa. W takim kształcie wielki, dziki stwór
Naoślep w ogrodzonym rzuca się ostępie,
Szukając, czem nasycić okrutny swój gniew“.

Dla dopełnienia miary cierpliwości dostojnych słuchaczy nie mogę powstrzymać się od przytoczenia jednego jeszcze obrazu, tak wyrazistego, tak pełnego ruchu i barwy życia, iż mając go przed sobą, nie można powstrzymać się od rozpaczliwego niemal okrzyku: „Jaka szkoda, że utwór, pod względem ducha tak ściśle zespolony z niebem i ziemią polską, w cudzoziemskiej występuje przed nami sukni. Ale suknia ta łatwo zedrzeć się daje z tego dziwnego człowieka, który od współczesnych różni się jeszcze i tem, że, obrazy swoje czerpiąc wprost z Przyrody, nie posługuje się żadną figurą mitologiczną, przeniesioną z monumentalnych świątyń piosarzy greckich czy rzymskich w tajemnicze, dzikie ostępy litewskiego boru. A nie posługuje się niemi nie dla tego, iżby

ich nie znał, iżby za małe miał wykształcenie klasyczne — nie: jak gdyby podrzewając sobie z ówczesnych klasycystów włoskich, z którymi spotykał się w Rzymie, powiada, mając na myśli Dianę, patronkę łowów, którąby każdy inny pisarz ówczesny przy podobnej wprowadził okazji:

„Czy mam się zastanawiać, co rzec o Dianie,
Łowczyni i o którejś z towarzyszek jej?
Nie czas podziwiać krzywe łuki Apollina
I strzały, tak okrutne dla zranionych trzód!
Chrystusa, nie Jowisza czczę i nie Junony.
Lecz Matki Chrystusowej niech wzywa ma pieśń.“

A potem z niesłychaną wprost odwagą, bez obawy ściągnięcia na siebie miana barbarzyńcy, nie pojmującego intencji renesansowych, woła:

„Czyż godzi się baśniami zastępywać prawdę?
Pozwólcie mi to z nagą otwartością rzec
Wy wszyscy, co, fałszywej oddani nauce,
W poezji hodujecie starożytnych kłam...“

Powodował się więc w danym wypadku chrześcijańskim uczuciem religijnem. Ale uczucia tego nie brakło, w późniejszych przynajmniej latach życia, takim chrześcijańskim biskupom, jak Krzycki i Dantyszek, takim późniejszym żarliwcom, jak Sarbiewski, a przecież uczucie to bynajmniej nie przeszkadzało im rozkoszować się w wierszach swoich mitologicznymi metaforami sturożytnych poetów pogańskich. Nie! Nie samo tylko uczucie religijne wchodzi tutaj w grę! Hussowski posiadał ten niekłamiwy instynkt, który staje przy uchu każdego istotnego twórcy i szepce mu o drogach,

jakiemi kroczyć powinien, ażeby się twórczość jego nie zbłąkała, ażeby poezja jego była tem, czem z natury swej być musi, szczerym, wewnętrznym, to znaczy lirycznym wyrazem tajemnicy życia. Tego instynktu w takiej pełni, jak ten prawie całkowicie nieznany dworzanin biskupi, humaniści nasi nie posiadali, to też świetny pod względem zewnętrznym kunszt ich nie zastąpi braku natchnień istotnych. Spotykane zaś tu i ówdzie twierdzenie, że niektórzy z nich tak się starożytnym przejmowali duchem, iż można ich za prawdziwych uważać twórców, jest jednym z tych nieustannie jeszcze pokutujących absurdów, które w ocenę poezji karygodne, tumaniące wprowadzają balamuctwo. Mimikryzm, małpie, choćby nie wiem z jakiego przekonania płynące naśladownictwo form ongi może i żywotnych, odpowiadających duchowi wieku i tego lub owego narodu, ale z biegiem czasu przeżytych, a tylko sztucznie, choćby nawet z pozorami istotnej potrzeby wskrzeszanych, i to na obcym do tego gruncie było, jest i będzie zaprzeczeniem wszelkiej prawdziwej sztuki.

Instynktowne zrozumienie tej prawdy miał Hussowski; bez tego zrozumienia nie pokazalby nam — i o te właśnie między innymi obrazy chodziło mi przed chwilą —, jak szereg łowców

„Z przedziwną mocą w piersiach, każdy za swem drzewem
Stojący, na okrutny narażony skon,
Miecznikiem polyskując, pokrzykując zcicha
Dzikiego k'sobie zwierza przynęca, a ten,
Od huraganu szybszy, rzuca się na wroga,
Co chroni się za drzewo, odskakując w tył.
Daleki wzięwszy rozmach, potwór w nie uderza
Z chyżością niespodzianą, niby łysk i grom.

Na ziemię odwalone padają gałęzie,
A po nich ciężko stąpa ich niszczyciel, żubr.“

Bez tego zrozumienia, nie pokazalby nam dalej takiego głęboko poetyckimi, bystremi oczami zaobserwowanego, a nie od Horacych czy Wergilich zapożyczanego widowiska, jak owa walka żubra z myśliwym, który tylko trafunkowi zawdzięcza ocalenie od niechybnej śmierci. — Schronił się za drzewo —

„Śnieg biały skrywał drzewo — pod twardą a grubą
Powłoką silny chojar konary swe giał.
Żubr z hukiem weń uderzył, zadrżały gałęzie
Pod mocą łba, na ziemię padł ruszony śnieg
I, gęstą się na okrąg rozwiawszy kurniawą,
I pieśń i myśliwego zanurzył w swych mgłach.“

Bez tego cudownego, twórczego instynktu nie byłby nam pokazał — z całą poetycką prostotą — jak w wnętrzu lasu chowają się młode żubry, jak podążają w trop za ruchem matki, jak niebawem powalone przeskakują kłody, lub pędzą po równinie, i jak potrząsając różkami, pełne groźnych min, umieją w chyżym biegu brać szerokie rowy, jak w zapasach nieustannych miękkie ćwiczą ciała. Bez zrozumienia tej prawdy, że jednym z najpierwszych warunków trwałości poetyckiego dzieła jest jego niezależność od cudzych wzorów, a tem bardziej od wzorów, które, w całkiem odmiennych powstawszy warunkach, musiały ostatecznie zmienić się w próchno świecące — bez tego instynktownego odczucia, że jedynym wzorem może być Przyroda w znaczeniu jej najszerszem, nie byłby nam pokazał szeregu żywych scen z życia lasu, tworzących przedziwny analogon do wspaniałego Matecznika mickiewiczowskiego.

Ale kiedy Mickiewicz, przenosząc zjawiska społecznych układów ludzkich na stosunki świata zwierzęcego, stwarza cały ustrój hierarchiczny, w którym Tury, Żubry i Niedźwiedzie, „puszcz imperatory“ mają swoich ministrów w Rysiu i Rosomaku, swoich wasali szlachetnych w Dziakach, Wilkach i Łosiach, swoich dworzan i zauszników w żyjących z odpadków pańskiego stołu Orlach i Sokolach; kiedy z Rousseau'wską niechęcią do oświaty maluje obrazi dealnej Atlantydy, jak gdyby tęsknotą za komunistycznym współżyciem przesiąkniętą kopję Raju, w którym „dobre są obyczaje“, bo mieszkańcy puszcz „rządzą się sami“, bo „jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci, nie znają praw własności, która świat nasz klóci, nie znają pojedynków ni wojennej sztuki, jak ojce żyły w Raju, tak dziś żyją wnuki, dzikie i swojskie razem, w miłości i zgodzie“; kiedy nieśmiertelny autor „Pana Tadeusza“, w ten postępując sposób, wprowadza w tego rodzaju barwny obraz jak gdyby pewien odcień sztuczności, Hussowski w odpowiedniku swoim, malującym ustrój życia żubrów, jest może i prostszy, bezpośredniejszy, prawdziwszy.

„Wyrasta plód i w wielką przemienia się trzodę
I strzeże swych legowisk mocą wspólnych sił.
Nadzieja zaś spokoju polega na stróżu,
Co groźnie całe stado obchodzi li sam.
A rządy tylko piękny sprawuje i dzielny:
Po władzę idą samcy często poprzez krew,
Do strasznych nieraz bojów stają biedni wodze,
Ni jednej chwili pewnej nie daje im czas;
W zapasach o królestwo taka jest zażartość,
Że o tem, kto zwyciężył, rozstrzyga li śmierć.
A kto z tych walk wzajemnych wychodzi zwycięsko,

Nagrodę otrzymuje: władnie stadem, król.
Zwyciężon zaś na wieczne wychodzi wygnanie.
Samica kroczy smutna w swego pana ślad.“

Z zapalem woła Mickiewicz, ile jest winien drzewom ojczystym, kiedy to, narażając się na śmiech druhów, zamiast uciekającą gonić zwierzynę, polował w ciszy tych drzew na dumania, kiedy, zapomniawszy o łowach, na trawiastych siadywał kępach i patrzył na mchy siwe, na granat rozgniecionych jagód, na czerwień pagórków wrzosistych, na korale brusznic. I Hussowskiemu drzewa „radośnie pięły się w górę, tak wspaniale, że wspanialszych nigdy nie widział w życiu, drzewa, „nie płodzące wprawdzie owoców, ale przez to bynajmniej nie bezpłodne, gdyż do syta mające miodu i po-brzęku pszczoł“; i jemu naokół „różnym kwiatem woniały zagony...“

Świat Mickiewicza, ów wał, klód korzeni, trzęsawisk, zielsk zarosłych, kopców mrowich gniazd os, „konarów mchem kołtunowanych“, oparzelisk i mgieł, pniów, brodatych grzybami, „siedzących naokoło wody, jak czarownice kupa“ — świat ten, mimo niebezpieczeństw, mimo przemieszkujących w nim prześladowanych, topionych wiedźm, przecież „pełen rozkoszy“, wabił, więził Hussowskiego swym „trzaskiem, swem dudnieniem ziemi, swem ujadaniem sfory“, swemi szumami, wobec których „niczem są głośne huki najburzliwszych fal“. Zapuszczał się weń i na koniu, razem z innymi łowcami, choć wiedział, że:

„Na równych łatwo jeźdźcom rozwijać się polach
I drwić sobie, patrzący, jak szaleje zwierz.
Tu rzecz się ma inaczej“ — tu

„O kłody próchniejące potyka się koń,
Częstokroć mylą łowca wysypiska krecie
Lub wstrzyma ślizgawica, którą kryje śnieg.
Nie łatwo też omijać obwisłe konary,
Na ścieżkach niezliczonych skryta czyha śmierć.“

W takiej atmosferze rozwijał się wrodzony instynkt poetycki Hussoviana; bez tego instynktu ten, prawdopodobnie syn polskiego chłopca lub zagonowego szlachetki, który, sądząc po wynurzeniach zawartych w „Pieśni o żubrze“, był może i leśnikiem w majątku jakiegoś magnata i dziecko swoje od najwcześniejszych lat zaprawiał do polowania, do „twardego życia trudu“, który dziecko to uczył „przetrzasać kryjóWKi zwierzyny, przezornemi stopy tłumić szmer, by uchem lub nozdrzem zwierz nie odkrył zasadzki“, który „pocić mu się kazał pośród śniegów mroźnych, pocisków wielki ciężar na barki mu kładł, pasł oczy śmiercią zwierz, uszy graniem sfory“ — bez tego instynktu nie powiedziałby z dumą o sobie, że on „Polak, choć rzymskim pisarzom nie równy“, zwraca kroki swoje w gąszcz północną, bo do gąszczy tej wabi go najwspanialsza, cudowne echa gry Wojskiego przypominająca muzyka lasu. A muzyka to niesłychana: W jesienny czas bekowiska

„Powietrze rozegranym napelnia się rykiem,
Wierzchołki krzepkich dębów wraz przebiega dreszcz.
Świadomi powiadają, że nad wszelkie surmy,
Nad wszelkie dźwięki lutni idzie ten ich głos.
Przeróżne wszystkie tony w jedną się zlewają
Harmonję, ponad którą niema słodszych brzmień!

Ale niema też słodszych brzmień — i znowu gra Wojskiego — nad ową muzyką puszczy:

„Gdy zabrzmie wokół przestwór ujadaniem sfory,
O jakąż żądzę w łonie rozbudza ten głos!
A ta melodia krzyków, co, rwąc głuchą ciszę,
W tysiączny sposób pnie się, to spadają w dół!
A owy ryk, gdy niedźwiedź na oszczep się nabił,
Lub kwiki te żalosne, gdy z ran ginie knur!...
A razy te, dzikiemu zadane żubrowi,
Gdy w rykach przeraźliwych uchodzi już dech,
Gdy wściekły gniew nabierze postaci i straszne
Spojrzenia, oszalały, zacznie rzucać w krąg!
Gdy ranny tur potworną pocznie chrapać krtanią,
Wnet dreszcz przebiega wszystką naokoło gąszcz:
Zmieniając swoje kroki i podskoki groźne
Przybiera na się postać wszelkich gróz i trwóg“!...

Czy nie jest to owa przejmująca, knieje i dąbrowy ozywająca, głosy zwierząt naśladująca muzyka *Wojskiego*?
Czyż nie jest to owa w graniu jego zamknięta „łowów historia krótka“? Czyż *Mickiewiczowski* ustęp:

„Zadał znowu, myślałbyś, że róg kształty zmieniał
I że w ustach *Wojskiego* to grubiał to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się długo, przeraźliwie wyje,
Znowu, jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,
Ryknął, potem beczenie żubra świat rozdarło“ —

Czyż ustęp ten nie brzmi jak gdyby parafraza tamtego?

Albo raczej, czyż „łowów historia krótka“, rozbrzmiewająca w powyższych dźwiękach *Hussowskiego*, ustępuje w czemkolwiek, pod względem mocy plastycznego przedstawiania rzeczy, barwom i tonom analogicznej „historji“ *Mickiewiczowskiej*?

Pokrewieństwo wpadałoby jeszcze silniej w oczy, gdyby tłómacz, zamiast z umysłu, nie chcąc, o ile możliwości, uронić niczego, trzymać się elegjackiej formy oryginału, pozwolił sobie, co w rezultacie mógł był uczynić, na przykład, z zachowaniem wszystkich innych wewnętrznych właściwości poematu, w bardziej uchu dzisiejszemu odpowiadającym, rymowanym, trzynastozgłoskowym wierszu epickim. Szkoda, powtarzam, iż Hussowski jakkolwiek, głębokim wiedzion instynktem, umiał otrząsnąć się z ducha cudzoziemskiego renesansu, nie był przecież zdoln oprzeć się powszechnej, zimnemi ustami renesansu dyktowanej modzie i wewnętrznie całkowicie polskiej pieśni swojej w zewnętrzną, polską nie ubrał szatę.

Ale i tak, cześć instynktowi, który, zamiast na Wawel cypryjską przenosić Wenerę i Minerwę ateńską (Krzycki), albo krakowskich Kmitów porównywać z Achillami i, o hipokreńskich myśląc źródłach, wzywać pomocy Pieryd i całego Helikonu (Janicki), wołał, do ówczesnych nawiązując obyczajów, w prostym, a żywym pokazać nam obrazie, jak harcowała dzielna, rycerska młodź polska, jak świszczącemi pociski dziurawiła podrzucane w górę kołpaki, jak obarczona kolczanem, z przedziwną zręcznością przeskakiwała w biegu z konia na koń, jak od strzałów jej żurawie z obciętemi padały skrzydłami bez śladu jakichkolwiek innych ran i obrażeń na ciele.

Cześć instynktowi, który, zamiast kazać Gracji przylatywać nad brzegi Krozenty, Narwi czy Bugu, do Króź Apollinowych i tegoż „Apollina świątyń ochrończych“ w pocziwym szukać Pułtusku, a dbalej o oświatę narodu latorośli Chodkiewiczów wdzięczną płacić daninę w bażantach z Kolchidy (Sarbiewski), wołał patrzeć na to, jak

„o zakład
Przez rzeki się głębokie przeprowiała młódź,
Gdy dzika, rwąca fala pieni się i burzy
I, rosnąc, kłęb odmętów wylewa nad brzeg“ —

Wolał patrzeć na to, jak każdy z tej młodzi,

„owinąwszy w suknie,
Do krzywych, małych wideł wiązał oręż swój“,

tak, że

„W ten sposób koń piersiami tnąc szalone wiry,
Przenosił najbezpieczniej całą, suchą broń“ —

Wolał patrzeć i w cudownie plastycznych przedstawiać
nam kształtach, jak „Wartka wskoczyła młodzież“ i jak

„Stado płynie, głośno
Parskując, tylko nozdrza wzniesione nad głąb.
U karków wiszą jeźdźcy, tak że lewa ręka
We wodzie, zasię prawą trzymają się grzyw“ —

Wolał, na widownię i własną wysuwając osobę, powiedzieć
nam o tem, jak sam w tych harcach, w tych gonitwach, w tych
łowach namiętny brał udział:

„Niedźwiedzie kiedy giną, kiedy pada knur,
Gdy trwożne dzikie łosie zapędzają w sieci,
Gdy w potrzask miot niejeden idzie już na skon,
Od strzałów gdy ognistych trzęsie się powietrze.
Przeszyte kulą cielska gdy runą o ziem,
Gdy część, beltami jeźdźców ubita w szalonej

Nagonce, zlewa ziemię bryzgiem krwawych pian:
Gdy takie w głuchym lesie spełniały się sprawy,
Jam często dorównywał w trudzie druhom mym.
I rzeki-m, ufny w konia, przepływał — koryta
Dnieprowe, gdy przez wodę puszczał się mój zwierz...”

A propos: kierując się wyobrażeniami estetyki szkolar-
skiej, możnaby Hussowskiemu uczynić zarzut, a podobny
zarzut go też spotkał i to ze strony, która, mimo zastrzeżeń,
umiała przecież podkreślić doniosłość „Pieśni o żubrze” —
otóż na podstawie pojęć o tak zwanem „pięknem” w poezji,
wysnutych z wsłuchiwania się w dźwięki ściśle odmierzonych,
ale dzięki temu właśnie przeważnie zimnych kompozycji
klasycznych, możnaby, powtarzam, zarzucić Hussowskiemu,
że „wysuwając swoją osobę”, a łącznie z tem i innych dopu-
szczając się „dygresyj”, zamącił czystość utworu epickiego.

Nie należę do ludzi, którzyby przeczyli potrzebie archi-
tektonicznej struktury w dziełach sztuki; wszystkich nas
razić będą malowidła źle zbudowane, choćby, poza brakiem
zmysłu kompozycyjnego, odznaczały się wszelkimi innymi,
z istotą dzieł tych związanymi zaletami, jak uczuciowa siła
wyrazu, potęga plastyczna i kolorystyczna itp. Kwestja „wy-
suwania swej osoby” niema jednak z tem nic do czynienia.
Pierwiastek subiektywny, choćby nawet wyrażony gło-
sownem „ja” poety, przemawianiem, że tak rzeknę, „wprost
od siebie”, kompozycyjnej wartości utworu ani nie obniży,
ani jej nie podniesie.

Obniżenie istotnej, wewnętrznej, lirycznej wartości dzieła
uczujemy tylko wówczas, jeżeli poza owem „ja”, poza formą
„przemawiania wprost od siebie” kryć się będzie jednostka
wątpliwa, uzurpująca sobie prawo posługiwania się kategorjami
wrzekomo twórczymi, w rezultacie jednak nie mająca nic

do powiedzenia. Natomiast wartość tę potęgować będzie artysta mocny, którego „ja” nabrzmiało jest przeżyciami, a który nie chce sobie zadawać trudu obiektywizowania tych przeżyć i powiadamia nas o nich w kształcie wynurzeń osobistych, bezpośrednich. Wynurzenia tego rodzaju, wyrzucone gorącemi czy spokojnemi ustami — rzecz to obojętna — twórców szczerych, prawdziwych, są jednym z lirycznych pierwiastków dzieła, bez których i poemat epicki nietylko obyć się nie może, ale które wprost posiadać musi jako warunki trwania, warunki żywotności. Pozbawiony tych pierwiastków, podzieli dołę „Pukłów porwanych” i „Zofjówek”.

Zresztą co tu gadać. Pośrednio czy bezpośrednio wysuwali osobę swą wszyscy wielcy poeci nowożytni; obiektywny na pozór Szekspir i „obiektywny” Mickiewicz, którego „ja” chociażby w „Dziadach” triumfalnie święci imieniny; wysuwali osobę swą Słowacki, Shelley i Byron, ten ostatni w przedziwny sposób przemawiając „wprost od siebie” choćby w epickim „Czajld-Haroldzie”, a zwłaszcza w trzeciej jego pieśni, będącej, przy całej opisowości, ześrodkowaniem wszelkich ekstaz lirycznych. My dzisiaj wiemy, a raczej odczuwamy, że dzięki właśnie tym ekstazom, dzięki temu „przemawianiu od siebie” i mówieniu o sobie trzecia pieśń „Wędrówek” należy do szczytów poezji albiońskiego cudotwórcy.

Jeżeli zaś od czasu do czasu pojawia się hasło potrzeby poezji tzw. obiektywnej, hasło, podnoszone z mniejszym lub większym wrzaskiem z mniej lub więcej wymowną argumentacją nietylko przez estetów urzędowych, ale i przez ludzi nieuprzedzonych, jako reakcja przeciwko egzageracjom „lirycznym”, dziś jako reakcja przeciwko rzekomym wybrykom romantyzmu, to źródeł hasła tego szukać należy chyba tylko w tem, że faktycznych wybryków pod tym względem do-

puszczają się ludzie, nie zdolni odczuwać zjawisk życia, ale za to w nadmierny sposób zakochani — w sobie.

Tego pretensjonalnego zakochania w sobie niema ani śladu w lirycie Hussoviana — jeżeli mówi o sobie, to tylko w tym celu, ażeby, powołując się na swoje doświadczenia, na swoje przeżycia, przypieczętować w obliczu czytających prawdziwość dawanych nam obrazów, albo też dać uprawniony, bezpośredni, liryczny wyraz zakochaniu nie w sobie, lecz w przyrodzie ojczystej, w rodzinnej ziemi, ażeby dać wyraz trosce o losy tej ziemi. Czyni to w tak zwanych dygresjach, do których najwięksi uciekali się poeci bez ujmy dla swego dzieła, jak tego dowodem choćby znowu „Czajld-Harold“. Dygresje Hussowskiego o charakterze nawskroś lirycznym, nawet formalnie zapomocą odpowiednich i to przeważnie zręcznych zwrotów stylistycznych związane z resztą dzieła, są dzieła tego częścią integralną, są też jego największą ozdobą.

Czytając i tłómacząc „Pieśń o żubrze“, czułem, że twórczy instynkt poety kazał mu się doszukiwać tajemniczych, nie dających się porwać związków pomiędzy pogwarem i poszumem puszczy, a duszą narodu, którego był członkiem, i że odczuwszy ten związek, pogwary i poszumy te zestroił w poemat, mówiący nam o losach tej duszy.

Z takich samych poszumów i pogwarów, takich samych chwytając się „dygresyj“, stworzył i Mickiewicz czwartą zwłaszcza pieśń Ostatniego Zajazdu, tego polskiego arcydzieła światowej poezji dzisiejszej, a w którym również czuć głęboki oddech Polski.

Jedną z tajemnic, dzięki której opis zmienia się w malowidło, jest, obok pewnych warunków wyobraźni, przede wszystkim uczucie w znaczeniu jego poetyckiem. Po tem, co powiedziałem przed chwilą, domyślamy się już, że obrazy Przyrody, z których pewną tylko przytoczyłem część,

są u Hussowskiego wynikiem bijącego w oczy, wyolbrzymiałego umiłowania ojczyściej Przyrody, umiłowania, które, oczywiście, z równą siłą występuje także u Mickiewicza. Ale w parze z tem uczuciem idzie jeszcze jedno — głęboki pierwiastek obywatelski, intensywne, wprost fanatyczne przejmowanie się losami kraju, chlubienie się, jak w przepięknym ustępie o Witoldzie, przeszłością tego kraju, lęk o jego przyszłość, lęk, połączony z proroczą groźbą, wymierzoną przeciwko zdradzieckim krzyżakom.

Jednakże nie mówiąc już o humanistach, u których uczucie ma zawsze charakter zimnego brylantu, nawet u Mickiewicza — rzecz prosta mam na myśli „Pana Tadeusza“, a nie trzecią część „Dziadów“ — pierwiastek obywatelski nigdzie z taką potężną, bezpośrednią, liryczną nie wybucha mocą, jak u Hussoviana, kiedy, rozpamiętując krzywdy, wyrządzane Polsce przez krzyżaków, łączących się z Turkiem i Tatarem przeciwko tym, którzy zatrzymują nawalę pohanów, gromy swe w takim, bezpośredniości uczucia nabrzmiałem zamyka wróżbie

„Kto oko ma otwarte na przeróżne znaki,
Na rzeczy bieg, ten widzi, że bliski jest dzień,
Zbrodniarzu głodny! Własne pożeraj wnętrzności,
Od dzikich precz! Krwią własną syć śnieżysty łąn!
Żelazo na kowadło znoś i kuj łańcuchy,
Co dzieci twych lub własny twój obciążą kark.
Bóg rękę już wyciągnął i Pomście groźnemi
Ruchami przekazuje twój bezbożny czyn,
Nie rzucił dotąd gromu, mniemasz że da folgę?
Śmierć hyża, nieuchronna, gorzka idzie śmierć...”

Przekroczyłem miarę inauguracyjnego wykładu; prosząc jednak o dalszą, ostatnią już, chwilę cierpliwości, muszę

zwrócić uwagę na jeszcze jeden szczegół, wspólny Hussowskiemu i Mickiewiczowi. „Pan Tadeusz“ rozpoczyna się, poemat „O Żubrze“ kończy się apostrofą do Bogarodzicy.

Chyba nie było humanisty w Polsce, któryby nie poświęcił tytułu a tytuł wierszy Matce Boskiej. Ale jeśli nawet przyjmiemy że potrzeba napisania tych wierszy była wynikiem rzeczywistego uczucia, to uczucie to albo całkowicie się zatracą, albo karleje pod naporem pseudopoetyckich flosków klasycznych. Nie mówię już o tego rodzaju kwiatkach epoki późniejszej, jak owe

„Nie tak wiosna na Hymecie,
Nie tak miłe judzkie źródło,
Jako Matka, jako Dziecię,
Gdy objęcia splotą swoje“ —

albo takie, z czcią Panny Marji nie wspólnego nie mające dziwolągi:

„Jak cypryjski lub lesbijski
Płynie nektar z winogrona,
Tak wypływa pokarm boski
Z dziewiczego Matki łona —
Jak hyblejskie miodne bacie,
Jak arabskich wonność kwiatów,
Z bożej piersi tryś otwarcie
Miły strumień aromatów“ (Sarbiewski) —

Nie mówię o tego rodzaju wyskokach sławionej poezji humanistycznej, ale nawet słynny, na karb św. Kazimierza Królewicza kładziony hymn „Omni die dit Mariae“ wygląda, mimo wszystko, raczej na naśladownictwo jakiegoś starochrześcijańskiego Prudecjusza, albo — co więcej — na swo-

bodną parafrazę jakiejś ody klasycznej, do Diany lub Cerery, aniżeli na bezpośredni, szczery wylew niekrępowanego niczem uczucia. U Hussoviana niema ani jednego zwrotu, któryby był choćby najdalszem echem jakichś zdawkowych przypomnień. Zrodzona z troski o los ojczyzny i chrześcijaństwa apostrofa ta jest tak prostem, tak nieklamliwem wynurzeniem duszy cierpiącej, a nawskróś szlachetnej — zresztą tylko dusze szlachetne cierpieć umieją — że porwać ona musi nawet ludzi, którzy nie lubią uczuć swoich wyrażać zapomocą form, związanych z pojęciami religijnymi.

„Dziewico, Matko Boża! Gdym pragnął Twe imię
Wypisać tutaj, z trwogi zadrżała mi dłoń.
Nie mogę też zrozumieć, oszołomion w duszy,
Co lepiej — czy zamilknać, czy przemówić mam,
Zamilknać, kiedyś godna, aby świat Cię sławił?
Przemówić, kiedy umysł ani język ludzki
Śnać nie wie, jakich użyć najgodniejszych słów?
Lecz ufny w Twoją dobroć, wyższą ponad wszystko,
Cokolwiek jest niższego od Boga, o patrz!
Przychodzę z drżącym sercem, błagam przebaczenia
I rzucam się, Marjo, do Twych świętych stóp!
W tym lichym, brudnym płaszczu, z lichszem jeszcze wnętrzem
Modlitwy trwożne z bladych wydobywam ust,
Nie przeto, iżbym godny był rzec chociaż słowo,
Lecz wiem, że Ty nas tylko zdołasz wyrwać z klęsk.
Litując się nad dolą człowieczą, wszak Ciebie
Posadził Bóg na górze niby zbawczy blask,
I jako ptak bezpióre ochrania pisklęta,
Tak Ty, Dziewico czysta, troszczysz się o lud.
Jak matka ku dziecieniu wyciąga ramiona,
Tak w górę Ty podnosisz tych, co padli w proch.

O kwiatu dziewiczego wielki Majestacie!
Swe modły racz dołączyć dzisiaj do mych próśb,
Na wojny patrz zaciekle, na krwią zlane pola!
Patrz, jakie prawo niecza rości sobie los
Do ludu, co, połączon wiarą Twego syna,
W spokoju winien bratnim żyć po wieków wiek.
Książętom naszym, błagam, daj opamiętanie,
Niech widzą, że zdradzili obowiązek swój.
Przecz każdy z nich, puściwszy cugle świata z ręki,
Z imienia tylko stróż jest, z istoty zaś wilk?
Tymczasem, byśmy mogli odetchnąć, Ty, wroga
Powstrzymuj zażartego, hamuj jego złość,
Niech w jassyr nieszczęsnego tak nie pędzi, ludu,
Bezbronny niech narodom nie narzuca pęt...!!“

A proszę przypadkiem nie myśleć, że zarówno barwa obrazów jak i ton tego rodzaju wylewów lirycznych jest może poniekąd wynikiem przekładu. Tłumaczyłem wiernie, tak wiernie, że zachowałem, jak już słyszeliśmy, nawet nieodpowiadającą podobnym utworom i dlatego rażącą ucho dzisiejsze formą elegjackiego dystychu.

Duch poematu Hussowskiego jest także duchem czwartej księgi „Pana Tadeusza“; pokrewieństwo obrazów w jednym i drugim utworze niemal oślepia, a przecież niema wątpliwości, że Mickiewicz „Pieśni o żubrze“ znać nie mógł. Poza darowanym w roku 1853 Biblijotece petersburskiej egzemplarzem księdza Małyszewicza, istniał za czasów Mickiewiczowskich jeden tylko egzemplarz krakowskiego druku, egzemplarz Michała Juszyńskiego, w r. 1798 przekazany Biblijotece Czartoryskich w Krakowie. Przypuszczenie, że jeden lub drugi egzemplarz mógł się znajdować w rękach Mickiewicza, byłoby może zbyt dowolne.

Wspólną barwę i wspólny ton zrodziła wspólna ziemia, której oddechem żywili swe wnętrza, jednakie szumiały im bory, jednaki los trapionej i wówczas ojczyzny napelniał trwogą ich serca.

Ale gdyby Mickiewicz poemat ten znał i w nim znalazł bodziec do stworzenia swych obrazów puszczы, czyż i za to nie powinniśmy być wdzięczni naszemu „humaniście“?

Hussowski jest jednym z najpierwszych ale i najsilniejszych ogniw tego wspaniałego łańcucha poetów narodowych, który poprzez Reja i Kochanowskiego sięga do Mickiewicza.

We wspomnianym już dedykacyjnym liście do królowej Bony skarży się poeta, że w Polsce marnieją talenty skutkiem braku uznania. Bona na list nie reagowała; wieki ten prawdziwy syn ziemi w zapomnianym leżał dole; ostatnie dopiero lata usiłują do należytej przywrócić go chwały. Taką próbą są i moje słowa dzisiejsze. Oby były skuteczne. Bo nie godzi się niedoceniać ludzi, nie godzi okazywać się niewdzięcznym czy obojętnym wobec tych, którzy z ojczystego wyszedłszy gruntu, pragnęli twórczem, ukochania pełnem słowem dać świadectwo owocodajnej żyzności tego gruntu.

O SIENKIEWICZU (RECENZJE I PRZEDMOWY)

Hold, jaki składamy dzisiaj pamięci wielkiego twórcy, nie może mieć cechy, że tak powiem, epitafjalnej, nie może zawierać w sobie tych momentów, z których dałby się złożyć jakiś wszechstronny, życie i czyny zgasłego olbrzyma sławiący, w kamiennej czy brązowej płycie wyrzuty napis grobowy. Nie może być trenem żałobnym, jakkolwiek wypadek, który, zewnętrznie rzeczy biorąc, tak ogromną uczyniwszy wyrwę w bojującem społeczeństwie naszym, ogromną, powszechną, narodową wywołał żałobę. A nie może być ani tem ani tamtem dlatego, ponieważ rozpadła się wprawdzie ta kruszyna lichej, znikomej gliny, z której Bóg ulepił kształty oddychającego, ruszającego się człowieka, ale z tą kruszyną nie odeszła od nas jej treść, nie odszedł nieśmiertelny jej duch. I nie tylko duch, który, jako ożywiająca siła każdej wogóle istoty, jest bytu tej istoty jedynym niezaprzeczonym warunkiem i choć w pewnej chwili porzuca ją na rozkład i zniszczenie, sam przecie, według najgłębszych naszych wierzeń, zniszczeniu i rozkładowi nie ulega, lecz żyje dalej na wieki.

Nie! nie odeszła od nas ta szczególna, nie wielu wybranym jednostkom dana, do mocy Bożej najbardziej zbliżona potęga duchowa, która odrębnymi rysami w twórczym ujawniwszy się czynie, posiada dla oczu, widzących jeszcze więcej, niż blask i barwę, kształty nieomal namacalne, kształty jakiegoś realnego, acz dzięki tajemnicy twórczości, co kształty te rozszerza i wydłuża, prawie że niesamowitego wielkoluda.

Niejeden z nas, ile razy w szczęśliwej, rozkosznej chwili wydarzy mu się wziąć do ręki dzieło Ajschylosa czy Eurypida,

Szekspira, Mickiewicza czy Słowackiego, ulega nie tylko wszechmożnemu urokowi tego dzieła, ale, poddawszy mu się cały, czuje bezpośrednią bliskość jego twórcy, miewa wrażenie, że widzi przed sobą natchnionemi błyskami rozświetlone oczy, że widzi rozchylające się wargi i słyszy poszept tych warg, tak każdemu z tych twórców właściwy, a tak u wszystkich wspólną mający cechę wieczności, poszept, który mówi nam: „jestem! nie umarło me dzieło, ale i ja nie umarłem, lecz jestem!“ I wówczas prawie z zabobonnym, a przecież nie zabobonnym, bo na wierze w nieśmiertelność ugruntowanym, acz z wyobraźni płynącym odwracamy się lękiem, czy ten tajemniczy fluid, wypełniający atmosferę naszego pokoju, nie przybrał poza naszymi plecami form rzeczywistych, czy nie stoi poza nami już nie duch tego czy owego twórcy, ale on sam i nie tylko taki, jakim bywał w natchnionych godzinach tworzenia, ale jak się w roisku ludzi zwykłych w ludzkiej, wspólnoty z powszedniem życiem świadomej obracał skromności.

I zdaje mi się, że tego uczucia, tego wrażenia doznajemy wszyscy — bo jakżeż mogłoby być inaczej, jeżeli wszyscy początek nasz i warunki trwania naszego, nieśmiertelności naszej jednakowemu zawdzięczamy źródłu?

I zdaje mi się, że i w tej chwili, kiedy, idąc za przykładem całej Polski, w takich gromadnych skupieniach rozważającej doniosłości historycznego faktu, iż nad obszarami wewnętrznego życia panował w ostatnich lat dziesiątkach prawie że niepodzielnie, a w każdym razie najwyszczególniej Sienkiewicz i że Sienkiewicz zeszedł z widomego świata, tak głęboko i w ostatnich dniach swego życia zaznaczywszy wspólność swoją z Polską walczącą, z Polską cierpiącą — otóż zdaje mi się, że i w tej chwili, kiedy i myśmy się zebrali, ażeby w sposób uroczysty uczcić jego pamięć, której czcić nie prze-

staniemy, On jest tutaj obecny i że raduje go niewstrząśnięta niczem wiara, którą w nas z takim twórczym budził zapalem, wiara w Jego i naszą Polskę, i że z pobłażliwością wielkiego a skromnego ducha przyjmuje choćby i najnieudolniejszy wyraz naszych hołdów. Najnieudolniejszy — bo jakąż znaleźć miarę, ażeby należycie a bez zdawkowej przesady, ocenić ten ogrom wysiłków twórczych, zamkniętych w jego tak rozległym, a tak głębokim, na granitowych podstawach zbudowanem dziele? Zwłaszcza po tem wszystkiem, co o nim napisano poprzednio i co z powodu skonu w ostatnich powiedziano dniach, jakież subtelny trzeba mieć aparat, ażeby, rozkładając to dzieło na części, wydobyć jeszcze jakieś nowe, ogółowi nieznane wartości! Jakichże do odsłaniania tajemnic tego dzieła potrzeba światła, ażeby światła te nie przyćmiły się albo i całkiem nie zgasły w tych tak już niemal wszystkim dostępnych, wspaniałych odbłyśkach barw kosztownych, znamionujących przedziwną różnorodność życia zamkniętą w Sienkiewiczowskiej księdze?

Jakież w duszy własnej potrzeba mieć pierwiastki liryzmu, jakimż dusza to powinna być narzędziem muzycznym, jakim niezwykłym bardonem wojennym, ażeby mogła godnie zawtórzyć bohaterkiej liryce, rozbrzmiewającej ponad polami Zbaraża czy u murów Częstochowy, tej bohaterkiej liryce, która, zamknięta w zewnętrzne formy historycznego eposu, formy te rozsadza i nieprzebranym, niezgłęzionym, można powiedzieć, potopem uczucia zalewa tak haniebnie niszczone, tak małostkowo niejednokrotnie pogardzany, tak mizernie opluty łan polski i już nie wsiakając, ale pełną falą wdzierając się w serca wyrosłych na tym łanie, niepewnych siebie, niepewnych własnego, narodowego „ja“ epigonów, budzi w tych sercach choćby nawet przy bezkrytycznem, jeśli kto chce, umiłowaniu przeszłości, analogon tego samego

uczucia, budzi w nich nie dającą się już niczem przytłumić miłość ojczyzny i bohaterką wiarę w jej przyszłość.

Jeżeli był czas, że zbyt może drażliwy, z podłoża pewnych zwalczających się prądów społecznych wyrosły, szukaniem nowych środków odrodzenia uzasadniony zoilizm nie przyznawał, albo nawet wprost odrzucał to tak doniosłe wychowawcze znaczenie historycznej pieśni Sienkiewiczowskiej, to powodu tego zacierzwienia, tak ostatecznie, jak powiadam, zrozumiałego, należałoby przynajmniej po części szukać w stronnictwie, małodusznie zacierzwieniu się i drugiej strony.

Druga to strona, bardzo zresztą kulturalna, mająca niejednokrotnie przebłyski świadomości, że rola jaką odegrała w stuleciach minionych, jest już dzisiaj przeżytkiem, ale przeżytkiem, z którego sercu, pomnemu dawnej chwały, trudno jest zrezygnować — druga to strona, pragnąc tak gruntownie zachwiane kastowe stanowisko swoje utrwalić przynajmniej na chwilę odwołaniem się do barwnych, wyrazistych rysów rycerskich przodków swoich, czyniła wszelkie wysiłki, ażeby imponujący, świeży talent na swą wyłączną zagarnąć własność i potężne malowidło, z którego właśnie wyzierały te rysy, przedstawić jako hołd, złożony temu, co nazywamy poprostu szlachetczyzną.

Była to pomyłka, nieszkodliwa dla dzieła, gdyż dzieło to z błyskawiczną szybkością dotarło do najodleglejszych, najmniej spodziewanych gniazd życia i dzięki cudownemu instynktowi ludu w gniazdach tych do dzisiaj naczelne zajmuje miejsce. Chłop polski, w którym przecież dotychczas jeszcze nie zamarła pamięć krzywd szlacheckich, ten chłop, który dotychczas jeszcze winę upadku i rozgromu Rzeczypospolitej przypisywać lubi szlachcie, ten chłop, szczęśliwym trafem dostawszy do ręki „Ogniem i mieczem“, odrazu, instynk-

townie, zrozumiał i odczuł istotną, zasadniczą, wewnętrzną wartość czynu, zamkniętego w tej pieśni. Dostrzegł w niej odrazu to, co i my dzisiaj widzimy, a widzimy tem lepiej, im bardziej oddalamy się od walk i sporów, które towarzyszyły powstawaniu i pojawianiu się dzieła: W rycerzu idącym na bój z Krzyżakami, Szwedem czy Moskwą, widział nie przedstawiciela gnębiącej go warstwy społecznej, a tylko bohatera który z imieniem Marji na ustach uderzał na wroga wspólnej wszystkim Ojczyzny, bohatera, który za nic własne mając życie, jeżeliby nie miało się przydać w przenajświętszej służbie sprawy powszechnej, z mistyczną niemal zaciekłością dla sprawy tej na bitewnym umiera szlaku.

I to jest wynik tego bohaterskiego liryzmu, który rozpierał ducha Sienkiewicza, a który w triumfalnym miał wybuchnąć hymnie, opiewającym krwawy przebój na polach grunwaldzkich, kiedy to z sobą dwie zwarły się rasy, kiedy to Mistrzowi Zakonu, nie lękającemu się ludzi, ale który „może zląkł się Boga, trzymającego już tam na wysokościach szale zwycięstwa“, pobladłe zadrżały wargi i łza po czarnej stoczyła się brodzie, kiedy „ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos, do grzmotu niebieskiego podobny, „Boga-Rodzica“, kiedy razem z tą pieśnią prastarą „moc wstąpiła w kości polskich rycerzy, kiedy zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać i jakby powtarzać jeziorom i lęgom całej ziemi, jak długa i szeroka“ owo błagalne, do wielkiego zwycięstwa prowadzące „Kyrie eleyson!“

Bohaterski liryzm, który zakutemu w czarną zbroję Sulimczykowi Zawiszy w samą śmierć przedzierzgnąć się kazał i „z namarszczoną brwią i ściśniętymi nozdrzami walić spo-

kojnie, a rozważnie, jakby zwykłą odbywał robotę“, w żelazny mur wroga i na okrwawione rozbijać go szczęty. —

Bohaterski liryzm, który tym wszystkim Powalom i Zyn-dramom, tym Dobkom i Nałęczom, tym Tarwiejom i Jelit-czykom, tym Paszkom i Zychom, tym Cztanom i Bogda-nieckim kazał iść „jak idzie ogień po suchym stepie“, ogień „co pożera krze i trawy“. —

Bohaterski liryzm, który setkom ramion kazał w zapalczy-wym kupić się ferworze około Marcina z Wrocimowic, z kra-kowską padającego chorągwią, rozpętać się jak orkan i jak orkan szaleć dopóty, dopóki „święty dla wszystkich znak królewskiego orla w koronie“ nad zwycięskim nie zabłysnął szeregim. —

Bohaterski liryzm, który na tle malowideł, należących do najcudniejszych w literaturze świata, godnych rywali-zować chyba z wyolbrzymiałymi obrazami w nieśmiertel-nych skokach Mahabharaty, wyolbrzymiałe, nadludzkie, na pierwszy rzut oka nierzeczywiste umieszczał postaci, snąc zrodzone w jakiejś tajemnic pełnej, północne burze płodzącej Walhalli!...

Postaci nadludzkie, nierzeczywiste!

Wykrzyknik ten słyszymy niejednokrotnie i dzisiaj i to nie jako wyraz uwielbienia dla tej bogatej galerji Jurandów, Jaremów, Kmiciców, Wołodyjowskich, Podbipiętów, ale w formie wyrzutu, że postaci te rozpierają szablon, w jaki dzisiejsze oko nasze zamyka ludzi dzisiejszych, albo że postaci te tak rzekomo rażąco odskakują od portretów, wiszących na ścianach starych dworzyszcz szlacheckich, od malowideł, przekazanych nam w kronikach dziejopisów, albo że stary, rdzą zjedzony, na historycznych polach zbaraskich wyorany pancerz żelazny zbyt drobnych jest rozmiarów, ażeby zdołał pokryć pierś sienkiewiczowskiego, legendarnych Waligórów

i Wyrwidębów przypominającego szermierza! Czy ubolewanie to i zarzut ten słuszny? Bynajmniej! Wypowiadają go często ludzie dobrej woli, którzyby jednak chcieli, ażeby poeta tworzył tak, jak oni tego pragną według miary oka, zaprawiającego się na ludziach dzisiejszych, spotykanych na ulicach i w miejscach publicznych, przy warstatach pracy powszedniej, na tłumowisku dostępnej wszystkim zabawy.

Zapominają zaś o tem, że prawdziwy twórca całkiem inne może mieć oko i całkiem inne posiada prawa, świadomie lub nieświadomie nakładające na niego obowiązek, który spełnić musi, nie chcąc własnemu sprzeniewierzyć się sumieniu, obowiązek, który każe mu tworzyć, tak jak on, poeta, widzi, a nie jego widz, czytelnik czy słuchacz. Zarzut byłby słuszny, gdybyśmy stanęli przed ogromnemi, w kamiennej bryle marmuru wykutemi dowodami choćby najbardziej mistrzowskiej techniki zewnętrznej, dowodami, będącemi wyolbrzymiałem nad miarę ludzkiego kształtu upostaciowaniem pojęć abstrakcyjnych, albo choćby i najżywszych, najpłomienniejszych drgań, uczuć, porywów i wybuchów duszy ludzkiej, jednym słowem, gdybyśmy mieli przed sobą alegorję.

Ale bohaterski liryzm Sienkiewicza tworzył nie alegorję, jeno symbole i to symbole, tak dalekie od niebezpieczeństwa zlania się w jedno z alegorjami, co się częstokroć i najniepośledniejszym wydarza mistrzom, że, patrząc okiem nieuprzedzonym, a umiejącem w ukrytych pokładach duszy ludzkiej dostrzegać zawiązki sił tajemniczych, z których rodzą się potężne duchy Ajschylosów, Szekspirów, Mickiewiczów, czy Napoleonów, dostrzeżemy i w postaciach sienkiewiczowskich sumę może i niezłożonych warunków, ale przecież warunków, na rzeczywiste składających się życie. Tworzyła legenda ludowa niesamowite postaci Waligórow i Wyrwidębów — być może jako resztki wspomnień o ludziach

z jakichś odległych epok ziemi naszej, kiedy wszystko, co żyło, do potwornych, dla oka naszego niezwykłych wyrostło rozmiarów.

Tworzyła je może jako wynik tęsknoty za siłą, która ludowi imponuje, a której mu nie stało i którą chciałby osiąść dla zwycięskich zapasów z życiem — tworzyła je może, ta legenda, jako przeczucie czy odczucie tajemniczych, zbawiających czy niweczających, dla prostego rozumienia niedostępnych sił przyrody i siły te na swój symbolizowała sposób, symbolizowała je tak, że zamknięte w wyolbrzymiałe kształty ludzkie, stanęły przed duszą człowieka prostego mimo tej wyolbrzymiałości zrozumialsze, rzeczywistsze.

Pod pewnym względem wyobraźnia Sienkiewicza przypomina mi właśnie tę odwieczną legendę ludową: Miał on w sercu swem wielką tęsknotę ujrzenia cudu, cudu zbawienia ukochanej nadewszystko ojczyzny. Wiedział, że aby cud się ten urzeczywistnił, niezwyklej potrzeba na to potęgi, nadludzkiego poprostu, w tym niesłychanym rozgromie, bohaterstwa, zarazem też albo wiedział, albo przeczuwał — nie! wiedział na pewno, że w każdym najlichszym choćby człowieku jakieś ukryte szlachetne drzewią siły, które w pewnych okolicznościach i w chwilach jakiejś niezwyklej, nawet i przypadkowej podniety jakimś niezwyklej mogą zagorzeć ogniskiem. A że najpożądańszą dla niego siłą było uczucie miłości ojczyzny, uczucie czynne, nieodłączne od odwagi i poświęcenia, więc te przedewszystkiem czynniki, w których istnienie na dnie duszy ludzkiej tak głęboką miał wiarę, umieścił w duszy swoich bohaterów i do takiej technieniem genjuszu swego rozdmuchał je potęgi, że zdają się rozsadzać ludzkie bohaterów tych kształty, że przed nami, nie posiadającymi tego twórczego, bohaterskiego liryzmu, będącego głównym motorem i główną cechą sienkiewiczowskiej twórczości, bo-

haterowie ci stają jak gdyby z cechą nieprawdopodobieństwa. A przecież Sienkiewicz się nie mylił. Wojna dzisiejsza dała albo i daje niesamowite wprost dowody tego jednostronnego, wyłącznego rozwoju duszy ludzkiej. Widzieliśmy i widzimy, jak niejeden żołnierz polski, o którym niktby przedtem nie pomyślał, że ma w sobie takie zawiązki bohaterstwa, dzisiaj, z najlepszą wiarą, z umiłowania ojczyzny wynikłą, na krwawy ruszywszy przebój, walczy i pada w tym boju i choćby nawet już sam nie szeptał, konając „na pewne!“ to wyszepce przecież jedno może i tragiczne dla niego i dla nas wszystkich, ale mimo swego tragizmu otuchę i wiarę zawierające „a może?!“

Jest w takim poświęceniu, jest w takiej odwadze, jest w takim konaniu jak gdyby jakiś potężny, mistyczny rys religijny: Sienkiewicz, jak każdy od lekkomyślności daleki, to znaczy, sztukę swoją poważnie pojmujący, prawdziwy twórca, był człowiekiem głęboko wierzącym. Jest w takim poświęceniu, jest w takiej odwadze, jest w takim konaniu coś z ostatnich chwil Podbięty Longina, który śmierć bohaterską, śmierć za ojczyznę za religijny uważając obowiązek, za jakiś zwykły akt wiary, za jakiś afekt strzelisty, co to wielkiemu a świętemu biedaczynie z Assyżu Chrystusowe wypalał stygmaty, każdemu świstowi strzał coraz to innym odpowiadał werselem z litanji, choć nie wiedział, bo za skromną, za pokorną, za cichą miał duszę, iż „aniołowie niebiescy duszę tę wezmą i położą ją jako perłę jasną u nóg Królowej Anielskiej.“

A sienkiewiczowska prawda historyczna?

W głośnym ongi występie Zygmunta Kaczkowskiego czytaliśmy o księciu Jeremim Wiśniowieckim, że był to w rzeczywistości człowiek okrutny, że ze zwierzęcą srogością traktował oddane sobie życie ludzkie, że największą dlań rozkoszą było stawianie jak najliczniejszych szubienic, że szlachta

dlatego tylko lubiła tego „oligarchę warchołę“, ponieważ był niesłychanym wprost gnębicielem ruskiego ludu, że z powodu swojej krwiożerczości w podaniach tego ludu żyje dotychczas w postaci apokaliptycznego potwora.

Nie jestem historykiem, więc sądzić nie mogę, ile w charakterystyce tej jest prawdy. Chcę przypuszczać, że jest w tem prawda, prawda aż nadto rozpaczliwie smutna, prawda, która mogła stać się jedną z przyczyn tego okrutnego losu, jaki nas pogrobowców niezależnej, wolnej Rzeczypospolitej, z taką uporczywością gnębi do dzisiaj.

I takiego to — powiedzmy — zoczyńcę wybrał sobie Sienkiewicz za jednego z najprzedniejszych swych bohaterów, miał odwagę ozłocić najjaśniejszemi blaskami swej poezji. Atoli w odpowiedzi tym wszystkim, którzy z tego faktu wyciągali albo dotychczas jeszcze śmiały wyciągać wnioski, dotyczący jakoby wstecznych historjozoficznych poglądów poety, zapytajmy o jedno: czy Sienkiewicz chociażby jednym tonem czy półtonem gloryfikował haniebne czyny Wiśniowieckiego? Czy w swojej, dla wielu zbyt optymistycznej a przecież uzasadnionej wierze w istnienie szlachetniejszych pierwiastków w najpotworniejszym choćby człowieku, nie dostrzegł i w tej duszy, tak ponurej, jakowychś błysków jaśniejszych, czy nie dostrzegł jakichś zawiązków potrzebnego dla zbawienia Polski poświęcenia, bohaterstwa i mocy niezłomnej, czynników, które w pewnych warunkach mogą rozwinąć się w gwałt morderczy i niszczyielskie, prawom bożym i ludzkim urągające okrucieństwo, podczas kiedy w innych warunkach, przez jakąś błogosławioną siłę w odpowiednie skierowane koryto, umiałyby stać się wypełnieniem marzeń, rozpierających duszę poety.

Nie podobny jest książkę Jeremi Wiśniowiecki historyczny do Jaremy z poezji, a czyż świetlana postać Szyllerowskiej

Marji Stuart podobna jest w czemkolwiek do historycznej, tak zbrodniczej Marji Szkockiej? I czy ktokolwiek z nas, odczuwających poczę, żałował kiedy choćby na chwilę, że w danym wypadku optymistyczny twórca niemiecki taką właśnie, a nie inną, stworzył męczennicę losu?

I czy nam zależeć może coś na tem, że wspaniałe malowidło Jaremy, przez naszego, umiłowanicm ojczyzny i niepohamowaną tęsknotą za jej szczęściem przejętego Optymisty, nie jest portretem, przed którym staje rysy jego badający historyk, ażeby rysy te szarmonizować z duszą pierwowzoru?

Prawda historyczna nie ma nic wspólnego z prawdą poetycką. Wiemy o tem wszyscy, a udowodnił to na kilkaset lat przed nami, mimo całej historyczności swojej, mimo trawestowania całych ustępów z kroniki Holinsheda czy Halla, nie kto inny, tylko sam Szekspir, ten Szekspir, którego jako niedoścignionego twórcę, mieli odwagę romantycy niemieccy, a obok nich spokojny, rozważny Goethe porównywać ze Stwórcą.

Zgasł niezwykle, twórczy Optymista polski, zgasł w kraju nam obcym, ale nie wrogim — wojenna zagnała go tam zawierucha. Zmarł na posterunku służby narodowej, której charakter przyniósł mu w pewnych kołach, jakiś nieśmiały pomruk wyrzutu, zamiast głośniejszej, służbę tę błogosławiącej wdzięczności. Ale rozdźwięki te były przemijające, zgłuchły u trumny wielkiego pisarza i wielkiego patrioty, zamilkły u drogich, dzisiaj powszechną żałobą narodową uczczonych zwłok, któreby o jak najprędzej na ojczystej, wolnej i niepodległej spoczęły ziemi.

SYZYFOWE PRACE (RECENZJE I PRZEDMOWY)

Niedawno założone Lwowskie Towarzystwo Wydawnicze zadebiutowało bardzo korzystnie, wydawszy na początek „Syzyfowe prace” Maurycego Zycha.

W szeregu autorów pokolenia najmłodszego nazwisko to, a właściwie pseudonim, zajmuje jedno z miejsc najpocześniejszych. Powiedziałbym, że pomiędzy powieściopisarzami ostatniej doby Maurycy Zych jest najbardziej utalentowany i najdonioślejszy wpływ wyrzec może — swoją obywatelskością.

Obywatelskość, którą dzisiaj — miejmy nadzieję, że nadaremnie — usiłują wygnać z poezji, poruszanie żywotnych kwestyj publicznych, stanowiących zasadnicze podstawy naszego życia narodowego — oto na czym przedewszystkiem polega doniosłe znaczenie młodego pisarza. Znakomity obserwator, bystrem okiem chwytający przedmioty, aby je ze zbyt może drobiazgowym przedstawić realizmem, dobry psycholog, umiejący wejść w duszę człowieka, śledzi ukryte jej drgania i przeobrażenia, wyrobił sobie Zych i mistrzostwo formy, nieustępujące naszym „największym”. Jeżelibyśmy chcieli szukać jakiego pokrewieństwa ze „znanymi”, to autor nasz zbliżony jest może najbardziej do Prusa. Według utartych pojęć estetycznych „Syzyfowe prace” nie są powieścią. Ale co obchodzą utarte pojęcia estetyczne prawdziwego, iskrą bożą obdarzonego artystę? Według własnych tworzy on prawideł, nie pytając się o to, czy zawodowi przyklasną mu „szufladkarze”..

W „Syzyfowych pracach” Numa za Pompiljusza nie wychodzi, nie ma w nich nawet wcale tak zwanej intrygi miłosnej,

bo budzące się (na ostatnich kartach książki) w sercu mło dzieńczem uczucia, nie doprowadziły nawet do faktycznego zbliżenia się do wybranego przedmiotu.

Nowe dzieło Zycha to studjum duszy chłopięcej, która na tle smutnych niezmienne stosunków szkolnych w zaborze rosyjskim rozwija się prawie nieświadomie, wbrew intencjom działającego nań otoczenia, aby się stać duszą prawdziwie polskiego obywatela, duszą człowieka, który spostrzegłszy jad, sączony do jego wnętrza przez chytrych wrogów, tem większą do nich zaczyna pałać nienawiścią, im silniejsze były ich zabiegi, aby go wynarodowić. Marcinek Borowicz jest synem niezamożnego szlachcica, chłopcem o zdolnościach przeciętnych, który nasamprzód w szkółce wiejskiej pod okiem zmoskwiczzonego Wiechowskiego, a następnie w gimnazjum w Klerykowie przykłada się do „stichów“ i „diktówki“.

Z rodzinnych Gawronek nie wiele wzięwszy zasobów moralnych, gdyż poczcwi, zapracowani rodzice nie mieli czasu, a może i nie umieli zajmować się jego duszą, aby ją ustalić przeciw zapędom rusyfikacyjnym, staje się niebawem jednym z tych uczniów, którzy w oczach dzejatieli zdobywają sobie markę „porządnych“, „błagonadiożnych“.

Bez skrupułu chodzi do teatru rosyjskiego, z przyjemnością zjada cukierki, przesłane mu z loży gubernatorskiej w nagrodę za lojalność, z zapalem wraz z innymi kolegami oddaje się czytaniu Puszkina i Lermontowa, peroruje na „Polszę“ za jej wyzucie się z „słowiańskości“ i za karygodny jej szowinizm.

Zalążek „ugodowca“, szuka u łaskawych na niego władz szkolnych protekcji dla swoich kolegów, a sam myśli o karierze, którą przy takim oportunistycznym patrzeniu na świat i jego sprawy łatwo by zdobył.

Czytelnik mimowoli nabiera do niego wstrętu, a równo-

cześnie żał mu tej duszy młodej. tak wczesnie zatrutej i zatruwającej dusze kolegów. Naraz staje się cud. Do Klerykowa zjeżdża Bernard Zygier, siedmioklasista, wyrzucony ze szkół warszawskich. Zapisuje się na nicobowiązkowe lekcje języka polskiego i na jednej z nich prawdziwą w umysłach i sercach kolegów sprowadza rewolucję.

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza — pyta go się profesor Sztetter, który także był kiedyś „Farysem“, a dzisiaj w łapach niedźwiedzia moskiewskiego stał się potulnym, wskutek potulności tej zgorzkniałym, szlachetniejsze uczucia na ostatnie dno wnętrza spychającym belfrem.

— No, zdaje się... — odpowiada Zygier — niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam. Nie chcę wiedzieć! Jakież utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? „Trzecia część...“, „Improwizacja“, „Pan Tadeusz“, „Księgi Pielgrzymstwa“.

Sztetter umilkł... Po chwili zapytał jeszcze: — No, a coż pan wiesz o Mickiewiczu?

Gdy Zygier z zapalem opowiadać począł o młodości poety, o Związkach Filaretów i Promienistych, oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan co może na pamięć?

Zygier wygłosił Redutę Ordona.

Potężne obrazy mickiewiczowskiego poematu pociekły jak lawa gorąca, załwały w sercach młodzieży miłość dla Puszczyńców i Lermontowów, zapaliły je ogniem nieznanego dotychczas uczucia dla pogardzonej, „szowinistycznej“, „nie-słowiańskiej Polszy“, dla jej męczeństwa, dla jej nadludzkich niemal poświęceń.

Jest to kulminacyjny punkt książki i zwrotny w rozwoju duszy Marcinka.

Od razu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stanęła mu przed oczami cała nędza dotychczasowych jego postępów. Wścickły był na Zygiera, że mu ją uprzytomnił, ale równocześnie dusza jego uleciała do rodzinnego lasu, na którego skraju sterczał krzyż nad samotną mogiłą zamordowanego powstańca. Rok czy dwa lata temu mówił mu o tym powstańcu kłusownik Noga, opowiadał mu, jak od kuli chłopskiej zginął w tem miejscu jeden z kozaków, powstańca tego wlokących za sobą.

Opowiadanie to przeszło wówczas bez wrażenia: interesowały go dzikie kaczkę w bagnie, słomki w lesie i gluszcze, których w lesie nie było. Dopiero teraz natchnione słowa wieszczki poniosły go na olbrzymich skrzydłach swoich na ten grób opuszczony, pod ten krzyż hutwiejący.

Borowicz zamknął oczy, ścisnął zęby, ażeby głośno nie zaszclochać, a z pod ciężkich powiek spłynęła mu łza po twarzy.

To nagle wydobycie polskiej duszy z wnętrza, zalanego kałużą demoralizacji moskiewskiej, jest szczegółem psychologicznie niezmiernie uzasadnionym, pod względem roboty artystycznej wspaniałym.

Nietylko Borowicz, ale wszyscy jego koledzy innymi zupełnie stali się ludźmi. Ogarnął ich zapal do rzeczy ojczystych; poddasze jednego z kolegów stało się odtąd celem potajemnych schadzek, kuźnią, w której stały się dusze przyszłych obywateli-polaków. Duszę Marcinka ogarnęła mściwość, znalazł dla niej upust, zmasakrowawszy (w przepysnej scenie) jednego z najpodlejszych zaprzańców, profesora Majewskiego, szpiegującego młodzież.

Przygotowując się do ostatecznych egzaminów, zakochał się Marcinek w „Birucie“, córce lekarza wojskowego, ożenionego z Rosjanką, kobietą szlachetną ale nieszczęśliwą.

Nigdy Borowicz do wybranej swego serca nie przemówił

ani słowa, a gdy chciał przemówić, „Biruta“ była już w „głębokiej Rosji“. Młodzieńca opanowała rozpacz, zapłakał i nie był w stanie zapanować nad sobą, „wspomógł się dopiero na siłach, czując uściśnienie kościstej, a jakby z żelaza urobionej prawicy“ byłego kolegi Radka, który znalazł się przy boku złamanego. Ten Radek, symbol przyszłości, spoczywającej w ludzie, należy do najoryginalniej, najświetniej skreślonych postaci w bogatej galerji typów, wypełniających książkę Zycha.

Syn fornała, własną pracą, wśród głodu, chłodu i upokorzeń przepycha się przez szkoły. Tej prawej, szczerzej, prostej a przytem zaciętej natury nie olśniewa blask potęgi rosyjskiej, ucieleśnionej w inspektorze Zabielskim i dyrektorze Kriestoobrjadnikowie, którzy otaczają względami dających się demoralizować uczniów. Prawdziwie chłopską obdarowany siłą, pięścią mści się na jednym z kolegów, wyśmiewających fornalskie jego pochodzenie, a na zebraniach studenckich w domu Gontali, gdy koledzy obawiają się rewizji, staje na środku izby jak uosobienie siły, mającej zmiażdżyć wroga, staje „z głową sięgającą pułapu, z kosmykami włosów spadającemi na czoło, z wzrokiem przymglonym, a raczej skierowanym na coś bardzo dalekiego“, a potem usiadłszy zaczyna „śpiewać głosem szorstkim ale mocnym, jak szczęk stali, pieśń nikomu nieznaną:

...Młoty w dłoń,
Kujmy broń...”

Zbyt szczupłe ramy fejetonu nie pozwalają mi zapoznać czytelników z szeregiem innych postaci, nie pozwalają mi przytoczyć szczegółów, dowodzących bogatej malarskiej natury Zycha (prześliczny bywa u niego krajobraz), nie pozwa-

lają mi zastanowić się obszerniej nad właściwościami jego humoru, którego pełno w scenach studenckich.

Obrazy śniegiem pokrytych pagórków, opisy łąk, stawu i lasów, wizyta inspektora w szkole Wiechowskiego, figury dwóch emerytowanych radców w domu starej „przepiorzycy“, walka na pięście, stoczona przez księdza prefekta z inspektorem na schodach chóru kościelnego o śpiew polski (zapasy te to jeden z czynników, wpływających nieświadomie na ukształtowanie się duszy Marcinka), sceny w lesie z wabiącym głuszcze strzelcem Nogą itd., itd., to perły bogato rozsiane w tej nietylko bardzo zajmującej, ale pod względem obywatelskim ogromnie doniosłej książki. Zych pierwszy dał nam wyczerpujący, artystycznie odtworzony obraz kultury nowoczesnej szkoły rosyjskiej na ziemiach polskich. Włał w nas otuchę, że dotychczas szatańskie zabiegi tej szkoły nie zdołały dotrzeć do głębi serca młodzieńczego, choć je po wierzchu skosiły. Równocześnie jednak zawarł w powieści swojej przestrogę, skierowaną ku społeczeństwu, które powinno silniej interesować się wychowaniem swych dzieci, pozostawionych zupełnie na opiece Zabielskich i Kriestoobradników.

LEĆCIE ME PIEŚNI

PRZEDMOWA DO POEZYZY ADAMA DOBROWOLSKIEGO

Nie można bez rozrzewnienia czytać tych prostych, a serdecznych słów, z którymi umierający młodzieniec wzywa swe „pieśni skrzydlate, kwitnące wielką miłością“, aby, „poleciawszy do ludzi, stały się dla nich jutrznią złotą, a potem wróciły do niego, wróciły w chwili, gdy śmierć słodka zajrzy mu w oczy, gdy serce jego poniosą za wrota cmentarne i w chłodnej zagrzebią je ziemi...“ Ta niewyszukana szczerość, ta prostota skłoniła mnie też do poprzedzenia niniejszej książki kilkoma wyrazami, mającemi wprowadzić ją w świat, jeżeli potrzeba wprowadzać w świat, czy zalecać dźwięki płynące wprost ze serca, i to ze serca, które, zda się, nigdy nie знаło pozy, któremu w istocie rzeczy obcą była wszelka sztuczność i blichtr wszelaki...

W książce tej spotka się czytelnik z jakąś wyrafinowaną formą, godną mistrza Celliniego, nie dopatrzy się prawdziwej potęgi tam, gdzie, według widocznych, niewątpliwie szczerych zamierzeń poety, potęga ta oślepiającami miała buchać płomieniami. Mimo powtarzających się co chwila inwokacyj i apostrof, aby „uderzyć w czynów stal, aby pod wicher sztandary wznieść; w broń przekuć miljon dusz, łańcuchem sprzęgnąć tłum i w serce wchłonąć moc rycerskich, polskich dum“, mimo tych wszystkich, pozorami siły tryskających, do tej czy owej uroczystej, wspomnieniami dziejowemi nabrzmiałej chwili zastosowanych wykrzykników, prawdziwej, zapładniającej, rycerski entuzjizm budzącej mocy hasłowe nawoływania te nie posiadają, jakkolwiek są niejednokrotnie lepsze od wielu innych, tego rodzaju okolicznościowych, rymowanych

artykułów publicystycznych. Bo i tutaj znajdzie się niejeden zwrot, wyrwany bezpośrednio z duszy, i tutaj uderzy nas nie frazesowe, ale istotnie z tętnem młodej krwi spojone zapewnienie, że „jest jeszcze młodość na świecie, że młodość ta istotnie zamiarami sięga aż do nieba, że nie wątpi, lecz życie całem kocha sercem, że nie w mogiłę strąca ojców spuściznę, tylko nosi ją w sobie, że ufa w moc własną i na własną liczy siłę, że w Polskę wierzy zawsze...“ I tutaj w tych wszystkich, zdawkowym patryjotyzmem zatracających „Czuj duchów“, prawdziwy z dna serca przebija się sentyment, i dla tego sentymentu też, dla tych jego śladów, dla tych jego przeblysków nie wahano się w książce niniejszej zatrzymać i tych, na ogół wzięwszy słabszych utworów..

Natomiast w formę miłą, prostą, bezpretensjonalną zamyka przedwcześnie zgasy młodzieniec swoje miłe, proste, bezpretensjonalne wrażenia doznawane z chwilą, gdy, wstawszy od dziennikarskiego biurka, idzie poza miasto, w pole, i patrzy, jak niebo pali się wielkim barw przepychem, jak w czerwcowe rano, błękitne niby chabrów łąki, zatrzymuje się przy wiejskim kościele i widzi krańnięjące tęczą rzędy sukman chłopskich, las makowy dziewczek, i słyszy jak przeciągłym hymnem organowym wtórują gawędy lip i wiewów szumy. Upaja go wówczas widok róż rozkwitłych, czeremchy przepelniają duszną swą wonią młode jego ciało, muzykę cichych szeptów, śpiewa mu wówczas ogród, i wtedy też, w pewien wieczór sierpniowy, odurzony zapachem rezed, odczuwa istotnie szczerze, choć w znaczeniu poetyckiem może niezbyt głęboko, jedną ze zwykłych tragedij ostatecznego pożegnania.

Prawda, że majestat wielkanocnych dzwonów przemówi przezeń nie bezpośrednią mocą oczarowanej własnej jego duszy, jeno sugestją cudownych dźwięków tetmajerowskich, za to jednak widok złocistego morza zbóż, śpiewnym szumią-

cych szeptem, natchnie go znowu do stworzenia prawdziwie pięknego, nastrojowego obrazu, który nie powinien zaginąć w prochu niepamięci i dlatego też warto było zaryzykować wydanie tej książki; to samo da się powiedzieć i o „makach“, które szkarłatnym płoną łanem, podczas gdy (w białym dworku dziewczyna w warkocz szczerozłoty wpina jak krew czerwone maki koralowe) — o „makach“ nad którymi kolorowe motyle rozpinają barwiste tęcze pawich oczu (a gdzieś w dali słońca pożar wschodzi w niebo przeźroczu i jest jednym olbrzymim, płomienistym makiem) — o „makach“, nad którymi czerw zapala żagwi ognie złote (a w kwietnym sadzie dziewczyna, śniąc słodką tęsknotę, do twarzy tuli maków płomienie pąsowe) — o „makach“ które słoneczna rozpromienia rozpusta (a gdzieś dziewczę daje komuś swoje maki usta, z uśmiechem na witrażach twarzyczek anielich).

Nie będę się zatrzymywał nad erotykami, wśród których, obok muzycznych dźwięków, jak w „przyjdz dziewczyno“ itd., albo obok również melodyjnych „gdy mi w oczach złotą falą“, poruszy się dostatecznie frazesowe „Carpe diem“ — okupują te jednak zwrotki „Dziewczyno ty moja biała“, doskonale naśladowujące formę ludowej piosenki, albo tragiczny niemal nastrój „wieczoru“ — mówię niemal tragiczny, gdyż ulotnemu tragizmowi, z taką szczerością bijącemu (poza ostatnią zwrotką) z wiersza „w oczekiwaniu“, nieprzyjemnego płata figla zakończenie: „przyjdz, może będzie miał choćby garść ostatnią złota, jeśli nie, to zapłacę jak poeta wierszem!“

Przejmująca melancholja wyziera ze strof, pisanych przed „wschodem słońca“, i ze strof „ostatniego listu“. Mam wrażenie, że list ten jest pod względem formy reminiscencją literacką, treść jego wydaje mi się przecież własnością duszy, nieklamany przejętej smętkiem... Nie dziwota, wszak krokom młodego pieśniarza towarzyszyło widmo śmierci...

Tego smętku pełno jest w tem sercu, mimo, że od czasu do czasu zatętni w takt mazurkowego „dziś — dziś“, albo zatrzyma się, potrzebnie czy niepotrzebnie, w to wchodzić nie będę, nad karnetami karnawałowego kotyljona.

Po „światłach i zmierzchach“, po uświadomieniu sobie, może i trochę literackiem, że był zawsze jak ów na szczycie smrek, druzgotany wichrem, że duchem był pokutnym, że wszystkich najsmutniejszym, po czułem szepnięciu nam do ucha, że na jego pół szarzyznę smutną i bezkrasą, gdzie święci długie wczasy jego myśl zmęczona, schodzi w godzinach nocy melancholji postać; po tragicznej istotnie apostrofie do śmierci, jako najlepszej lekarki, tragicznej w ustach młodzieńca, który chyba wiedział, że młode jego siły, ciężką trawione chorobą, mają się ku końcowi; po „godzinie dosytu“, w której obok bajronistycznych literackości staje przed nami szczerą chyba rozpacz człowieka, chodzącego szlakiem bólu, człowieka sierocego, jak mówi i bezdomnego — po tych, miejscami jakby z potrzeby rozczulania się nad sobą snutych „światłach i zmierzchach“ próbuje poeta „na innej zagrać strunie“ i wybuchu zdawkowym nieraz wykrzyknikiem: Niech żyje życie! Eviva l'arte e vita, urąga w sposób dość literacki filistrom. albo rwąc się ku słońcu, tworzy nieoryginalny zresztą, literackimi reminiscencjami — pod względem formy — przejojony dytyramb na cześć ciszy.

W cyklu „z jesiennym wiewem“ gromadzi znowu obrazy tak bezpośrednie, jak mgłą melancholji osnuty ogród („patrzałem na ogród“), albo śpiewa nam tak miłą i znowu tak smętną nutę, jak owo „od rzyśk... od pół... tęsknota... ból i głuchy płynie żal“, albo z melodią zwiędłych liści na ustach przypomina sobie, że gdzieś daleko, ktoś, pełen tęsknoty, wyciąga ku niemu ramiona omdlałe miłośnię.

A potem znowu wiosna — pora młodzieńczych marzeń

i snów. Sady kwitną wiśniowe, każdy sad jest niby puhar, najwybrańszem przepelniony winem, ale do wina tego mieszają się przecież krople smutku, melancholji. Czy nie zrodziła się ona z wyraźnego lub niewyraźnego poszeptu zbliżającej się nieuchronnej śmierci, której żadne nie powstrzyma Davos? Od tego smętku, od tej melancholji, zbliżającej się w spokojną noc wiosenną, ucieka nad morze i wsłuchuje się w dźwięki mandolin i w włoskiej, słodkiej mowie śpiewane pieśni o winie i dziewczynie, ażeby, wróciwszy do ojczystej ziemi, patrzeć, jak po rosie przez ciche, białe łąki płyną nie tylko drżące wyznania i westchnienia — ale szlochy młodzieńczego, zawiedzionego serca, bolesne żale i rozpacz. Albo przez okno kawiarni, tej niszczytelki młodych sił, a w której przygotowywało się obrachunki wrażeń z teatru czy sali balowej, spoglądał na świt i śpiewał wewnętrzny hymn na cześć słońca, hymn zakłócony znowu przesadnym obrazem zwrotki ostatniej, malującej stan poety, leżącego w męce, jak pies kopnięty...

Najmilsze, najprostsze, najbezpośredniejsze w tym zbioru całym są wrażenia z pól, łąk i ogrodów — wrażenia ginące niejednokrotnie w potoku słów bezpotrzebnych, niejednokrotnie przecież wybijające się z całą czystością, takie nastroje muzyczne, harmonijne, jak n. p. w wierszu „słyszać płacz skrzypiec“, czasami przecież jakby umyślnemi psute zgrzytami, jak właśnie w owym wierszu „o świecie wiosną“! Pejzażowe bezpretensjonalne, nierzadko o osobistej wizji jego świadczące obrazki daje nam poeta, „śniegowym“ krocząc „szlakiem“. Mamy tu ogród studrzewny, tonący w falach śnieżystych, obłany po złotą słońca, wsłuchujący się z cichutką tęsknotą w muzykę kryształowych skrzypiec anielich; razem z poetą patrzymy na cudowną baśń kwiatów, wyczarowanych ręką mrozu na szybach; razem z poetą też niejeden może

z nas, z zadumą spoglądając na białe płaty śniegu, spadające poza oknami naszej izby, zatęskni za „orlą, bujną, gromową młodością, za jej pędem rycerskim“, co z życia pełnej rzeczywistości swej pozostawiła nam tylko „echo starodawnej nuty“. Czy młodość poety się zmarnowała? Nie wiem, wiem tylko jedno, że śmierć przedwcześnie przecięła pasmo dni talentu, który możeby nie doszedł do wysokiej potęgi, ale który to, co miał w sobie, rzewność i prostotę, uwolniłby z rozmaitych naleciałości postronnych i pisał nam w czystej, bardziej własnej formie.

Pisząc te wyrazy, miałem przed sobą białe półarkusze papieru z ponalepianymi wycinkami zadrukowanej, szarej, dziennikarskiej bibuły. Poezje śp. Adama Dobrowolskiego chłonał wróg poezji moloch dziennikarski, tak jak chłonał jego życie. Poezja ta również szara, ale z szaroty tej przebija szczerłość, niestety właśnie dla użytku dziennikarskiego przemieniana na drobną, tego samego stempla monetę. I dlatego też możnaby niejedno z tego tomiku usunąć — uniknęłoby się wrażenia pewnej monotonii, ale czyż monotonia nie bywa wyrazem życia, a czyż wyrazem tego życia nie jest i poezja?

Nie znalazłem zmarłego, nie widziałem go nigdy na oczy, przypuszczam jednak, że dobrym był człowiekiem, świadczy o tem zastęp przyjaciół, których odszedł, a którzy we wydaniu tej spuścizny pośmiertnej pragną uczcić jego pamięć.

Niech i mnie wolno będzie zaliczyć się do ich grona.

POECI GÓRNEGO ŚLĄSKA

PRZEDMOWA DO POEZYJ KAZIMIERZA LIGONIA

Niepozorna książeczka, a przecież tak wiele mówiąca. Mimo rozdziałów z nazwiskami pisarzy na czele, opowiada nam nietyłe dzieje piśmiennictwa górnośląskiego, ile raczej dzieje wspaniałego cudu, jaki od stosunkowo nielicznych lat dziesiątek spełniał się i spełnia w prastarej dzielnicy piastowskiej — dzieje odrodzenia narodowego.

Oderwane przed sześciu wiekami od macierzy, od Polski (początek jej upadku), dzielnice nadodrzańskie, dziedziny nasze, wystawione na najsroższy ucisk germanizacyjny, u miały one jednak w przeważającej masie ludności swej, zachować najgłówniejszy pierwiastek narodowościowy, umiały utrzymać skarb swój najdroższy, język ojczysty.

Wyrzucano go ze szkoły, usiłowano, acz z niewielkim skutkiem, wypędzać go z kościoła, zabraniano mówić nim po urzędach, po fabrykach i kopalniach, choć byt tych fabryk i kopalń od polskiego zależny był robotnika, od odwiecznych mieszkańców Śląska, którzy znojną, haniebnie wyzyskiwaną pracą swoją zmuszeni byli pomnażać dobytek cudzych panów, nie różniących się w niczem, acz należeli do „narodu filozofów“, kierującego się „bojaźnią bożą“, od pospolitych, złotem i brylantami świecących rabusiów i złodziei.

Nie gardzono żadnymi drogami, uciekano się, poza gwałtem i przemocą, do środków najhaniebniejszych, do popierania i wyróżniania odstępców i zaprzańców, aby materialne powodzenie ich było zachętą dla ludzi słabszych, ludzi, pozbawionych twardej podstawy moralnej, podkopywanej z niesłychanym w dziejach cynizmem. Zobojętniał niejeden —

rzecz zwykła. — odpadł niejeden; jak mieliśmy tego dowody, niejeden przeszedł wprost do obozu wrogów i wrogom tym pomagał w deprawowaniu duszy własnych rodaków.

Ale mimo tych wszystkich wysiłków, osłanianych często kroć powagą wychowawców i nauczycieli tej duszy, na dnie jej tkwiły pierwiastki potężniejsze od podłej chęci, piekielnych zamiarów i wstrętnego urzeczywistnienia ich przez zaciętego, niespoczywającego nigdy nieprzyjaciela.

I pierwiastki te zaczęły się objawiać samorzutnie, w piśmiennictwie ludowem wogóle, a w poezji w szczególności, w poezji tworzonej przez dzieci ludu, wytryskającej z źródła, jakiem zawsze była i zawsze będzie — po wieki — nieśmiertelna, zawsze czujna, zawsze skrzętna dusza tego ludu.

Niejeden z tych twórców ukończył zaledwie szkołę elementarną i to niemiecką, niejeden dopełniał wykształcenia swego w seminarjum duchownem wrocławskiem, w którem starano się go wszelkimi sposobami usuwać z pod wpływów polskich dla dobra — o zgrozo! — religji, a przecież te wszystkie nazwiska, od których roi się nasza książeczka, znamienitym są dowodem, jakie bogactwa piastowskie „Śląsko nasze“ posiada nie tylko w wnętrzu swej ziemi, ale i w głębinach tej prostej, szczerzej duszy jej mieszkańców prastarych.

Dusza ta, bywało taila właściwą swą istotę przed oczami wroga, aby nie stracić odrazu możliwości wydatnej pracy nad swymi braćmi.

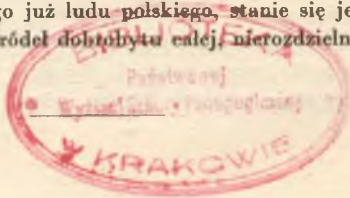
W gimnazjum w Raciborzu, dokąd między innemi, zagnał mnie własny mój niepokój, siadywał na jednej ławce ze mną młody człowiek, syn chłopa górnośląskiego, który żadną miarą nie chciał mówić ze mną po polsku, a który później, jako ksiądz, stał się — jak słyszę — jednym z najgorliwszych krzewicieli myśli i uczuć polskich. Wiedział wówczas, co czyni — wszakże mnie samemu kazano, wśród okoliczności drama-

tycznych opuścić gimnazjum i opolskie i raciborskie, ponieważ z kolegami górnośląskimi także dziećmi ludu polskiego, ośmiele-
lałem się — mimo zakazu — w ojczystym rozmawiać języku.

A jaki urok wywierała na Górnolązaków poezja nasza, niech poświadczy wspomnienie, jakie wyniosłem z Opola. Dla przykładu i zachęty zapisałem się na nadobowiązkową naukę języka polskiego, choć jako Poznańczykowi, wychowywanemu poprzednio, aż do klasy ostatniej, w gimnazjach wielkopolskich, nauka ta nie całkiem już wystarczała. I oto do dziś dnia mam przed sobą jeden z najbardziej rozczulających i największą otuchę wlewających obrazów: uchodzący ogólnie za Niemca, w każdym razie, jak mi mówiono, do polskości nie przyznający się publicznie nauczyciel naszego języka, ksiądz Cytronowski, czytając z katedry „Mohorta“, tak się rozrzewnił, że łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach.

Rzewność, nie tylko wobec rodzinnej dzielnicy śląskiej, ale wobec czarodziejskiego imienia Polski jest też zasadniczą cechą tej prostej, kwiatów literackich pozbawionej poezji, która wsiąkla i wsiąka w duszę ludu górnośląskiego, duszę tę krzepi i podtrzymuje i do wspaniałego prowadzi ją zwycięstwa.

I tak należy patrzeć na pieśń tę, której kilka zaledwie u-
rywków przytoczył nam w przeglądzie swym p. Kazimierz Ligoń, a która, o ile ją znam, a nasłuchałem się jej dosyć, jako ongi kolega i towarzysz niejednego z dzisiejszych narodowych działaczy śląskich, wielkie, niezawsze szlifowane posiada klej-
noty, pieśń do kamiennego, tajemniczym, czarnym, a tak pożytecznym blaskiem połyskującego węgla, który wydoby-
wany rękami wolnego już ludu polskiego, stanie się jednym z najglówniejszych źródeł dobrobytu całej, nierozdzielnej już Polski.



SPIS RZECZY

	Str.
O ASNYKU. I. El...y (Odczyt na wieczorku Asnyka)	
pd. „Tydzień“ NN. 50, 51, 52, 1896 r.	7
II. Adam Asnyk (wspomnienie pośmiertne) pd. „Ty-	
dzień“ N. 32, 1897 r.	26
SŁOWACKI pd. „Tydzień“ N. 15, 16, 1899 r.	37
KONOPNICKA JAKO POETKA SPOŁECZNA (Od-	
czyt 3. IX. 1902 r.)	53
NASZ LUD (sprawozd. z odczytu Konopnickiej) pd.	
„Kurjer Lwowski“ 1896 r.	58
KAROL BRZozowski pd. „Tygodnik Ilustrowany“	
N. 4, 1899 r.	64
O WŁADYSŁAWIE ŚLEWIŃSKIM (wstęp do Kata-	
logu wystawy obrazów Ś. we Lwowie w 1907). . .	77
MIKOŁAJA HUSSOWSKIEGO „Pieśń o Żubrze“ i „Pan	
Tadeusz“ pd. „Słowo Polskie“ NN. 53—56, 1913 r.	83
O SIENKIEWICZU. (przemówienie na Akademji ku	
czci S. 20. XII. 1916 r.) pd. „Kurjer Lwowski“ NN. 91,	
92, 1917 r.	109

Recenzje i przedmowy:

SYZYFOWE PRACE, (recenzja „Kurjer Lwowski“	
z 7. XI. 1897 r.)	120
LEĆCIE ME PIEŚNI. przedmowa do książki Dobro-	
wolskiego 1914 r.	126
POECI GÓRNEGO ŚLĄSKA, przedmowa do książki	
Ligonia 1920 r.	132

